DZIEŁA

JGNACEGO KRASICKIEGO.

Львівська філія
Бібліотека АН УРСР

WYDAWNICTWA KAZIMIERZA BARTOSZEWICZA T. XIV.

DZIEŁA

IGNACEGO KRASICKIEGO

TOM V.

KRAKÓW 1883.
Nakładem K. Bartoszewicza.
W DRUKARNI W. KORNECKIEGO.

Львівська Філія
Бібліотеки АН УСРР

ŁGARZ.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Anzelm, ojciec Konstancyi.
Leonora, żona Anzelma, matka Konstancyi.
Konstancya.
Erast, kawaler Konstancyi.
Leander.
Pan *Bywalski*.
Pani *Grujska*.
Filutowicz, sługa Erasta.
Jadwiga, sługa Konstancyi.
Chłopiec.

Scena w domu Anzelma.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

ANZELM, ERAST.

Erast. I tak tedy, mości dobrodzieju — gdy już widzimy — że coraz to gorzej, kapitan okrętu kazał żagle pospuszczać wszystkie co do jednego; jeszcze gorzej. Maszt podrąbać; my do siekier. Jam też także jął się ro-

boty, rąbię, rąbię, aż tu piorun tak trzaśnie w siekierę, tylko mi się drewno w ręku zostało.

Anzelm. A żelazo.

Erast. Stopiło się jak masło.

Anzelm. Straszna rzecz! Cóż dalej?

Erast. Nie tracimy my serca, a tu wiatry jak dmą tak dmą, pioruny jak biją, tak biją. — Jedną razą, mości dobrodzieju —

SCENA II.

CIŻ SAMI, BYWALSKI.

Bywalski. Kłaniam jako najuniżeniej waszeciom wielce mościom panom. — Szczęście to dla mnie osobliwe, iż w godnych progach waszeci wielce mościom pana, mam honor uiszczenia się w obowiązkach, które —

Anzelm. Proszę się nie fatygować temi komplementami, mości panie sąsiedzie.

Bywalski. Eksces by to był nieczułości.

Anzelm. Czy eksces, czy nie eksces, proszę tych ceremonij nie używać — proszę siedzieć.

Bywalski. Dawnych to jeszcze...

Anzelm. Ale proszę...

Bywalski. Dawnych mówię...

Anzelm. Ale, mościwy panie, jeżeli waćpan będziesz się z temi perorami do mnie odzywał, będzie to znakiem niełaski waćpana dla mnie.

Bywalski. I owszem, gdybym się nie znał na należytej ze wszech miar waszmościom panu attencyi i obserwancyi, byłoby to...

Anzelm. Niby to niebyło, mościwy panie, i owszem, poufałość waszmościom pana bardziejby mię zobligowała, nad te wszystkie oracye, na których ja się nie znam.

Bywalski. Zbytek to modestyi.

Anzelm. Co nie modestyi, to nie modestyi, ale jest to wynurzenie prawdy, a prawdy oczywistej, rzetelnej, dowodnej, i takiej, jaka być ani oczywistsza, ani rzetelniejsza, ani dowodniejsza nie może.

Bywalski. Wiążesz mi waszmość pan usta, ale serce...

Anzelm. Wiem, że szczere, pełne przyjacielskich dla mnie sentymentów. Cóż tam słychać, mości panie sąsiedzie?

Bywalski. Tak dalece nic nowego.

Erast. Nie wiem, czy jest wiadomo waćpanu, cośmy mieli z Ukrainy?

Bywalski. Nic nie słyszałem z tamtych stron.

Erast. Korespondent mój, albo raczej ekonom tamtejszych dóbr moich...

Anzelm. To waćpan masz posesyą na Ukrainie?

Erast. Niewielki kawałeczek; miast dwa i wsi półsiedmnasta.

Anzelm. A to, mości panie, kawał bardzo piękny!

Erast. Wolny żart waszmościom pana dobrodzieja.

Bywalski. A czy mogę się spytać, jakie tych dóbr waszmościom pana położenie?

Erast. Grunt troszeczkę krzemienisty.

Anzelm. Szkoda. Ale przepraszam, żem przeszkodził relacyi waszmościom pana.

Erast. Pisze mi tedy mój ekonom, iż w kwietniu takie już tam były pszenice, iż się hajdamacy kryli pomiędzy bruzdy.

Bywalski. Leżąc?

Erast. Jakto leżąc? na koniach, na koniach, mości panie, a co większa i ze spisami!

Bywalski. Ale, mościwy panie! ja nie wiem, ale mi się zdaje, iż ekonom dóbr Ukraińskich wasz mościom pana

(niech to będzie bez naruszenia winnej i godnej tak osoby samego waszmościom pana i ekonoma jego obserwancyi), zdaje mi się tedy, iż takowa asercya —

Erast. Mościwy panie! to jeszcze fraszka względem tego, com ja w Niderlandach widział w marcu! Pamiętam jak dziś, i annotowałem sobie w pugilaresie, iż to było 18. marca, o godzinie 3 po południu, jeśli się nie mylę, w minucie 21. Wyjechałem był w pole z vice-rejem Aragonii...

SCENA III.

CIŻ SAMI, FILUTOWICZ.

Filutowicz *(Erastowi do ucha).*

Erast. Dobrze. Przepraszam, iż na moment odejść muszę. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

ANZELM, BYWALSKI.

Anzelm. Bodajto, panie sąsiedzie, wojażować!

Bywalski. Jak ja uważam, można się wielu pięknym rzeczom przypatrzyć; wiele słyszyć, wiele nauczyć. Ale te hajdamaki, mościwy panie, na koniach, ze spisami!

Anzelm. Któż to wie? trafiają się czasem na świecie nadzwyczajne rzeczy.

Bywalski. Nie przeczę ja arcy-godnemu zdaniu waszmościom pana, ale z tem wszystkiem, jeśli się moje, lubo niedoskonałe, przełożyć godzi....

Anzelm. Bez potrzeby się waćpan upokarzasz.

Bywalski. Łaska to waćpana wmawia we mnie, do czego się nie znam. Wracając się tedy do rozpoczętego dyskursu, nie mówię ja, iżby assercya jegomość pana Era-

sta, mego wielce mościom pana, miała być fałszywa, ale jednak miarkując rzeczy, zdaje się być ekonom jegomościn dóbr Ukraińskich nieco podległy tej figurze elokwencyi, którą zowią amplifikacyą.

Anzelm. Ale bo to, mości panie, nas starych defekt, że jesteśmy niedowiarkami.

Bywalski. Arcy dokładnie wyłuszczyłeś waszmościom pan w krótkich ekspressyach przywary nasze, i ja nie mogę tylko iść za zgodnem zdaniem. Zdaje mi się jednak (może się i mylę), ale przynajmniej zdaje mi się, iżem słyszał od ludzi nierównie odemnie oświeceńszych, iż pora dojrzałego, albo raczej doszłego już wieku, skłaniając się ku owej pierwszej, którą to wiosną życia pospolicie zowiem, zarywa też nieco na ich sposób myślenia, a ten śpieszy się czasem z decyzyą, i wierzyłem, gdzieby się pierwej zastanowić, i rzecz roztrząsnąć należało. Nie mówię ja tego, iżby starzy byli lekkowiernemi, jak niemowlęta; ale się nad tem tylko zastanawiam i niejako zadziwiam, iż oświeceńsi odemnie tak trzymali.

Anzelm. I rozumni czasem błądzą.

Bywalski. Nic prawdziwszego nad to aksyoma, ale zdaje się mi, iż to rozumnym nierównie się rzadziej trafia, nad często, a bardziej często takowym, którzy rzeczy biorą nie tak ściśle, jak je brać należy. Prawda, iż błąd rozumnych tem większy, im są oświeceńszemi, ale to rozumiem, iż sam waszmościom pan, głębokiem zdaniem swojem lepiej nierównie odemnie przenikasz, iż podobno lepiej się trzymać tych, którzy rzedziej, jak to mówią z ścieżki zstępują, niż tych, którym się to bardzo często trafia. Nie sprzeciwiam ja się, broń Boże! zdaniu waszmościom pana, i owszem zdaje mi się, iż go słabością sił moich staram się popierać.

Anzelm. Dobrzeć to waćpan mówisz, ale jednakowo nie godzi się ludziom nie wierzyć.

Bywalski. Maksyma święta, przykładna, zbawienna, lecz w powszechnym wyrazie zapewne według zdania samego waćpana, ma swoje szczególne wyłuszczenia, objaśnienia; naprzykład, sam waszmość pan tak trzymasz, iż w ustach ludzkich równie fałsz i prawda mieścić się może. Gdyby naprzykład (co może się trafić, co się trafia) trafiło się, iżby w przytomności waszmościom pana, osoba jaka, chociażby i uczciwa, rzecz takową powiedziała, któraby się niejakim sposobem zdawała sprzeciwiać zwyczajnemu trybowi. Wiem ja dobrze o delikatności, którą masz w sądzeniu bliźniego, i z tem wszystkiem rozumiałbym, iżbyś nie przyłożył wierzenia naprzeciw własnej konwikcyi.

Anzelm. To waćpan chcesz widzę dać mi uczuć, że Erast nieprawdę mówił?

Bywalski. O nie! tylko był opowiadaczem relacyi jegomości pana ekonoma dóbr swoich Ukraińskich. Ten zapewne musi być człowiek pełen dobroci, a bojąc się źle o bliźnim sądzić, uwierzył powieściom, i tak pan, jako i ekonom, choćby opowiedzieli rzecz nie ze wszystkiem zgadzającą się z istotą właściwą, winować ich, broń Boże, nie myślę, ale raczej buduję się z obopólnej ichmościów uprzejmości. A teraz, za pozwoleniem waćpana, pójdę oddać uniżoność moję godnej małżonce i konsolacyi jego.

SCENA V.

ANZELM.

Piękniećeć on mówi! ale mi się zdaje, że on podobno sobie i zemnie i z Erasta żarty czyni. Ale po cóż ta suspicya? To człek dobry, mój przyjaciel.

SCENA VI.

ANZELM, JADWIGA.

Anzelm. A ty tu co robisz?

Jadwiga. Szukam mojej pani.

Anzelm. A gdzieżeś ją zgubiła?

Jadwiga. Jamci jej nie zgubiła, ale mam do niej interes.

Anzelm. Cóż to za interes?

Jadwiga. Ej! to nic!

Anzelm. Ja chcę wiedzieć, co to jest.

Jadwiga. Jaki to waćpan ciekawy!

Anzelm. A wiesz o tem, że to z panami sługom nie trzeba poufałości zażywać?

Jadwiga. Wiem, ale i to wiem, że panom nie trzeba być zbytnie ciekawym.

Anzelm. A dopókiż to tej zuchwałości! *(Bierze się do kija i goni ją).*

Jadwiga *(uciekając).* Ale bo się waćpan dobrodziej za lada fraszki gniewasz.

Anzelm *(zmordowany, siada).* Niegodziwa! ażem się zatchnął. Powiedz mi zaraz co to masz za interes do mojej córki?

Jadwiga. Oto mości dobrodzieju, jest tu człowiek.

Anzelm. Jaki człowiek?

Jadwiga. Ale dajże mi waćpan dokończyć!

Anzelm. Zkąd? gdzie? kto? po co?

Jadwiga. Jakże ja mam na to wszystko razem odpowiedzieć?

Anzelm *(porywa się).* A chcesz waść?

Jadwiga *(uciekając).* Nie chcę! nie chcę! oto jest człowiek....

Anzelm. Jużci ja wiem, że człowiek.

Jadwiga. Cóż, kiedy waćpan nie dasz mówić.
Anzelm. Mów.
Jadwiga. Oto jest człowiek, od....
Anzelm. Od kogo?
Jadwiga. Od pana Leandra.
Anzelm *(z podziwieniem).* Od Leandra?
Jadwiga. Tak jest, od Leandra, przyjechał tu.
Anzelm. Z listem do mojej córki?
Jadwiga. Nie z listem.
Anzelm. Z czemże?
Jadwiga. Oto chciałby się dowiedzieć, czy waćpan jesteś w domu.
Anzelm. A jemu zkąd ta ciekawość?
Jadwiga. Albo ja wiem!
Anzelm. Powiedzże mu, że jestem w domu — albo nie, poczekaj, dam ja mu sam odpowiedź. *(Odchodzi).*

SCENA VII.

JADWIGA *(sama).*

Nie znajdziesz go. Dobrze mi się udało. Ale gdzie to moja pani? Pewnie będzie u jejmości.

SCENA VIII.

KONSTANCYA, JADWIGA.

Jadwiga. A ja waćpanny już więcej jak od godziny szukam.
Konstancya. Cóż to masz za interes?
Jadwiga. Zapewne, że interes!
Konstancya. Powiedz; czy to pewnie nie będzie...
Jadwiga. Co takiego?

Konstancya. Jakbyś to nie wiedziała!

Jadwiga. A cóż ja mam wiedzieć?

Konstancya. A toż i ja nie ciekawa. Pójdź precz!

Jadwiga *(odchodząc)*. A gdyby naprzykład...

Konstancya. Kto?

Jadwiga. Ja to tak do siebie mówię. Gdyby naprzykład Leander?

Konstancya. Jak to? Leander? Ach, moja kochana, pewnie przyjechał? pewnie...

Jadwiga. Nie przyjechał ci, ale....

Konstancya. Dokończże.

Jadwiga. Oto! *(Oddaje list)*.

Konstancya *(czyta)*.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, LEONORA.

Leonora *(do Konstancyi)*. Co to waść czytasz?

Konstancya. To... to... mościa dobrodziejko... pieśń...

Leonora. Któż to waści tę pieśń dał?

Konstancya *(chowa list do kieszeni)*. Ostatnią razą, jak tu była pani skarbnikowa, córka jej dała mi tę pieśń, przepisaną z opery Warszawskiej.

Leonora. To musi być i piękna i uczciwa. Na teatrach albowiem publicznych nic takowego postać nie powinno, coby uszy obrażać mogło. Pokaż waść ją.

Konstancya. Ale waćpani dobrodziejka nie przeczytasz, bo charakter nieczytelny i bardzo drobny, i w wielu miejscach pomazano....

Leonora. Zobaczę. Dajno waść.

Konstancya. Ale mościa dobrodziejko!

Leonora. Cóż to jest takiego, mościa panno? Wać-

panna będziesz się mojej woli sprzeciwiać? *(Konstancya pada jej do nóg).* Cóż to się znaczy? ale zaczynam się domyślać. To widzę nie pieśń, mościa panno! daj waść zaraz, kiedy ja każę.

Konstancya. Wyznaję, żem winna; ale pewna jestem, iż dobroć macierzyńska nieuwagę moję odpuści. *(Oddaje list).*

Leonora. Wstań waść. *(Czyta list).* Nie masz to w tym liście nic takowego, coby surowej nagany godne było, ale to rzecz i naganna i wcale nieprzystojna pannie, bez wiadomości rodziców od kawalerów listy odbierać; *(do Jadwigi)* a waść miej to sobie raz na zawsze powiedziane, iż gdyby się drugi raz miało stać, noga twoja więcej w domu moim nie postanie. *(Do córki).* Pójdź waść do siebie. *(Odchodzą).*

SCENA X.

LEONORA *(sama).*

Dałby to Pan Bóg, żeby umysł mojego męża do Leandra nakłonić! ale go bałamuctwami swojemi Erast zupełnie opanował. Dobrze się stało, że mamy pana Bywalskiego; jeżeli on swojemi delikatnemi sposobami oczów mojemu mężowi nie otworzy, moje starania będą daremne.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ERAST, FILUTOWICZ.

Erast. Dla czegożeś mię wywołał?

Filutowicz. A każe pan szczerze powiedzieć?

Erast. Mów.

Filutowicz. Oto: boś waćpan nadto był zabrnął.

Erast. Ja tego nie rozumiem; mów jaśniej.

Filutowicz. Ale bo...

Erast. Mówże!

Filutowicz. A każe pan?

Erast. Każę!

Filutowicz. Ale bo... jak to powiedzieć...

Erast. Mów śmiało.

Filutowicz. A nie będzie się pan gniewał?

Erast. Nie, mów.

Filutowicz. Oto, boś pan łgał bez miłosierdzia.

Erast *(do kija).* A! pogański synu!

Filutowicz *(uciekając).* Wszakżeś waćpan kazał.

Erast. Kazałem, ale prawdę mówić.

Filutowicz. No, no, to już nie łgał, ale...

Erast. Ale co?

Filutowicz. Ale zmyślał.

Erast. Łżesz.

Filutowicz. Kto?

Erast. Ty.

Filutowicz. Oj, nie ja!

Erast. A któż?

Filutowicz. Ale... kiedybo się to waćpan do kija porywasz. Połóż go no waćpan.

Erast *(kładzie kij).* Ale bo, mój kochany, kiedy się z panem mówi, trzeba mówić prawdę, szczerze, otwarcie, ale z respektem.

Filutowicz. Upadłszy tedy do nóg waćpana dobrodzieja z wielkim respektem, powiadam waćpanu dobrodziejowi tę... nie... ale jakże to powiedzieć pięknie?... Oto — troszeczkę — bardzo — i aż nadto — nieprawdę powiedział.

Erast. Godzienbyś i za to dostać po grzbiecie. Ale daruję prostocie twojej i uniżam się do tego punktu, że cię pytam, w czemżeś to postrzegł?

Filutowicz. A ja wywyższam się do tego punktu, żebym miał honor powiedzieć, iż stojąc podedrzwiami słyszałem, żeś waćpan mówił, iż masz na Ukrainie dwa miasta i wsi półsiedemnasta, a my tam (wszak waćpan lepiej wiesz odemnie) nie mamy i grzędy.

Erast. Nie mam teraz, ale mogę mieć.

Filutowicz. A to co inszego! taką rzeczą i ja wielki pan.

Erast. A waści się znowu żarciki trzymają?

Filutowicz. To już miasta i wsie jakożkolwiek, a owa pszenica?

Erast. Albo nie może być?

Filutowicz. Ach, mościpanie! Sam waćpan uważ. A ów kozak ze spisą w bruździe?

Erast *(śmiejąc się)*. Albo źle?

Filutowicz. Jużci. Ale idzie o rzecz, mości panie, a jak postrzegą?

Erast. Co mi tam będziesz kazania prawił! Słuchaj, bracie, wiem ja, co czynię i dla czego czynię. Rozumiesz?

Filutowicz. Oj co nie rozumiem, to nie rozumiem; zobaczysz waćpan...

Erast. Mości panie teologu, będzie wola za drzwi?

Filutowicz *(na boku)*. Dobrze to mówią: prawda w oczy kole.

Erast. Co to waść pod nosem szepczesz?

Filutowicz. Ja te wsie rachuję, co mamy na Ukrainie.

Erast *(goni Filutowicza)*. Pogański syn!

SCENA II.

ERAST (*sam*).

Niegodziwy hultaj! — Zawżdy mnie tylko do niecierpliwości przyprowadza. — Odpędzę. — Już też to nadto tej zuchwałości. — Jaki mi pan brat!

SCENA III.

ERAST, ANZELM.

Anzelm. Cóż to, waćpan zdajesz się być pomieszanym?

Erast. Jakże nie być, mości dobrodzieju! kiedy tego momentu odbieram przez sztafetę wiadomość, że mi Wisła wielkie szkody poczyniła w dobrach moich łęczyckich.

Anzelm. Albo to i tam masz waćpan dobra?

Erast. Kilka wsi sukcessyonalnych.

Anzelm. Po kim-że ta sukcessya?

Erast. Po Szafrańcach.

Anzelm. Ale zdaje mi się, że w Łęczyckiem Wisły nie masz?

Erast. Jest to rzeczka mała i to samo ma nazwisko, co i wielka; niektórzy ją zowią Drwęcą.

Anzelm. Ta w Prusiech!

Erast. Tak jest, w Prusiech; ale ta nasza pospolicie dla różnicy od pierwszej nazywa się Drwęcykiem.

Anzelm. Żałuję bardzo tak znacznej szkody, ale mi dziwno, ponieważ o tym czasie pospolicie małe wody bywają na innych rzekach.

Erast. Z pierwszego wejrzenia zdaje się to być rzecz osobliwa: ale trzeba o tem wiedzieć, iż ta rzeczka jest cudem natury; kiedy inne schną, ona się wzmaga. Zapewne muszą być jakieś podziemne meaty, które wodę z innych

rzek do niej przeciągają, i ztąd się podobno dzieje, iż gdy się inne zmniejszają, ona się powiększa.

Anzelm. To prawda, iż wiele jest rzeczy osobliwszych w naszym kraju, o których cudzoziemcy nie wiedzą; a i ta godnaby była ciekawości publicznej.

Erast. Pisali o niej autorowie, osobliwie fizycy i astronomowie, Kopernik, Andronik, Baroniusz.

Anzelm. Ale Baroniusz pisał historyę kościelną.

Erast. Tak jest, historyę kościelną; i właśnie ten punkt jest położony w rozdziale o kościołach łęczyckich. To był wielki mości dobrodzieju astronom; jam nawet widział jego obserwatoryum w Kopenhadze.

Anzelm. Ale on żył w Rzymie i był kardynałem.

Erast. Tak jest, w Rzymie; ale na starość księdzem został, bo się bał inkwizycyi za to, że pisał o Antypodach.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, LEONORA.

Anzelm. Słuchajno waćpani, co to jegomość powiada: że u niego w dobrach łęczyckich jest taka rzeka, co kiedy inne prawie wszystkie wysychają, — ona się natenczas rozlewa; i teraz powódź wielkie szkody poczyniła jegomości.

Leonora. Żałuję szkody, ale przy tak wielkich włościach, jakie ma jegomość, nie powinna mu czynić takowa strata wielkiej impressyi.

Erast. Jakże nie ma czynić, moja dobrodziejko, kiedy to łąki zalane, z których na kilka tysięcy wozów siana corocznie bywało!

Anzelm. Na kilka tysięcy? patrzajno waćpani!

Erast. Tak jest, na kilka tysięcy, a sam kwiat.

Anzelm. Cóż tam musi być za zapach?

Erast. Taki, mości dobrodzieju, że podczas sianożęcia, raz wraz mi kosiarze na migrenę chorują.

Leonora. To u waćpana w Łęczyckiem chłopi muszą być bardzo modni, kiedy mają wapory, jak nasze damy!

Erast. Ale bo to, mościa dobrodziejko, zapach tak wielki.

Leonora. Przestańże, mój dobrodzieju, bo mnie będzie głowa boleć.

Erast. Uczynię zadosyć woli waćpani dobrodziejki, i za pozwoleniem w momencie tu powrócę. *(Odchodzi).*

SCENA V.

ANZELM, LEONORA.

Leonora. I waćpan też jesteś tak dobry, tak cierpliwy, że tych bajek słuchasz?

Anzelm. Jakto bajek?

Leonora. A jużcić nie mogą być większe nad te, żeby chłopi z kwiatów chorowali na migrenę.

Anzelm. Czemuż to nie może być? alboż to się i nam czasem nie przytrafia, kiedy zbytni zapach ziół, albo kwiatów czujemy?

Leonora. Ale to w izbach zamkniętych. Ale na wolnem powietrzu, wśród łąki, ja białogłowa, a wstydziłabym się nie tylko wierzyć, ale słuchać nawet takich andronów.

Anzelm. Nie o to rzecz idzie, mościa pani; waćpani masz przeciwko niemu jakoweś uprzedzenie, a zwyczajem powszechnym płci swojej, jak się już raz na kogo uweźmiesz, to już natenczas choćby on był aniołem, wszystko, co powie, co uczyni, źle, niekształtnie, niegodziwie, nie do rzeczy; — wszak prawda?

Leonora. Ja waćpanu sprzeciwiać się nie chcę, ale

pozwól mi waćpan, żebym i siebie i moję płeć usprawiedliwiła. — Prawda, że bywamy niekiedy uprzedzone; prawda, że bywamy zawzięte; prawda, że bywamy lekkomyślne, lekkowierne; prawda, lubimy się sprzeciwiać: ale że są takie niektóre, alboż przeto o wszystkich tak trzymać należy? — A mężczyzni?

Anzelm. Oto! mężczyzni, mościa pani, oni sobie więcej dają czasu do refleksyi.

Leonora. Jak też źle zrobią, to tem gorzej.

Anzelm. A jak to się prawdy nie chce słuchać!

Leonora. Słucham, ale daj mi się też waćpan potem wygadać.

Anzelm. Co tak, to przepraszam. Jabym gadał kwandrans, a waćpani odpowiadała dwie godziny.

Leonora. Przestańmyż tych dyskursów, kiedy ich waćpan nie chcesz, a mówmy o czem inszem.

Anzelm. Dobrze. Zaczynam więc od tego, co nas oboje najbardziej interesować powinno. Mamy córkę dorosłą, o jej postanowieniu myśleć należy. Trafia się kawaler.

Leonora. Kawalerowie —

Anzelm. Proszę nie przeszkadzać — ma tedy, mówię, w osobie Erasta...

Leonora. I w osobie Leandra.

Anzelm. Ja nie chcę.

Leonora. A ja tamtego.

Anzelm. Mościa pani! kiedy mąż mówi —

Leonora. A mówi, jak się należy...

Anzelm. Dość, że mówi — żona słuchać powinna.

Leonora. Powinna, ale gdy słuchać należy.

Anzelm. Ale zawżdy słuchać należy.

Leonora. Zapewne, zawżdy, ilekroć mąż to mówi, co jest godne słuchania.

Anzelm. Mościa pani! nie spodziewałem się po waćpani takowych dyskursów.

Leonora. Ani ja po waćpanu.

Anzelm. Cóż to waćpani w moim dyskursie nie do gustu?

Leonora. Oto to, że waćpan idziesz za uprzedzeniem; śpieszysz się tam, gdzie się śpieszyć nie należy, i dajesz się uwodzić baśniom człowieka takiego, któremu dać wiary nie można.

Anzelm. Nie godzi się źle o ludziach sądzić.

Leonora. Ani zbyt dobrze, póki się w nich nie rozpatrzymy.

Anzelm. Cóżeś to waćpani złego upatrzyła w Eraście?

Leonora. Nie spieszę ja się w sądzeniu i waćpanu tego samego życzę; a gdy się do naszej córki, oprócz Erasta, drugi jeszcze kawaler trafia Leander, chciałabym, abyśmy się z wybraniem zatrzymali dopóty, póki charakterów obudwóch dostatecznie nie poznamy.

Anzelm. Ja znam i szanuję przymioty Erasta.

Leonora. Może to być, że są wyborne, ale i Leander szacunku godzien.

Anzelm. Pewnie dlatego, że go waćpani utrzymujesz.

Leonora. Ani moje, ani waćpana utrzymywanie nie nada przymiotów, jeżeli ich kto nie ma.

SCENA VI.

ANZELM, LEONORA, BYWALSKI.

Anzelm. Mości panie sąsiedzie! zastajesz nas waćpan w dyspucie.

Bywalski. Przychodzę więc uczyć się, zbudować.

Anzelm. Nie wiem, jeżeli upór zbudować może.

Leonora. Zapewne, że nie jest do zbudowania, osobliwie, gdy złą sprawę popiera.

Anzelm. Nie może być gorsza, jak mężowi się sprzeciwiać.

Leonora. Albo żonie nie wierzyć.

Bywalski. Waćmościom państwo jesteście, widzę, w żartach zobopólnych nieskomparowani. Wchodzę ja w delikatność tych subtelnych wyrażeń, któremi się podobało waćpaństwu zabawiać, i od tego zaczynam, iż macie oboje racyę, i każda strona sprawiedliwy interes utrzymuje. Słyszałem to nieraz od ludzi zacnych i uczonych, iż pospolicie maksymy powszechne rozmaitych względów rozmaitemi sposobami uważane i tłómaczone być mogą. Słyszałem też i to, iż powaga mężów konsyderacyi godna, a względy płci żeńskiej przynależą; dodawali więc, iż sprzeciwiać się mężom rzecz mniej przystojna, nie wierzyć żonie, mniej uczciwa.

Anzelm. To w powszechności, mości panie; w szczególności zaś o to tu idzie: jejmość nie chce, żeby Erast był naszym zięciem.

Leonora. A jegomość nie chce, żeby zostawić czasowi wybór między Leandrem a Erastem.

Anzelm. Po co waćpani kładzie pierwej Leandra, niż Erasta?

Leonora. A waćpan po co Leandra nawet kłaść nie chcesz?

Bywalski. Jeżeli się godzi przyjacielskie zdanie wyłuszczyć i obwieścić w materyi tak wielce delikatnej, niech to będzie bez obrażenia obojga waszmościom państwa, iż najprzód to przełożę, co według lichego zdania mojego....

SCENA VII.

CIŻ SAMI, CHŁOPIEC.

Chłopiec. Pan Leander czeka; pyta się, jeżeli mu pozwolisz waćpan tu wnijść?

Anzelm *(z żywością)*. Co za importunia! niech wchodzi!

SCENA VIII.

ANZELM, LEONORA, BYWALSKI, LEANDER.

Leander. Raczysz wybaczyć waćpan dobrodziej śmiałości mojej. —

Anzelm. Witam waćpana.

Leander. Że śmiem inkomodować.

Anzelm. Obejdzie się bez tych komplementów. Ja się mości panie na tych modnych grzecznościach nie znam, a choćbym się też i znał, tobym ich tem bardziej nie lubił.

Leander. Nie jest to komplement, kiedy zaczynam od tych wyrazów, które respekt dla starszych przykazuje.

Anzelm. Co bądź to bądź, wyrazom wierzę, a komplementów nie chcę. Waćpan pewnie z Warszawy.

Leander. Tak jest, mości dobrodzieju, z Warszawy przyjeżdżam.

Anzelm. Tem gorzej.

Leander. Mogęż wiedzieć przyczynę?

Anzelm. Oto ta, mości panie, że lepiej w domu siedzieć, aniżeli w mieście pieniądze tracić; a jeszcze na co?

SCENA IX.

CIŻ SAMI, ERAST.

Anzelm. Wszak prawda, mości panie Eraście?

Erast. Tak jest, mości dobrodzieju.

Leander. Proszę dać przyczynę tego świadectwa.

Erast. Dość, że jegomość dobrodziej tak powiedział.

Bywalski. Ale nie wiem, czyś waszmościom pan słyszał powieść jegomością, a zdaje mi się z winnym jegomości respektem, iż lubo zdania jego ze wszech miar szanowne i doskonałe, przecież gdy się popierają, niedosyć jest powiedzieć: tak jest! ale dla tem większego przypodobania trzeba przełożyć przyczyny, dla których się rzecz potwierdza.

Anzelm *(do Erasta).* Jam ganił tych ichmościów, co to w Warszawie niepotrzebnie pieniądze tracą.

Erast. Nic sprawiedliwszego. Jam tam, jeśli mi się kiedy bywać przytrafi, nie inaczej bywam, tylko przynaglony górnemi rozkazami, i ostatnią razą ledwom się po czwartej sztafecie od króla jegomości determinował.

Bywalski. Toś waszeć mościny pan, jako widzę, nieskory do wyjazdu.

Erast. Do cudzych krajów tylko wyjeżdżam rad. Ostatnią razą, gdym był w Hiszpanii...

Anzelm. W Hiszpanii?

Erast. Tak jest, w Hiszpanii.

Bywalski. Dawnoż-to waszmościom pan byłeś w Hiszpanii?

Erast. Przed półrokiem. — Ostatnią tedy razą, gdym był w Hiszpanii, trafiła mi się osobliwa awantura pod Filadelfią.

Leander. Ależ zdaje mi się, iż Filadelfia w Ameryce?

Erast. Alboż to jedna Filadelfia na świecie, mości panie? Ta, o której mówię, jest o mil kilka od Kremony.

Bywalski. Toć pewnie i druga Kremona jest w Hiszpanii? bo ja o tej tylko słyszałem, co we Włoszech.

Anzelm Ale proszę nie przeszkadzać jegomości.

Erast. Ostatnią tedy razą, gdym był w Hiszpanii i już dojeżdżałem do Awenionu, — patrzę, aż tu z bliskiego cyprysowego gaiku wypada czterech ludzi na koniach, prosto ku mnie. Jam był tam sam (bo ekwipaże inszą drogą poszły) patrzę — źle! — Szczęściem, miałem z sobą mój sztuciec mazulipateński, co to o 716 kroków bije. Jak się złożę, jak wytnę do nich, mości dobrodzieju, wszyscy czterech z koni gdyby kaczki. Ja tymczasem spiąłem ostrogami konia, w półtora kwandransa upędziłem półtrzeciej mili, i stanąłem szczęśliwie na popasie.

Leonora. Ale jakto być może, mości panie, półtrzeciej mili w półtora kwandransa.

Erast. Może, mościa dobrodziejko, bo trzeba o tem wiedzieć, iż trzy mile hiszpańskie pół mili tylko naszej wynoszą, albo coś trochę więcej, a osobliwie pod Awenionem.

Bywalski. A nie masz tu waszmościom pan z sobą tej hakownicy mazulipateńskiej?

Erast. Ach! nie rozrzewniaj mi waszmość pan serce! Póki życia, będę żałował utraconego tego skarbu. Wkrótce po moim przyjeździe do Madrytu, polowałem z królem na żubry. Rozstawił nas Łowczy wielki koronny. Jam był po prawej stronie króla, po lewej kardynał (zapomniałem nazwiska); wypada obces żubr na króla, król strzelił, chybił; kardynał strzelił, chybił. Ja widzę, że źle koło króla! — skoczyłem więc przed niego, a nie wiedziałem, notandum, że jeden za drugim — jak wytnę z mego sztucczyka, obydwa z dymem.

Bywalski. Jakto! i żubr i król?

Erast. Ale nie. Obydwa żubry. Jakem więc żubry obydwa zabił, przyskoczył król do mnie; nie chcę się chwalić, nie powiem więc, co mi natenczas mówił; ale jak

zaczął sławić mój sztucczyk, rad nierad musiałem go ustąpić. Nagrodziłci mi go nader sowicie, i mogę mówić, po królewsku, ale fraszka i złoto i dyamenty, a ja już takiego sztucczyka nie znajdę.

Bywalski. Przyznam się waćmościom panu, iżem się był troszeczkę zląkł o króla jegomości hiszpańskiego, ale się nie źle stało, że się kardynał jegomość przestraszył. A po co jemu na żubry jeździć?

Anzelm. A jużci musiał dla kompanii królewskiej.

Bywalski. Prawda. Jestem skonwinkowany i cieszę się z ocalenia jego eminencyi. A za powrotem, pozwolisz się waszmościom pan spytać, czyś nie miał jakowych awantur?

Erast. Morzem powróciłem.

Bywalski. Pewnie Czarnem.

Erast. Przepraszam, Białem.

Bywalski. Jakoż krótsza droga i zda mi się bezpieczniejsza.

Erast. Z tem wszystkiem, jakom już miał honor jegomości dobrodziejowi nadmienić, i tam mnie rozmaite awantury napotykały.

Anzelm. Obiecałeś je waćpan opowiedzieć. Jużeś był niektóre objawił; *(do żony)* Ach, mościa pani! żebyś to waćpani była słyszała o owym piorunie i siekierze....

Leonora. Ale trzeba jegomości dać nieco wytchnąć; rozumiem, iż go nasze pytania zbytnie inkomodują.

Erast. Wszystkom gotów czynić na rozkaz waćpaństwa dobrodziejstwa.

Leonora. Proszę się nie fatygować.

Anzelm. A ja proszę do siebie. Tam mi waćpan resztę z łaski swojej dopowie. *(Odchodzą).*

SCENA X.

LEONORA, BYWALSKI, LEANDER.

Leonora. Czy też to można takie bajki prawić! a bardziej jeszcze... Ale to dobroć mego męża sprawuje, że raczy mieć dla niego takową powolność.

Bywalski. Porzućmy bajarza z bajkami; o to teraz idzie, żebyś waćpani dobrodziejka raczyła wesprzeć protekcyą swoją przytomnego tu syna mojego dobrego przyjaciela, mnie dobrze z przymiotów swoich znajomego.

Leonora *(do Leandra)*. O moich względach możesz waćpan być pewnym.

Leander *(do nóg jej)*. Ah! czem mogę odsłużyć ten zbytek dobroci waćpani dobrodziejki?

Leonora. Wstań waćpan; nie masz tu teraz czasu do oświadczeń. Ja pójdę z córką się rozmówić. *(Do Bywalskiego)*. A waćpan, szanowny nasz przyjacielu, racz się tylko dzielnie przyłożyć; mam nadzieję, że otworzymy oczy mężowi mojemu, a natenczas pójdą rzeczy według naszego żądania. *(Odchodzi)*.

SCENA XI.

BYWALSKI, LEANDER.

Bywalski. Mościwy panie! pozyskanie serca panny, najistotniejszą jest okolicznością konkurencyi. Mamże waćpanu w tej mierze powinszować?

Leander. Nie jestem tak zaślepiony, abym czynił kroki, które czynię, nie będąc upewnionym o łasce tej, od której wszystka moja szczęśliwość zawisła. Ale jakieżby to mogły być sposoby otworzenia oczu jegomość panu Anzelmowi, zbyt uprzedzonemu, a przeto jak widzę, niełaskawemu na mnie?

Bywalski. Czasowi to i dobrym okolicznościom, a potem też i staraniu naszemu zostawić. Będziemy rzeczy zwłaczać; zawżdy się łgarz sam w swoich sidłach upląta. Jegomość ten nie jest znany w kraju; powiada, że ma dobra i na Ukrainie i w Łęczyckiem i ledwo nie po wszystkich województwach. Pozyskał, prawda, serce ojca, — nie traćmy jednak nadziei: statek i cierpliwość wszystkiego dokaże.

AKT TRZECI.

SCENA I.

FILUTOWICZ *(sam)*.

A czy ją tu nieszczęście wniosło, tę naszą kochaną ciotunię! -- Dobra białogłowa, — kocha siostrzeńca i obiecuje go dziedzicem uczynić, ale ona swoją szczebiotliwością gotowa to wszystko popsuć, a mój też pan, jak na nieszczęście, jeszcze nigdzie tak grubo nie łgał, jak tu. Bardzo ja się boję, żeby nam tu rzeczy źle nie poszły; ale trzeba pana pierwej przestrzedz, żebyśmy się z nią pierwej rozmówili. A jużci ona tu!

SCENA II.

PANI GRUJSKA, FILUTOWICZ.

Pani Grujska. A, jak się masz? jak się masz? A Erast, gdzie to on? A co? — A jużeście to skończyli? — Dobrze! — chwała Bogu, jam tu przyjechała. — Tak jest: — podpiszę się na intercyzie — uczynię donacyę. —

A matka? — a córka? — a ojciec? — Słyszę, to poczciwy staruszek. — A córka? jakże? — czy biała? — czy czarna? — czy wysoka? — czy nizka? — czy piękna? — czy szpetna? — czy dobrze mówi? — czy śpiewa?

Filutowicz. Ale, mościa dobrodziejko! jakto odpowiedzieć na dwadzieścia cztery pytań?

Grujska. To dobrze? — to jedno tylko: — A jakże tam! — ale czemu nie odpowiadasz?

Filutowicz. Ale, na co chcesz waćpani, żebym ja odpowiedział?

Grujska. Oto na to: — czy jużeście zaczęli? — czy jużeście skończyli? — kiedy dzień deklaracyi? — zaręczyn? — intercyzy? — donacyi? — dożywocia? — ślubu? — przenosin?

Filutowicz. Pomału, mościa dobrodziejko, pomału!

Grujska. Jakto pomału? ja kocham mego siostrzeńca, ja chcę go widziec żonatym, ażeby miał żonę i piękną, i grzeczną, i bogatą, i rozumną.

Filutowicz. Będzie to wszystko: ale kiedy waćpani dobrodziejka tak żywo będziesz rzeczy brać, to upewniam, że nie będzie nic z niczego.

Grujska. Jakto nic z niczego? — Ja chcę, żeby było, i było wszystko uczciwie i jak się należy. Tak jest, a nie inaczej, — rozumiesz waść?

Filutowicz. Rozumiem, mościa dobrodziejko; ale proszę, zaklinam na wszystkie zaklęcia, racz się waćpani dobrodziejka dopóty nie pokazywać, póki ja gdzie na osobne miejsce pana mego do waćpani dobrodziejki nie sprowadzę, a dopiero wtenczas z sobą się rozmówiwszy i dobrze się porozumiawszy, będziecie traktować interesa.

Grujska Otże! masz, — a po cóż się ja mam chować? — Albo to ja jakie straszydło? — albo co? — albo

to się mnie wstydzicie? — albo to ja nie taka dobra, jak kto? — Chować! — Pewnie to ja na to tu przyjechałam, żeby się chować? — Powiedz panu, niech do mnie zaraz przychodzi, — bo jak nie przybędzie, to będzie tego żałował, — a sam naucz się rozumu, uczciwszy uszy, — i wiedz, jakto gadać z pańską ciotką. — Chować! — jaki mi jegomość!

Filutowicz. Biegnę po pana; ale zmiłuj się waćpani dobrodziejka, nie racz się śpieszyć, bo zobaczysz, że będziesz żałować, a po niewczasie. *(Idzie i zwraca się).* Ale patrzaj-no waćpani dobrodziejka, jaki tu ogród piękny; pójdź-no waćpani dobrodziejka, ja zaprowadzę, a tymczasem i mój pan tam przyjdzie.

Grujska. A mnie co po ogrodzie? — Albo to ja tu przyjechała po kwiatki? — Idź po pana! — ja go tu będę czekać — tu — na tem miejscu! — rozumiesz?

Filutowicz. Idę. *(Odchodzi).*

SCENA III.

GRUJSKA *(sama).*

Szkoda, mówię, dom piękny; — będziemy się mieli gdzie rozpostrzeć. — Bo też u mnie trochę ciasno. — Jeszcze jak dla mnie, jako tako, — ale dla niego, — dla żony, — a potem dla dzieci, — a potem dla mamek, — a potem dla nianiek, a potem czeladna izba. Prawdziwie ja nie wiem, gdziebym ja to wszystko podziała! — To tu ja będę stała, — to tu naprzykład będzie łóżko, — tu stolik, — tu zedelek, — tu szafeczka, — tam dalej będzie apteczka, — tam dalej....

SCENA IV.

GRUJSKA, KONSTANCYA.

(Konstancya kłania się zdaleka, Grujska kłania się także).

Grujska. Nie bój się waćpanna, mościa panno; a czemu-to do mnie waćpanna nie chcesz bliżej przystąpić? A waćpanna czy jesteś służąca? czy panna respektowa? — czy córka ichmościów? — nie bój się, moja panieneczko! powiedz?

Konstancya. Jestem córka.

Grujska *(ściska ją)*. Chwała Bogu, — że córka, — cieszę się wielce, a ponieważ zaś nadchodzą takowe okoliczności, — prawdziwie, że jestem bardzo radośna.

Konstancya. Za pozwoleniem waćpani dobrodziejki, dam znać matce mojej.

Grujska. Nie chodźże mi, moje dziecię kochane, mój aniołeczku.

Konstancya *(odchodząc)*. Powrócę niebawem.

SCENA V.

GRUJSKA *(sama)*.

Ale prawdziwie panienka wcale przystojna, — tylko że to jakieś stworzenie dzikie; — niczego to! — oswoi się to!

SCENA VI.

GRUJSKA, BYWALSKI.

Grujska. A waćpan, pewnie gospodarz tego domu? cieszę się bardzo z tego. A ponieważ —

Bywalski. Nie jestem gospodarzem tego domu, jestem sąsiad i przyjaciel jegomość pana Anzelma.

Grujska. Tem lepiej, że przyjaciel; i ja, choć go nie znam, jestem jego przyjaciółką, tymczasem nim się z nim pokrewnię.

Bywalski. Będzie to zapewne rzecz wielce pożądana dla jegomość pana Anzelma.

Grujska. Nie rozumiem ja, żeby mój siostrzeniec miał mu być kiedyś okazyą nieukontentowania. To dzieciuch (szkoda mówić) przystojny i wcale grzeczny; nawet pani Vices-Gerentowa chciała za niego wydać córkę swoją młodszą Julisię, i dawała już po niej dwa tysiące pięćset złotych, alem ja nie chciała, — i dobrze się stało, żem ja nie chciała, bo jak powiadają, tu więcej weźmie. — A jest ich dosyć, — to się i drudzy pożywią: Franusia, Kasia, Marysia, Stefcio, Antosio, Mikołajek, a dopieroż przyrodni! — bo trzeba, żebyś waćpan wiedział, że jego matka, a moja siostra rodzona (o! co to za białogłowa! już takiej drugiej trudno szukać); ta tedy siostra, mości panie, ja nie wiem, z jakiej okazyi, powiadają, że z przestrachu, kiedy się u pani Kierzbuńskiej gumna paliły, cokolwiekbądź, mości panie, czy z przestrachu, czy nie z przestrachu, zachorowała na żółtaczkę. Sprowadzili żyda cyrulika, i zapewne on ją zabił, bo kto to widział, krew puszczać w żółtaczce! Jam też od tego czasu uczyniła votum, nigdy sobie nie dawać krwi puszczać, a osobliwie żydowi: po śmierci tedy nieboszczki mojej siostry, ojciec Erasta (to był wielki pijak) miał nieszpetną posesyjkę w Kukurowcach, półtrzeciej włóki i młynek, ale on to wszystko przepił, i jak na nieszczęście poszedł w świat bez mojej wiadomości i gdzieś się tam ożenił (już nie pamiętam, jak się to miejsce zowie), a co gorsza, spłodził czterech synów i córek siedm. Patrzaj-no waćpan, jakie to nieszczęście z temi pijakami! Ale co mi tam do jego dzieci z powtórnego małżeństwa! —

ja tylko o tych mam i będę miała staranie, co z mojej siostry są urodzeni, chociaż mój kochany pan szwagier i swoje, co miał, stracił, i posag swojej żony, a mojej siostry przemarnował. A waćpan tu zapewne przyjechałeś na wesele mego siostrzeńca? — Jam nic o tem wszystkiem nie wiedziała, to nie bardzo grzecznie! Szczęściem, przejeżdżając tędy, spostrzegłam w karczmie jego woźnicę i kolaskę (ja nie wiem, zkąd on tej kolaski dostał, bo odemnie wózkiem parokonnym wyjechał); postrzegłam tedy jego woźnicę, zawołałam go do siebie: Wojciechu, a co tu robicie? A on mi powiedział: — Jestem tu z panem i pan się żeni. — Z kimże się żeni? — Z tutejszą panną. — Jakem to usłyszała, takem kazała nawrócić do dworu. Ale to jakieś osobliwe państwo, co się gościom nie ukazują. Córkę tylko widziałam, ale to jakieś dziecko bojaźliwe, — mój mości panie, zaprowadź-no mnie waćpan do tutejszego państwa.

Bywalski. Podobno zabawni troszeczkę.

Grujska. To niepięknie, mości panie! gości nie przyjmować, a osobliwie kiedy się mamy skoligacić.

Bywalski. Podobno godny siostrzeniec waćpani dobrodziejki zamknięty jest na konferencyi z jegomością i opowiada mu przypadki swoje.

Grujska. Jakie przypadki? Pewnie mu się wózek złamał, albo go gdzie Wojciech z mostu albo z grobli wywrócił? i mnie on to raz zrobił, com chorowała potem kilka dni na krzyże.

Bywalski. Opowiada o swoich przypadkach na morzu, kiedy powracał z Hiszpanii.

Grujska. Na morzu? — Mój dobrodzieju! nie żartujże waszeć. On się bał na czółnie jeździć po naszym stawie, a dopiero miałby jeździć na morzu? To go ktoś

udał. Jużem-ci ja go wychowała, on dopiero drugi raz odemnie wyjechał, a tym razem już od ośmiu miesięcy po świecie się błąka. I to wiem, że był w Dubnie na kontraktach. Ja nie wiem, po co, bo tam trzeba mieć wiele pieniędzy, a jam jemu tylko dała na drogę trzynaście talarów, com pożyczyła od pani Rzeczuszyńskiej, i tom jeszcze musiała dać na zastaw cztery łyżki srebrne marcypanowej roboty i ordynkę nieboszczyka jegomości.

Bywalski. Ale jegomość pan Erast powiada, że był w Hiszpanii.

Grujska. A pfe, mości panie! co to waćpan gadasz?

Bywalski. A dobra, które ma na Ukrainie?

Grujska. Na Ukrainie? Cha — cha — cha!

Bywalski. Z czegóż się waćpani śmiejesz?

Grujska. Uczciwszy uszy waćpana, jeszcześć to przed obiadem, a waćpan, widzę —

Bywalski. Jestem trzeźwy, mościa dobrodziejko.

Grujska. A jać nie pijana, ani obrana z rozumu, uczciwszy uszy, żeby mi takie androny prawić.

SCENA VII.

CIŻ SAMI, FILUTOWICZ.

Filutowicz. Mościa dobrodziejko, jest to pilny interes, pójdź waćpani dobrodziejka do ogrodu, nim pan, który jest zamknięty z gospodarzem domu tego, przyjdzie sam do waćpani dobrodziejki.

Grujska. Jużem mówiła, że do ogrodu nie pójdę.

Filutowicz. Zmiłuj się waćpani dobrodziejka, bo od tego wszystko zawisło.

Grujska. To dobrze, — to i pójdę. (*Do Bywalskiego*) Kłaniam się uniżenie.

SCENA VIII.

BYWALSKI (*sam*).

Cóżto za szczęśliwa okoliczność, ten przyjazd ciotki naszego awanturnika! Ale trzeba na nią mieć oko, żeby ją sługa z panem gdzie nie skryli.

SCENA IX.

BYWALSKI, LEANDER.

Bywalski. Dobrze rzeczy idą.

Leander. Ach! cóż to za pożądana dla mnie nowina!

Bywalski. Odłóż waćpan na potem te eksklamacye, ja teraz idę dać znać o przybyciu pani Grujskiej, ciotki Erasta.

Leander. Toć tem gorzej dla mnie, kiedy jeszcze przybywa rekomendacya i wsparcie ciotki jego.

Bywalski. Dopomoże ona więcej podobno, niżeli się spodziewasz.

Leander. W przytomności matki zyskałem już pożądaną Konstancyi deklaracyę.

Bywalski. Winszuję. Ale nam tu niepotrzeba czasu nadaremnie trawić. Idź waćpan, przestrzeż matkę, żeby poszła do ogrodu przyjąć panią Grujską; ja tymczasem ojcu dam znać. *(Odchodzi).*

SCENA X.

LEANDER (*sam*).

Zdaje się nieco polepszać sytucya moja. Jednakże nie jestem bez bojaźni. Nie wiem, co znaczą obietnice pana Bywalskiego i dorozumieć się nie mogę, jak ciotka rywala mojego może mi być pomocna.

SCENA XI.

LEONORA, LEANDER.

Leander. Pan Bywalski kazał mi waćpani dobrodziejce powiedzieć, iż tu przyjechała niejaka pani Grujska, ciotka Erasta.

Leonora. Nie wiedziałam, że to jest jego ciotka, ale o jej przybyciu uwiadomiona jestem od mojej córki, i przyszłam ją przyjąć; ale gdzież ona jest?

Leander. Pan Bywalski mówił, iż jest w ogrodzie. Kazał mi być dobrego serca; z tem wszystkiem ten przyjazd martwi mnie. Obawiam się albowiem, aby nie był nową jeszcze przeszkodą do uszczęśliwienia mego.

Leonora. Nie trzeba być nadto bojaźliwym. Jesteś waćpan upewnionym o sercu mojej córki, o mojem interesowaniu się, resztę spuść na okoliczność: czasem one więcej czynią, niż nasz przemysł.

Leander. Wspiera mnie w troskliwości mojej to upewnienie. Ale nie będziesz mi miała za złe waćpani dobrodziejka, iż się jej protekcyi z jak najmocniejszem zaufaniem polecam. Ten przyjazd ciotki Erasta....

Leonora. Co mówił waćpanu pan Bywalski, ja powtarzam, i lubo niedowierzanie waćpana powinnoby mnie urazić — ale widzę, mój mąż nadchodzi. Ustąp waćpan na moment. (*Leander odchodzi*).

SCENA XII.

ANZELM, LEONORA, ERAST.

Anzelm. Byliśmy zamknięci w gabinecie dosyć długo, a czas mi się zdawał minutą, słuchając awantur jegomość pana Erasta. Szkoda, mościa pani, żeś z nami nie była. (*Do Erasta*). Ale waćpana proszę, jak sobie czas sposobny

upatrzysz, żebyś też i żonę moją informował o tem wszystkiem, com ja z takim gustem słuchał. Przyznam się waćpanu, żem się już strasznie bał o waćpana, a wtenczas osobliwie, kiedyś był na owej wyspie pustej. Jakto się nie bać, mościa pani, kiedy tu z jednej strony ludzie jacyś niewidziani, straszni; z drugiej zwierzęta niesłychane, a tu człowiek sam, bez ratunku, bez pomocy, bez wsparcia; prawdziwie, mościpanie, masz waćpan za co Panu Bogu dziękować, żeś z tak wielkich przygód szczęśliwie wyszedł. Ale potem o tem; — teraz przystąpmy do interesu! (*Do Erasta*). A waćpana proszę, żebyś się tymczasem z łaski swojej zatrzymał w gabinecie. (*Erast odchodzi*).

SCENA XIII.

ANZELM, LEONORA.

Anzelm. Zawżdy ja byłem upewniony o sentymentach waćpani i zemną zgodnych, i do córki naszej uszczęśliwienia zmierzających. Nie rządzę się passyą, nie czynię bez rozmysłu. I żebym dał dowód tego, co mówię —

Leonora. Nie wiem, czy waćpan wiesz, iż tu przyjechała —

Anzelm. Proszę nie przeszkadzać. Powiesz waćpani, co masz powiedzieć, jak ja skończę. — Jegomość pan Erast —

Leonora. Ale ciotka jego —

Anzelm. Co mi tam do ciotki. — Jegomość pan Erast tedy, kawaler zacnego urodzenia, fortuny znacznej, talentów osobliwych, eksperyencyi niepospolitej, oświadczył mi się z konkurencyą do naszej córki. Przez wzgląd należyty zatrzymałem się z deklaracyą finalną, póki się z waćpanią w tej mierze nie rozmówię, żeby zaś waćpani nie rozu-

miała, iż to, co czynię, czynię na oślep, uprosiwszy go, żeby się tymczasem zatrzymał w moim gabinecie, gdzieśmy dotąd zamknięci byli; przynoszę waćpani punkta do intercyzy ślubnej, które on sam podał i przy mnie napisał, i które dla tem gruntowniejszej konwikcyi słowo w słowo tak, jak są przez niegoż samego napisane, przeczytam.

Leonora. Ale pozwól mi waćpan.

Anzelm. Dałaś mi waćpani słowo, że mi przeszkadzać nie będziesz. Jak skończę czytanie, przyrzekam waćpani, że jej odpowiedzi nie będę przerywał. Teraz proszę słuchać: (*Czyta*). Punkta i propozycye do intercyzy ślubnej, podane przez JW. jegomość pana Erasta Zygmunta Ferdynanda Maksymiliana hrabi na Trzmielinie, Czembrzycach i Ratajowie etc., etc., etc.

1. Obliguję się naprzód dać dożywocie na wszystkich dobrach moich ojczystych i macierzystych, nabytych i sukcessyonalnych, tak w Koronie Polskiej, jako i w Wielkiem Księztwie Litewskim.

2. Bezpieczeństwo wniosku przyszłej małżonce mojej oznaczam i zapisuję na hrabstwach moich Trzmielińskiem i Czembrzyckiem.

3. Tejże przyszłej małżonce mojej prostym długiem zapisać obliguję się sumę 269,275 złp. na dobrach Kopczyńskich i Japejhorockich, w województwie Kijowskiem, w powiecie Owruckim leżących.

4. Item tejże małżonce mojej przyszłej na bankach Niderlandzkich 38,214 talarów twardych, a to na szpilki ofiaruję. — Item sukcessyi część po książętach de Castramonte, w Benewencie, i kniaziach Dundukiewiczach w księztwie Astrachańskiem, z prababy na mnie spadłą, pod prawo dożywocia przyszłej małżonki mojej podciągam i kładę.

Item dobra Gruików mały, Gruików wielki, Korytycze, Pudry, Czembrzache, Prejłowo, Pejtuny i Kierzbuń, pod dożywociem JW. Jejmość panny Elżbiety, Eufrazyi z Niuchnickich Grujskiej, ciotki mojej, zostające, a na mnie dziedzicznem prawem po śmierci tejże JW. Elżbiety Eufrazyi Grujskiej...

SCENA XIV.

CIŻ SAMI, GRUJSKA, BYWALSKI.

Grujska *(wpada z impetem)*. Jakto po mojej śmierci? — Co to? — Albo to jegomościne? — albo co? — a gdzieto on jest?

Anzelm. Cóżto takiego, mościa pani? — W domu moim takie czynić hałasy?

SCENA XV.

CIŻ SAMI, ERAST (*wypada z gabinetu*).

Erast (*do Anzelma*). Ale, mości dobrodzieju!

Grujska (*do Erasta*). A cóżto, panie młody? któregom ja dotąd z miłosierdzia żywiła?

Erast. Ale mościa pani!

Grujska. Waść, który, żebyś był nie miał odemnie wózka i stangreta, musiałbyś się był piechotą po świecie wałęsać!

Erast (*do Anzelma cicho*). To waryatka jakaś.

Grujska (*do Erasta*). Co to waść szepczesz? (*Do Anzelma*). Nie wierz mu waćpan, choć to mój siostrzeniec; on łże, jak najęty. Przypadkiem dowiedziałam się, że on tu jest; ucieszyłam się, że się żeni, i chciałam też być na weselu, ale jegomość śmie o mojej śmierci gadać, i jakieś

czyni dyspozycye tego, co ja mam, a do czego on nie należy.

Erast. Ale mościa pani! cóżto jest takowego?

Grujska. Jakto, mościa pani? — Nauczę ja cię tu, łgarzu, respektu dla starszych.

Anzelm. Mości panie Eraście! Cóż to znaczy ta scena?

Erast. Prawda, że jejmość jest niejako do mnie i należąca, ale jej stan, jak sami waćpaństwo dobrodziejstwo widzicie —

Grujska. Lepszy zapewne niż twój, co nic nie masz, bo twój ojciec Bartłomiej wszystko przepił.

Bywalski. Mościwy panie! a co na to powie król jegomość hiszpański?

Erast (*do Anzelma*). Mości dobrodzieju! proszę nie dać wiary tej białogłowie zapamiętałej.

Grujska. I śmiesz mi jeszcze, bezbożniku, w oczy tak mówić, za moje łaski, za moje dobrodziejstwa? Mości państwo, dajcie mu córkę, albo nie, ja od tego ręce umywam. Ale to macie wiedzieć, że mu nie dam nic, bo mojej łaski niegodzien. Kłaniam. (*Odchodzi*).

SCENA XVI.

CIŻ SAMI.

Erast (*do Anzelma*). Ta scena, mości dobrodzieju, zapewne jest dziełem nieprzyjaciół moich. Nadto dobrze trzymam o wspaniałych sentymentach...

Anzelm. Mości panie! sentymenta moje są takie, jakie być powinny, a ta scena otworzyła mi oczy. Może być, że waćpan i pan wielki, i owszem, dla tego samego, iż wierzę, że jesteś wielkim panem, ja, prosty szlachcic, córki

mojej waćpanu nie dam. Nierówność kondycyj nieszczęściem jest małżeństw. (*Erast ucieka*).

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, LEANDER (*wchodzi*).

Anzelm (*do Leandra*). Właśnie tu waćpan na czas przyszedł, mości panie Leandrze; niegodna córka moja jegomości pana hrabi: dla panów, pań potrzeba. Wy, równi, chudzi pachołcy, bądźcie z córką moją szczęśliwi.

SOLENIZANT.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Staruszkiewicz, stryj Leandra.
Leander.
Pan *Cześnik*.
Pani *Cześnikowa*.
Pan *Skarbnik*.
Pani *Skarbnikowa*.
Pan *Podwojewodzy*.
Pani *Podwojewodzina*.
Pan *Pogromski*, towarzysz.
Dumski, marszałek dworu Leandra.
Tarabański kapitan.
Wytrząsalski, podskarbi.
Szłapaczyński, koniuszy.
Konceptowicz, sekretarz.
Puzan, kapelmajster.
Gierwaziewicz, } pokojowi.
Protaziński, }
Bartłomiej, szafarz.

Scena w domu Leandra.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

BARTŁOMIEJ (*sam*).

Dobrze się stało, że naszego panicza pan Cześnik na obiad do siebie zaprosił: ale cóż po tem, kiedy go znowu

zbałamucił pan marszałek: nie daj się waćpan wspaniałością przewyższyć. Pan Cześnik daje obiad, daj waćpan wieczerzą — bal, fajerwerk, illuminacyą. Pan na to: — bardzo dobrze! wołajcie Bartłomieja! — Przychodzę. — Bartłomieju! niech dziś będzie wieczerza, bal, fajerwerk, illuminacya! — Ja: — Ale mości dobrodzieju!... nie dał mi domówić, i z izby wyszedł. A tu pieniędzy nie masz, żyd za kwitami już półtora roku arendy zapłacił; ja nie mam nic przy sobie, a choćbym miał, nie dam Oj nie dam i pół szeląga! Cóż to za bieda z tymi młodymi panami! Jakie to marnotrawstwo! Miły Boże! coby na to mówił nieboszczyk jegomość? On, co tylko w niedzielę, i to nie zawżdy, kawał i to nie wielki sztuk mięsa miał na stole. O kapłonach ani pytaj, kurka chyba wtenczas, kiedyśmy się bali, żeby nie zasłabła, a nie było można przedać; kaszą, kluseczkami, dorobiliśmy się chleba. Niewiele się jadło, nie wiele się piło. Ale też co kontrakty była wieś, albo suma na prowizyą po dziesięć od sta. Pieniędzy huk, zboża pełno, bydła dostatkiem. A teraz co? W pokojach adamaszek, a w stodole pustki; w lamusie psiarnia — wołyśmy zjedli, krowy przedali. Mamy za to dwie furmanki i forysiów po angielsku. Dobrze, panenku! dobrze: wyjedziemy my z domu tego furmankami, a podobno bez powrotu. Ja nie wiem, gdzie te furmanki powiozą — a wreszcie co mi do tego! Niech hula, niech traci! jam sobie swoją sumkę na kahale ulokował; będzie czem żyć na starość, i może się jeszcze co z prowizyi okroi. Nie chciał mnie słuchać, niechże sobie lepszego szuka. Mówiłem, perswadowałem, prosiłem; darmo! Cóż ja mam dalej czynić? Porzucę wszystko: niech czyni co chce! tak jest, porzucę!

Ale mi go jednakowo żal. Przecież to pańska krew: dorobiłem się kawałka chleba; nie godzi się syna porzucać.

Ale na cóż ja się zdam, kiedy mnie nie słucha? Prawda. Ale kto wie, może kiedy i usłucha, może się upamięta. Stryj też ma przyjechać; poczekam jeszcze, niech-no stryj przyjedzie.

SCENA II.

MARSZAŁEK, BARTŁOMIEJ.

Marszałek. Cóż to znowu waść sam do siebie gadasz?

Bartłomiej. Sam do siebie, bo mnie nikt słuchać nie chce.

Marszałek. Bo może niemasz co słuchać.

Bartłomiej. Tym, którym to słuchanie niemiłe.

Marszałek. Waść, widzę, coś nadto pobrząkujesz — znaj się waszeć na sobie, czyń coś powinien, a pamiętaj, iż nie przystoi szafarzowi być kaznodzieją.

Bartłomiej. Wielu nie przystoi być tem, czem są. Tak to teraz świat idzie. Ale nie chcę już więcej mówić, żebyś mnie waćpan znowu kaznodzieją nie nazwał.

Marszałek. Słyszałeś waść, panie Bartłomieju, co jegomość rozkazał?

Bartłomiej. Toćem słyszał.

Marszałek. Trzeba tedy, żeby wieczerza była suta, stół pański na osób dwadzieścia, marszałkowski na osób trzydzieści, oprócz tego dla gościnnej czeladzi na stół u waszeci.

Bartłomiej. Dwadzieścia osób u pana, trzydzieści u waćpana, u mnie może pięćdziesiąt. Będzie tedy na dziś na wieczerzę osób dwadzieścia a trzydzieści, pięćdziesiąt, a pięćdziesiąt, sto. Na to wszystko ani wołu, ani krowy, ani jendyka, ani gęsi, ani kaczki, ani nawet chleba nie masz.

Marszałek. A mnie co do tego?

Bartłomiej. Kazał jegomość dać illuminacyą, a tu nie masz ani wosku, ani łoju, ani oliwy; lamp już i księdzu plebanowi nie stało, bośmy je wytłukli.

Marszałek. A mnie co do tego?

Bartłomiej. Nadto, kazał jegomość dać bal. Pan kapelmajster grać nie chce, bo niepłatny od pół roku, trębacz od ustawicznego grania chory na dychawicę. Pan Pogromski z panem koniuszym ostatnią razą potłukli sobie flety na łbach.

Marszałek. Jużem waszeci powiedział, że mnie nic do tego; dość że pan chce, i musi tak być, jak pan chce. Rozumiesz waść, panie Bartłomieju? (*Odchodzi*).

SCENA III.

BARTŁOMIEJ (*sam*).

Rozumiesz waść, panie Bartłomieju? Piękna dyspozycya! Ja mu przekładam, czego potrzeba, a on: a mnie co do tego? Pan chce, pan każe. Niechże pan płaci! Ja cudów nie będę robił. Kiedy z jegomością do stołu, kiedy do flaszki, ani się można natenczas przez panów urzędników przecisnąć; a kiedy trzeba panu dopomódz to wszystek ciężar na Bartłomieja. A jużem też i stary: godziłoby się pofolgować staremu słudze. Ale czy myślą o tem nasi panowie? Oj nie! Trzeba się będzie jednakowo zaprzątnąć; ale też to już ostatni raz. Jegomość, widzę, powraca — co za assystencya!

SCENA IV.

LEANDER, MARSZAŁEK.

Marszałek. Szkoda mówić; pięknie pan Cześnik panu aplaudował, nieżal mu będzie odwdzięczyć tak, jak to pan umie.

Leander. Ale podobno coś mi chciał mówić szafarz. Zmiłuj się waść, żeby on swojem skąpstwem ochoty nam i balu nie popsuł.

Marszałek. Niech się tylko pan na mnie spuści, a temu staremu bajarzowi nie wierzy; upewniam, że będzie wszystko z honorem. Ale niech pan każe przywołać ichmościów urzędników dworskich, i każdemu przynależyte czyni dyspozycye; ja tymczasem pójdę wszystko przygotować, co się mojej funkcyi tyczy. (*Odchodzi*).

Leander. Gierwaziewicz!

SCENA V.

LEANDER, GIERWAZIEWICZ, PROTAZIŃSKI.

Gierwaziewicz. Co pan każe?

Leander. Wołaj podskarbiego, koniuszego, sekretarza. Protaziński!

Protaziński. Jestem, mości dobrodzieju!

Leander. Niech tu przyjdą kapitan i kapelmajster.

SCENA VI.

LEANDER, PODSKARBI, KONIUSZY.

Leander. Panie koniuszy! każ waść, żeby była w stajni wszelka gotowość, konie przybrane, o czubach nie zapomnieć. Jędrzej stangret niech sobie szwarcowane wąsy przyprawi; koń mój cisawy niech będzie okulbaczony, każesz waść rząd mój pozłocisty na niego włożyć.

Koniuszy. Stanie się wszystko według woli pańskiej. Ale, mości dobrodzieju!

Leander. Dajże mi waść pokój z tem ale.

Koniuszy. Ale mości dobrodzieju! Stajenni strawnych...

Leander. Jużem powiedział, że tych ale nie lubię. Niech będzie wszystko tak, jakem rozkazał. Czubów nie zapomnieć. Pójdź waść, panie podskarbi!

Podskarbi. Jestem do usług pańskich.

Leander. A przyszły pieniądze od tego żyda?

Podskarbi. Od tego żyda, mości dobrodzieju?

Leander. Tak jest, od tego żyda, co je tu miał przewekslować.

Podskarbi. Przewekslować, panie dobrodzieju?

Leander. Tak jest, przewekslować.

Podskarbi. Panie dobrodzieju, przepraszam!

Leander. Za cóż mnie waść przepraszasz?

Podskarbi. Przepraszam, panie dobrodzieju! bom pieniędzy nie odebrał, i o wekslu nie słyszałem.

Leander. Jakto waść nie słyszałeś! Wszakem mówił ostatnią razą, że waść miałeś — o te pieniądze...

Podskarbi. O te pieniądze, panie dobrodzieju? od dwóch miesięcy w skarbie pańskim i szeląga nie masz; i moja pensya....

Leander. Dajże mi waść pokój z tą pensyą i tym swoim skarbem: niech tu przyjdzie pan kapitan!

SCENA VII.

LEANDER, KAPITAN.

Kapitan. Ssta—sta—wam na zawoła—łanie na pa—pa—pański ordy—dy—nans.

Leander. Ludzie czy są w gotowości?

Kapitan. Ta—ta—tak jest.

Leander. Harmaty zatoczone?

Kapitan. Ta—ta—tak jest.

Leander. Broń czy jest czysta, i ładunki do strzelania czy dostali żołnierze?

Kapitan. Ta—ta—tak jest.

Leander. Słuchajże waść, panie kapitanie! Jak będą goście przyjeżdżać, pamiętaj waść dać ordynans wachmistrzowi, żeby żołnierze byli w kurdygardzie. Jak zaś goście będą wjeżdżać, niech warta zawoła: Rauss! —

Kapitan. Ra—ra—rauss. —

Leander. Ale nie przeszkadzaj mi waść. Jak więc goście będą wjeżdżać, niech warta zawoła Rauss! —

Kapitan. Ta—ta—tak jest, Rauss.

Leander. Ale już mówiłem, nie przerywaj mi waść.

Kapitan. Ta—ta—tak jest.

Leander. Jak więc goście będą zajeżdżać, niech uważają karetę, w której będzie pan Cześnik i pani Cześnikowa i panna Cześnikówna

Kapitan. Ro—ro—zumiem i pa—panna Cześnikówna.

Leander. Przestańże waść, kiedy ja mówię. Jak tedy postrzegą karetę pana Cześnika, niech dobosz natenczas już nie bije werbel, ale marsz!

Kapitan. To—to—to—być nie może.

Leander. Jakto być nie może?

Kapitan. Nie—nie—nie może. Marsz się bi—bije tylko przed pa—panem i kró—kró—królem.

Leander. Co mi tam waść prawisz! Ja tak chcę, i tak musi być. Rozumiesz waść?

Kapitan. Ta—ta—tak jest.

Leander. Jak przyjdzie czas wieczerzy, niech żołnierze półmiski z kuchni niosą; wachmistrz przed niemi z laską, a oni jeden po drugim.

Kapitan. Żoł—żoł—żołnierze do pół—półmisków?

Leander. Ta—ta—tak jest. Już mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Jak przyjdzie zastawiać i zdejmować potrawy, niech stoją rzędem, a każdy niech się prosto trzyma i patrzy w bok.

Kapitan. Nie—nie - na—pół—pół—miski?

Leander. Waść, widzę, nie możesz wytrzymać, żebyś czego nie dołożył. Jak przyjdzie bić capstrzyk, niech dobosz pod okna sali chodzi, żeby słyszeli goście.

Kapitan. I po—po—szli spać.

Leander. Idź-że już i waść, a nie bałamuć.

Kapitan. Ale—le mo—mości do—do—brodzieju — żoł—nie—

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, KAPELMAJSTER.

Kapelmajster. A ja kiedy będzie gralem?

Leander. Niech kapela będzie na pogotowiu; da znać pan marszałek, kiedy się będzie miał koncert zacząć.

Kapelmajster. Concerto — a — ja — Concerto!

Leander. Po kolacyi zaś, gdy stoły wyniosą, staniesz waść z kapelą do grania tańców.

Kapelmajster. Mój skrzypc nie po polski: Symfonie, Quarteto — ja; ale taniec, ja nie będzie taniec.

Leander. Kiedy waść u Polaka służysz, grajże waść po polsku, a nie wymyślaj. Rozumiesz waść, panie Puzan?

Kapelmajster. A — ja — ja!

SCENA IX.

CIŻ SAMI, POGROMSKI.

Pogromski (*pijany*). Pana dobrodzieja — witam i winszuję — applauzów — statecznego — wyroków Boskich. Ale jakież to wino u naszego kochanego Cześnika! — Przysięgam Bogu! — to kochany dobrodziej — pan — (*patrzy na kapitana*) a jegomość z Flandryi?

Leander. Nie, to komendant moich nadwornych żołnierzy.

Pogromski. Mości panie komendancie nadwornych żołnierzy, kłaniam.

Kapitan. Kła—kła—kłaniam.

Pogromski. Kochany rycerzu! — powiedz — co tam słychać w Flandryi?

Leander. Jużem waćpanu powiedział, że jegomość nie z Flandryi.

Pogromski. Jegomość — nie z Flandryi? — przepraszam. — Ale pan dobrodziej już to podobno zapomniał o prawdziwych sługach swoich?

Leander. Po czemże to waćpan miarkujesz.

Pogromski. Po czem miarkuję? — po wszystkiem.

Leander. Jakto?

Pogromski. Oto tak. — Najprzód pan wie, jak to bywało — za dawnych czasów. — Póki świat światem — a ha!

Leander. Nie rozumiem, co waść chcesz przez to wyrażać.

Pogromski. Ale ja rozumiem. (*Do kapitana*). Monsiu, a każ waść wina przynieść.

Kapitan. Ja nie do—do kie—lisz—ka słu—słu—żę.

Pogromski. A do czegoż, kochany rycerzu?

Kapitan. Do na—na—uczenia ro—ro—

Leander (*do kapitana*). Dajże waść pokój, wszak widzisz, że pijany: nie rób mi historyi w domu. (*Do Pogromskiego*). Mości panie Pogromski, będzie wola kieliszek wina. (*Kapitan odchodzi*).

Pogromski. Dobrze — kiedy pan każe. — Ale widzę, kochany rycerz — markotny; każ go panie dobrodzieju zawołać; — ja go potrafię ucieszyć! — Pan wie, jak to ja — e e kszyt — ciach —

Leander. Gierwaziewicz! (*Przychodzi*). — Przynieś wina i zawołaj pana marszałka, niech tu zaraz przyjdzie.

SCENA X.

CIŻ SAMI, MARSZAŁEK.

Leander (*z kielichem*). Mości panie Pogromski! do waćpana — stateczna przyjaźń!

Pogromski. Pan niełaskaw na sługę. Nie tak to bywało za naszych czasów. Pan naparsteczkiem pije jak kanareczek.

Leander. Przepraszam, że nie pełno; muszę ochraniać się dla dzisiejszej ochoty.

Pogromski. Prawda — (*z płaczem*) zgrzeszyłem; — odpuść Panie — posądziłem — zgrzeszyłem — Panie marszałku! padnijmy do nóg — przepraszamy. (*Pada do nóg*).

Leander (*porywa go*). Ale co waćpan czynisz? nie żartuj!

Pogromski (*klęczy*). Zgrzeszyłem — posądziłem. (*Do marszałka*). A waść czemu nie klęczysz?

Leander. Bo ja tego nie chcę. (*Podejmuje Pogromskiego*). Nie żartuj waćpan, nalej sobie.

Pogromski. Dobrze! (*Do Gierwaziewicza*). Lej, kochany! pełno — pełno — wiwat (*do marszałka*) — jak to, panie marszałku! — festum colimus: wszak tak?

Marszałek. Cujus festum colimus?

Pogromski. Jaki mi to waść łacinnik! Czy colimus, czy nie colimus, a ja sługa pański — i kwita; a kto nie wierzy....

Leander. Ale ktoby nie wierzył?

Pogromski. Ja pewien łaski pańskiej, ale ten jegomość, panie dobrodzieju! pozwól, niech się ja z tym niemiaszkiem ucieszę. — Ehe! —

Leander. Daj waćpan temu pokój, a teraz proszę być wesołym w domu moim.

Pogromski. Ej panie dobrodzieju! pozwól tylko na moment — na kwandransik.

Leander. Potem o tem; niezabawem będę waćpanu służył, teraz muszę na moment odejść.

Pogromski. Ja odejdę — niech pan zostanie (*Do marszałka*). Pójdźmy do niemiaszka.

Marszałek. Proszę pierwej do mnie, napijemy się.

Pogromski (*Leandrowi do ucha*). Panie dobrodzieju! — ten pan marszałek — to skarb, nie człowiek. (*Odchodzi*).

SCENA XI.

LEANDER (*sam*).

Przecieżem pozbył się tego importuna. Pijak, burda, okazyi tylko szuka, ale kiedy przyjdzie do czego — jużem poznał, jak spokojny i grzeczny. Przykrzy mi się sposób mojego życia, ale jak go odmienić? powiedzą, że czynię z musu; powiedzą może, że dziwak: w Warszawie ani się będzie można pokazać. Ale i w Warszawie są tacy, którzy się tym sposobem.... ale może ta, dla której... płeć jej lubi wspaniałość, ale ona przywar płci swojej nie zna.

SCENA XII.

LEANDER, MARSZAŁEK.

Leander. A cóżeś waść tam z Pogromskim zrobił?

Marszałek. Dwa kielichy zwaliły go z nóg; śpi teraz smaczno, ale mości dobrodzieju, szafarz!

Leander. Ah! zmiłuj się! nie cierp ostatniej mojej konfuzyi.

Marszałek. Wchodzę ja w czułość pańską. Ale cóż czynić z tym człowiekiem, który na przekorę zapewne panu wszystkie te sztuki wyrządza. A godziłoby mu się większą mieć atencyą dla pana. Każ go waćpan dobrodziej zawołać, i naucz chłopa rozumu. Niech wie, że pański poddany. Rozbrykał się w nadziei, że stary sługa; i dlatego, że ojcu służył, rozumie, że powinien syna rozumu uczyć.

Leander. Trzeba też to czasem wybaczyć przez wzgląd na wiek, na dawne usługi.

Marszałek. Wybaczyć chłopu? — Nigdy. Wierz mi pan dobrodziej, iż ten rodzaj żadnego względu nie godzien; dobroć go psuje. Urodzony do jarzma, trzeba, żeby jarzmo znał; inaczej tak, jak nasz ten miły pan Bartłomiej rozbryka się, i jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaże.

Leander. Żarliwość waćpana dla mnie uczynna, ale nie ludzka. Znam ja, że chłop; dlatego, że jest chłopem, nie przestaje być człowiekiem. A żem jest jego panem, przypadek urodzenia nie powinien być przyczyną nieszczęścia tych, któremi rządzę.

AKT DRUGI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ *(sam)*.

Nikt mnie nie postrzegł! miałem tu zastać Bartłomieja, a widzę, że go jeszcze nie masz. Biedny starzec za-

pewne się jeszcze krząta, żeby dogodził wymysłom młodego pana. Powiedział mi pan Cześnik, że on tu wiele cierpi, zapewne od mego synowca. Znam ja jego dobrą naturę, ale to jego marszałki, koniuszowie, podskarbowie, ci i pana gubią, i tego dobrego staruszka męczą. Mam w Bogu nadzieję, że tego długo nie będzie.

SCENA II.

STARUSZKIEWICZ, BARTŁOMIEJ.

Bartłomiej. Ach mości dobrodzieju! Pan Bóg nam tu waćpana zesłał. Nie poznasz waćpan i dwór i ludzi. Patrzaj-no waćpan, jakem się ja tu zestarzał. Oj! bieda mi bardziej dokuczyła, niżeli lata.

Staruszkiewicz. Jakże się masz, mój kochany Bartłomieju?

Bartłomiej. Miałcibym się nieźle, ale tutejszy nierząd i zdrowie mi odjął, i jeżeli dłużej tego będzie, i życie mi weźmie.

Staruszkiewicz. Nie turbuj się, znajdzie się na wszystko lekarstwo. A odebrałeś mój list?

Bartłomiej. Tego momentu oddał mi posłaniec.

Staruszkiewicz. Pamiętajże to wykonać, com tam napisał. A nim się zakrzątniesz koło roboty, powiedz, co tu u was słychać?

Bartłomiej. Ah! mości dobrodzieju! źle. Pan dobry, ale go otoczyła zgraja ludzi niegodziwych, niepoczciwych. Póki w domu z początku siedział, wszystko szło dobrze. Wyjechał potem do Warszawy, bawił tam kilka miesięcy, dają znać, że powraca. Wybiegłem na ganek, patrzę, aż tu asystencya, i za karetą, i przed karetą, i około karety. Wyjechał był tą błękitną kolasą gdańską, w której (jak

waćpan dobrodziej pamiętasz) jegomość nieboszczyk co rok jeździł na kontrakty. Została się w Warszawie; podobno ją tam komuś darował, a tu przyjechał karetą wyzłacaną, wymalowaną. Za nim kareta druga; rozumiałem, że goście aż tu pan marszałek, pan sekretarz, pan podskarbi, i jakiś towarzysz, pan Pogromski.

Staruszkiewicz. Pogromski? — A to co? ten pijak, burda, oszust?

Bartłomiej. Ten sam. Nie na tem się skończyło. W kilka dni potem, gdym jeszcze na łóżku leżał, słyszę, aż tu w taraban biją. Rozumiałem, że zajazd. Porwałem się z łóżka; aż mnie tu pokojowy powiada, że to pan kapitan i nadworni żołnierze ciągną. Nie chciałem wierzyć. Wypadam na dziedziniec, aż oni stawiają warty u bramy, u sieni; kapitan musztruje, zataczają harmatki, rynsztunki z wozów dobywają. Na to wszystko łzy mi stanęły w oczach; wspomniałem sobie nieboszczyka pana, wspomniałem waćpana dobrodzieja, przeklinałem Warszawę.

Staruszkiewicz. Cóż dalej?

Bartłomiej. I na wołowej-by skórze nie spisał, co tu się potem działo. Pamiętasz waćpan owe beczki wina starego w żelaznych obręczach, co to jegomość nieboszczyk strzegł jak oka w głowie?

Staruszkiewicz. Pamiętam.

Bartłomiej. Wypili je za dwa dni, a co zdrowie, dalej z harmatek, albo z ręcznej strzelby, jak na Boże Ciało. Po starem poszły i młodsze, dalej i miód, nawet wiśniak, maliniak, jabłecznik.

Staruszkiewicz. Ah dla Boga! cóż to za zbytki!

Bartłomiej. Słuchaj-no waćpan dalej. Nieboszczyk pan, spodziewając się głodu, przez dwa roki nie posełał zboża do Gdańska; już nie było miejsca w śpichlerzu.

*

Staruszkiewicz. Cóż się z niem stało?

Bartłomiej. Kupił go żyd za bezcenek.

Staruszkiewicz. A pieniądze?

Bartłomiej. Pieniądze? Nie wiem, jeżeli dał w gotowiźnie i pięć tysięcy, i to samemi miedziakami. Za resztę sprawił sobie pan marszałek cztery pary sukien. Pan podskarbi wziął kwitowe. Pan koniuszy dwa szłapaki. Kapelmajster posprowadzał niezliczoną moc partyturów, instrumentów. Sprawiły się mundury dla żołnierzy. Mnie dali resztę na ekspens; zgadniej waćpan wiele?

Staruszkiewicz. Przynajmniej dwa tysiące.

Bartłomiej. Dwieście siedmdziesiąt pięć złotych, groszy trzynaście i szeląg. A z tego (patrzaj-no waćpan) trzeba było wystarczać na stół, na cukry, na fajerwerki, na illuminacye, i jeszcze wydarł mi pan Pogromski złotych sześćdziesiąt, jak mówił, wygranych od jegomości w chapankę.

Staruszkiewicz. To było nie dawać.

Bartłomiej. Tak jest, nie dawać, kiedy szablą nad łbem machał.

Staruszkiewicz. Ah! dla Boga! cóż to takiego!

Bartłomiej. Jeszcze to nie wszystko. Patrzaj-no waćpan. *(Wyjmuje regestr).*

Staruszkiewicz. Cóż to w tem piśmie?

Bartłomiej. Każesz go waćpan czytać?

Staruszkiewicz. Czytaj.

Bartłomiej *(bierze okulary na nos).* Specyfikacya długów Wielmożnego Jegomości Pana.

Staruszkiewicz. Zaniechaj tytułów, czytaj z góry.

Bartłomiej. Najprzód. — Niewiernemu Szmule Aaronowiczowi za korzenie brane do kuchni, — tysiąc siedmset czterdzieści dwa złote, groszy trzy.

Staruszkiewicz. Tysiąc siedmset złotych za korzenie? Jego ojciec przez całe życie tyle nie zjadł.

Bartłomiej. Panu Łokciewiczowi, kupcowi warszawskiemu, za sukno na liberye, tysiąc czterysta pięćdziesiąt cztery złote, groszy ośm. —

Staruszkiewicz. Komuż te liberye?

Bartłomiej. Mamy lokajów czterech, hajduków dwóch, laufra, murzyna, strzelca, pajuka, Turczyna —

Staruszkiewicz. Przestań tej litanii.

Bartłomiej. Krawcowi warszawskiemu Falendyszowi za robienie tychże liberyj i sukien dla jegomości, złotych dziewięćset dwadzieścia pięć.

Staruszkiewicz. A nie masz tu krawców bliżej?

Bartłomiej. Są, ale nie warszawscy; a jak powiada pan marszałek, w Warszawie tylko umieją suknie robić.

Staruszkiewicz. W Warszawie? A my to bez sukien chodzimy? Dalej. —

Bartłomiej. I tem. Temuż Falendyszowi za robienie munduru paradnego dla kapitana, złotych pięćset dwadzieścia.

Staruszkiewicz. Jakto? pięćset dwadzieścia, za robienie munduru?

Bartłomiej. Ale bo to i mundur zrobił, i sukno na swój regestr wziął, i galony.

Staruszkiewicz. A to co inszego. Dalej.

Bartłomiej. I tem. Temuż Falendyszowi za pięć fraków dla jegomości, i dwa roklory.

Staruszkiewicz. Cóż to znowu te fraki i roklory?

Bartłomiej. Pytaj się waćpan jegomości; za fraki i roklory złotych dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt, i groszy ośm.

Staruszkiewicz. O! musi to być coś pięknego! Dalej. —

Bartłomiej. I tem. Panu Falendyszowi. —

Staruszkiewicz. A pókiż tu tego Falendysza? Komuż tam jeszcze więcej?

Bartłomiej. Panu Drumondier, kupcowi Francuzowi, za dwie Enkoiury, Berżere i Trumo do buduaru.

Staruszkiewicz. A po jakiemu to waszeć gadasz?

Bartłomiej. Oj! po naszemu, mości dobrodzieju! Ja nie wiem co to jest, ale wiem, że kosztuje złotych trzy tysiące ośmset dwadzieścia dziewięć.

Staruszkiewicz. Daj go katu! — Dalej.

Bartłomiej. Za dezobliżantę na resorach.

Staruszkiewicz. E? —

Bartłomiej. Za dezobliżantę na resorach.

Staruszkiewicz. A to co?

Bartłomiej. Jest to kareta na jedną osobę.

Staruszkiewicz. A po co nie na dwie, albo na cztery? można i przyjaciela pomieścić. Cóż za tę dezobliżantę?

Bartłomiej. Złotych dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Staruszkiewicz. A czemuż nie trzy tysiące?

Bartłomiej. Utargowaliśmy złoty.

Staruszkiewicz. Dalej.

Bartłomiej. Puszkarzowi Dymkiewiczowi za dwieście kóp szmermelów, rac dwa tysiące siedmset czternaście, młynków czterysta dziewięćdziesiąt pięć, puszków....

Staruszkiewicz. Hola! hola! hola! cóż za to wszystko?

Bartłomiej. Puszków....

Staruszkiewicz. Cóż za to?

Bartłomiej. Złotych siedm tysięcy dwieście ośmdziesiąt cztery.

Staruszkiewicz. Bodajże tego Dymkiewicza. Ale ktoś idzie: bywajże zdrów; reszty mi potem dokończysz.

Pamiętaj to wszystko wykonać, com napisał, a bądź pewien o mojej wdzięczności. *(Odchodzi).*

SCENA III.

BARTŁOMIEJ, LEANDER.

Leander. Nie spodziewałem się tego po tobie, mój kochany panie Bartłomieju! żebyś dawne swoje ku mnie przywiązanie odmienił.

Bartłomiej. Jakto, miłościwy panie?

Leander. Pan marszałek mi powiedział, iż właśnie jak na przekorę, wtenczas, kiedybym ja jak najlepiej w dzień imienin moich chciał się pokazać, waszeć jakieś trudności wymyślasz, i nie chcesz nic tego uczynić, coś był przedtem zwyczajnie dla mnie wiernie i uprzejmie.

Bartłomiej. Mości dobrodzieju! wiesz waćpan, że ja waćpana kocham. Godzi się staruszkowi użyć tego terminu. Oj panejku! waćpan tego nie pamiętasz, kiedyś był jeszcze maleńkim, jam waćpana kołysał, piastował, a nieboszczyk pan nieraz mi mówił: Bartłomieju! jak ja umrę, służ dobrze Józiowi. *(Płacze).*

Leander. Jakże to, Bartłomieju? Powiadasz, że mnie kochasz, a nie chcesz dla mnie nic uczynić.

Bartłomiej. A cóż ja mam uczynić, kiedy nie masz nic ani w śpiżarni, ani w gumnie? a o pieniądzach ani pytaj; a pan chce gości traktować i sprawiać illuminacye.

Leander. To mi to sługa, panie Bartłomieju! kiedy to w potrzebie pana wesprze. Żebyś wiedział o co tu idzie!

Bartłomiej. A o co?

Leander. Znasz dobrze moję sąsiadkę, pannę Cześnikównę, znasz jej piękność, jej talenta, jej statek. Od kilku czasów, ile możności staram się jej przypodobać. Dziś ma

być u mnie z rodzicami; cóż ja poczną nieszczęśliwy, kiedy ich nie przyjmę tak jak są godni?

Bartłomiej. Ma pan racyą. Ale wie pan, jak to powiadają, że trudno z piasku bicz ukręcić?

Leander. Pomyśl-no trochę. Mój kochany! mój luby! mój serdeczny! *(Ściska i całuje Bartłomieja).*

Bartłomiej. Tak to panowie zawżdy, kiedy potrzeba, to: mój luby! mój serdeczny! A kiedy nie, to na Bartłomieja ani patrzyć.

Leander. Krzywdę mi czynisz: ja nie jestem z liczby tych niewdzięczników, tych nieludzkich, niegodziwych.

Bartłomiej. Prawda, panejku, że waćpan dobry, ale te panicze, co to waćpana otaczają, i na wszystko złe wiodą. Zobaczysz waćpan, że nie będziesz miał z nich pociechy.

Leander. Prawdę mówisz, Bartłomieju! i ja to już zaczynam poznawać; ale tymczasem dzisiejsza wieczerza.

Bartłomiej. Żebyś był waćpan przynajmniej wcześnie powiedział, dali Bóg! zastawiłbym ostatnią łachmanę, żeby panu dogodzić. Ale tu czas krótki, a w śpiżarni nie masz nic, tylko dwie wędzonki, i faska mąki gryczanej. Cóż już czynić? będę głową o mur tłukł — aż się co sklei. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

LEANDER *(sam).*

Dobry ten staruszek, podobno ma racyą — te moje urzędniki swojego tylko dobra szukają, a o pana żaden z nich nie dba.

SCENA V.

LEANDER, KONCEPTOWICZ.

Leander. Cóż to, panie Konceptowicz?

Konceptowicz. Nie chcąc być inutilis sub tecto passer, przyniosłem tu panu niektóre idee, służące do dekoracyi marcypanów na dzisiejszym festynie.

Leander. Jakież tam są?

Konceptowicz (*wyjmuje papier*). Jużem się umówił z cukiernikiem — teraz dependuję od pana dać łaskawą aprobatę: parcere subjectis.

Naprzód tedy, mości dobrodzieju, będzie na środku cukrowej dekoracyi litera J. w cyfrze, a pod nią takowy napis:

Śliczna Dyanna,
Bogini Joanna.

Po prawej stronie będzie herb ojczysty jegomości pana Cześnika, Rogala, z inskrypcyą:

Wdzięczne rogi,
Trwogi, w nogi.

Po lewej, macierzysty klejnot jejmości pani Cześnikowej, panna na niedźwiedziu, lemma:

I niedźwiedzie
Afekt wiedzie.

Leander. Obejdzie się bez tych napisów; już wyszły z mody. --

Konceptowicz. Nadto jest wielka pańska przezorność, żeby gust wytwornej erudycyi przemijającej powierzał modzie. Jeżeli więc te inskrypcye nie podobają się, na inny kształt ozdobię stołową dekoracyą.

Leander. A to jak?

Konceptowicz. Oto mości dobrodzieju! będzie na

wetach z jednej strony anagramma, z drugiej epigramma, a we środku chronostyk.

Leander. Wolę ja biszkokty, daj waść temu pokój.

Konceptowicz. To wreszcie namalujemy jednorożca.

Leander *(przerywa)*. Nie chcę nic. Co to waść masz za list?

Konceptowicz. Jakem tu szedł, oddał mi go posłaniec. Adres do waćpana.

Leander. Daj go waść! *(Czyta adres)*. To widzę od mego plenipotenta. *(Czyta:)*

„Stateczne moje do interesów i osoby pańskiej przywiązanie, przymusza mnie oznajmić, iż stryj waszmość pana dobrodzieja, nabywszy cessyi od różnych dłużników, na fundamencie tych pretensyj proces przewiódł, i zabiera się do dóbr na tradycyą. Nie wiem, kiedy się to stanie, ale dochodzą wieści, iż w tych dniach zapewne plenipotent z oficyalistą mają zjechać do dóbr, i odbierać je. Zmiłuj się nad sobą, mości dobrodzieju! a staraj się zmiękczyć zagniewanego stryja.“

Ach ja nieszczęśliwy! — cóż tu począć? — *(Biją w taraban)*.

Gierwaziewicz! Protaziński! *(do Sekretarza)* każ waść zawołać! — *(Sekretarz idzie)* ale nie — zostań się waść. Gdzież pokojowi? *(Do Sekretarza:)* Czego waść stoisz? — powiedz waść.

SCENA VI.

PANI SKARBNIKOWA, PANI PODWOJEWODZINA, LEANDER.

Leander. Ah! moście dobrodziejstwo! przepraszam jak najpokorniej, że mi nie dano znać.

Skarbnikowa. Wolny to żart waćpana.

Leander. Byłbym pośpieszył.

Podwojewodzina. Obejdzie się bez tej fatygi waćpana.

Leander. Ale suplikuję....

Skarbnikowa. Kłaniam się uniżenie.

Leander. Nie mieć mi za złe.

Skarbnikowa. Uniżona sługa.

Leander. Będzie wola odpocząć?

Skarbnikowa. Nie jestem zmordowana.

Podwojewodzina. Zdrowe mam nogi, z łaski Pana Boga. *(Biją w taraban).*

Leander. Za pozwoleniem, pośpieszę — przywitać.

Podwojewodzina. Szczęśliwa droga.

SCENA VII.

SKARBNIKOWA, PODWOJEWODZINA.

Skarbnikowa. Piękna polityka jegomości! nie wyjść naprzeciw nam.

Podwojewodzina. Przynajmniej do stołowej izby.

Skarbnikowa. Jak to do stołowej izby? na ganek, na ganek, mościa pani.

Podwojewodzina. Prawdziwie, dobrze to powiedziała pani sędzina, że te Warszawskie kawalery wcale teraz niegrzeczne.

Skarbnikowa. Pamiętasz waćpani, kiedy tu był pan adjutant?

Podwojewodzina. Jakże nie mam pamiętać? — Jak wpadł do mnie do izby, mało mi dzieci nie poroztrącał. Franuś się go tak przestraszył, iż miał potem czkawkę więcej jak przez półgodziny.

Skarbnikowa. A u mnie ani postał.

Podwojewodzina. Jeżeli oni tacy wszyscy, to za-

każę moim dzieciom pod błogosławieństwem, żeby do Warszawy nigdy przenigdy nie jeździli. Ale widziałaś waćpani te modne kornety u panny Cześnikównej, co je pan Leander przysłał ostatnią raza.

Skarbnikowa. Widziałam, — ale mi się nie podobały. Kto to widział, takie czuby na łbach! Ja zawżdy będę utrzymywała, że lepsze fontazie.

Podwojewodzina. Zapewne, że lepsze. Sprawiły się raz, i można je było nosić nie wiedzieć póki. A teraz dzień, dwa, trzy, i już nie ma co dać pannie służebnej.

Skarbnikowa. Ale powiadają, że się odezwał pan Leander do panny Cześnikównej.

Podwojewodzina. Właśnie się dobiorą. On sowizrzał, grubian, zapamiętalec. A ona, że ma czuby, i gra na klawikorcie, to już rozumie, że wszystkie rozumy pojadła; a pan sędzic....

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, LEANDER, SKARBNIK, PODWOJEWODZY.

Skarbnik *(u drzwi)*. Już co tego — to żadnym sposobem nie uczynię.

Leander. Ale proszę, mości panie Skarbniku!

Skarbnik. Żeby mi tu przyszło i nocować — nie.

Leander. Ale, mości panie Podwojewodzy!

Podwojewodzy. Wolno zemną co chcieć uczynić, ale nie odważę się nigdy.

Leander. Ale, mości panie Skarbniku!

Skarbnik Eksces to dobroci waćpana, że mnie chcesz...

Leander *(bierze obudwóch pod boki)*. Ale suplikuję, mości panie Skarbniku! — Mości panie Podwojewodzy!

Podwojewodzy. Protestuję się, — że mi gwałt czyni łaskawa waćpana ludzkość. — *(Wchodzą)*.

Skarbnikowa *(do męża)*. Moje serce! mnie głowa boli.

Podwojewodzina *(do męża)*. Józiulu! ja chora na katar.

Leander. Ubolewałem, — może to fatyga podróży.

Podwojewodzina. Nie fatyga podróży.

Skarbnikowa. Jesteśmy chore, bośmy niezdrowe.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, KAPITAN.

Leander *(do ucha Kapitanowi)*. Po cóż waść kazał bić marsz przed temi gośćmi!

Kapitan. Ro — ro — rozumiałem, że pa — panna Cześnikówna.

Leander. Było się lepiej informować.

Kapitan. To—to już dla—dla dystyn—kcyi, jak bę—będzie jechać pa — panna Cześni — kówna, każę bić la—la—rum.

Leander. Bij już waść co chcesz, — a daj mi pokój.

SCENA X.

CIŻ SAMI, PROTAZIŃSKI.

Protaziński *(do ucha Leandrowi)*. Mości dobrodzieju! Bartłomiej kazał powiedzieć waćpanu dobrodziejowi, żebyś nie częstował winem, bo już tylko cztery butelki.

Leander. A wszakże niedawno beczkę przywieźli.

Protaziński. Pan Marszałek wyczęstował.

Leander *(do gości)*. Będzie wola do ogrodu?

Skarbnikowa. Rosa jest, nie pójdę.

Podwojewodzina. Ja się boję wężów.

Leander. To kawy?

Protaziński (*do ucha Leandrowi*). Pan Pogromski imbryk stłukł.

Leander. Ale — od dawnych czasów — nie mieliśmy tak pięknej pogody — jak teraz.

Skarbnik. Tem lepiej dla naszej pszenicy.

Leander. A u waćpana — to — pięknie pszenica — wschodzi.

Skarbnik. Dość pięknie — ale się znowu boję kąkolu, jak przeszłego roku.

Leander. To to — był kąkol przeszłego roku. — (*Protazińskiemu do ucha*). Niechże przynajmniej limoniady przyniosą. — (*Do Podwojewodzego*). Nie spodziewałem się tak wielkich upałów — gorąco nadzwyczajnie.

Podwojewodzy. I owszem — czas umiarkowany — niedawno deszcz padał.

Podwojewodzina. Nie urzekajcie go waszeć, moje serce! — niechaj sobie pada — tem lepiej na rozsadę.

Leander. O — tak, — mościa dobrodziejko! — zapewne — tem lepiej na rozsadę.

Podwojewodzina. Albo to wiedzą w Warszawie, — co to jest — rozsada?

Leander. Czemuż nie? mościa dobrodziejko. Czynisz waćpani krzywdę Warszawie. Ci, których stopnie są wyższe, nie mają prawda czasu myśleć o szczególnych częściach gospodarstwa. Z tem wszystkiem, i znają się na niem dobrze, i kiedy czas i pora po temu, mówią o niem tak, jak się należy.

Skarbnikowa. Ha — ha — ha — to w Warszawie wiedzą, co to jest rozsada?

Leander. Jeśli mogą wiedzieć na wsi, czemuż nie w Warszawie?

Podwojewodzina. A pan adjutant nam powiedział,

że gdyby kto w Warszawie gadał o gospodarstwie, to by go wypchnęli za drzwi.

Leander. Naprzód, trzeba żebyście waćpanie wiedziały o tem, że w Warszawie nie wypychają za drzwi, a gdyby to się stać miało, takichby wypychano za drzwi, którzyby raz wraz gadali nic do rzeczy.

Skarbnik. To to w Warszawie. (*Gierwaziewicz przynosi limoniadę*).

Skarbnikowa (*której ofiaruje*). A to na co?

Leander. Jest to limoniada na ochłodzenie.

Podwojewodzina. A mnie bez tego zimno.

Skarbnikowa. Ja nie pijam gęsiego trunku.

Leander (*do Skarbnika*). Z gazet nie mieliśmy nic ciekawego — powiadają jednak, że zanosi się na wojnę.

Skarbnik. Broń-że jej Panie Boże! — zawżdy po niej następuje szarańcza.

Leander. Bywało to czasem. (*Gierwaziewiczowi do ucha*). A gdzie pan marszałek?

Gierwaziewicz. Jak tylko pan sekretarz od pana powrócił — kazali zaprządz wózek, i zabrawszy rzeczy, pojechali.

Leander (*na stronę*). Zdrajcy! (*Do Skarbnika*). Tak jest — szarańcza — jest to wielka kara Pana Boga. (*Do Podwojewodziny:*) Będzie wola zabawić się w karty?

Podwojewodzina. Ja nie umiem w tryssette.

Skarbnikowa. Ja kart francuzkich nie znam.

Leander. To możemy grać w polskie.

Podwojewodzina. Obejdzie się bez tego.

Skarbnikowa. Wolę ja dać pieniądze ubogiemu.

Leander. To bez pieniędzy. —

Obie razem: A pfe! bez pieniędzy!

Leander (*na stronie*). Co ja mam czynić z temi dzi-

wakami! (*Do Podwojewodzego*). A — liczne były sądy ziemskie?

Podwojewodzy. Nie bardzo — jam, chwała Bogu! moją sprawę wygrał.

Leander. A z kimżeś to waćpan miał sprawę?

Podwojewodzy. To waćpan nie wiedziałeś, że to? — Ale tę rzecz trzeba wiedzieć z góry: Za panowania króla Łokietka.

Gierwaziewicz (*do ucha Leandrowi*). Mości dobrodzieju! woźny tu jest w sieniach.

Leander. Przepraszam jak najpokorniej, że na moment odejść muszę. — (*Na stronie*). Jużem też zginął na wieki!

Skarbnikowa (*do innych*). Piękna polityka.

Podwojewodzina. Piękne przyjęcie, a przegranie piękniejsze.

Podwojewodzy. Musi mieć swoje interesa; odejdźmy!

AKT TRZECI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

Leander. Ah mości dobrodzieju! czyż jam się mógł tego spodziewać po waćpanu dobrodzieju! — Prawda, żem wykroczył, uznaję moją winę. Słabość mnie jedynie do tego przywiodła; — otoczony złemi ludźmi — wierząc ślepo — wpadłem w to nieszczęście, w którem się widzę: — byłoby

mi znośne, gdybym waćpana dobrodzieja zagniewanego na siebie nie uznawał.

Staruszkiewicz. Panie synowcze! krok, który czynię, bardziej mnie boli, niż waszeci. Alem go musiał uczynić. Trzeba było ratować reszty, gdy już wszystko ginęło. Mieli drudzy korzystać — wolałem ja i ze stratą wszystko na siebie przyjąć; — niech się przynajmniej z nas cudzy nie naśmiewają.

Leander. Na wszystko rezolwowany jestem. Ale zmiłuj się waćpan dobrodziej! zatrzymaj się z tradycyą, przynajmniej póki goście nie odjadą.

Staruszkiewicz. Na cóż się zda ta zwłoka? a przynajmniej oszczędzi się wydatek.

Leander. Fraszka wydatek — ale hańba moja — ale wieść o gniewie waćpana dobrodzieja — ale przytomność ichmość państwa Cześnikowstwa — (*z westchnieniem*) ich córki!

Staruszkiewicz. Cóż to waszeci obchodzi tak bardzo przytomność Cześnikowstwa — ich córki?

Leander. Ach mości dobrodzieju! bardziej niż wszystko. Jedyny cel dalszego mojego uszczęśliwienia, zasadzał się na łasce rodziców — na pozyskaniu serca.

Staruszkiewicz. Prawda, że to panna pełna talentów i cnoty. Byłaby dla waszeci wcale dobra partya. Ale odmieniły się rzeczy. Panie synowcze! posażnej panny za chudego pachołka nie dadzą; — przed rokiem byłeś waść panem.

Leander. Jak to, mości dobrodzieju? mają to pieniądze wchodzić do uszczęśliwienia w obraniu stanu?

Staruszkiewicz. Panie młody! dobry ten sentyment do romansów! A jeżeli waść o tem nie wiesz, nauczże się

odemnie, że teraz bez pieniędzy, ani cnota, ani przymioty nie popłacają. Zła miłość o głodzie. Rozumiesz waszeć?

Leander. Ah rozumiem i nadto! — (*Pada do nóg*). Zmiłuj się nademną waćpan dobrodziej! nie bierz mi reszty nieszczęśliwego życia — oszczędź przynajmniej moment ostatniej konfuzyi.

Staruszkiewicz. Cóż mam uczynić?

Leander. Odwlec tę nieszczęśliwą scenę — pokazać w oczach gości twarz łaskawą — nakłonić ichmość państwo Cześnikowstwo.

Staruszkiewicz. O co to — to będzie ciężko — a bardziej niepodobna. Ale przez ostatek jeszcze względu dla waści odłożę tradycyą do jutra — ale pod tą kondycyą, żebyś się waść na tym blankiecie podpisał. (*Wyjmuje blankiet*).

Leander. Chętnie przestanę na wszystkiem, ogołocę się z tego co mieć mogę, bylem pozyskał —

Staruszkiewicz. Podpisz-że się waść.

Leander (*podpisuje blankiet*). (*Na stronie*). Jeszcze też tego mojemu nieszczęściu brakło, żebym sam moją zgubę własnym podpisem stwierdził.

SCENA II.

CIŻ SAMI, KAPITAN.

Kapitan (*Leandrowi do ucha*). A kie—kiedy z harma—matek palić?

Leander (*z gniewem*). Nigdy.

Kapitan. Jak to — to — nigdy?

Leander. Idź waść precz. (*Kapitan odchodzi*).

SCENA III.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

Staruszkiewicz. Cóż to za oficer z waścią teraz gadał?

Leander. Jest to mości dobrodzie — mości dobrodzieju.

Staruszkiewicz. Któż to jest?

Leander. Jest to — Jest to — mój znajomy.

Staruszkiewicz. Zkąd to waść tych znajomości pozabierał? A ci żołnierze, co przy bramie i w sieniach, czy i ci znajomi?

Leander. Ale bo to — to mi — to na ten bal pan — ten — o! zapomniałem.

Staruszkiewicz. Cóż to? to już to waść i pamięć stracił? wstydź się waść przyczyniać jeszcze kłamstwo do marnotrawstwa. I ten Kapitan, i ci żołnierze waścinego werbunku. Próżno się waść przedemną taisz. Wiem ja o wszystkiem. — Nie mam dzieci. — Znajdę dalszych imenników.

Leander. Poddaję się zupełnie pod stryjowską decyzyą; dalszy sposób życia mojego pokaże, czym jeszcze godzien łaskawych względów.

Staruszkiewicz. Idź waść do gości — ja się tu jeszcze zostanę.

SCENA IV.

STARUSZKIEWICZ (*sam*).

Żal mi go — ale trzeba pana młodego nauczyć. Oj! biedni starsi! co to was szaleństwo młodych kosztuje! Fraszki, strata dobrego mienia. Cięższy ból — widzieć do-

bre skłonności skażone złem towarzystwem, kilkunastoletnią pracę naszą w momencie spełzłą. Oj młodzi — młodzi! — gdybyście mogli czuć nieznośną boleść, którą waszemi nieprawemi postępki zadajecie rodzicom i krewnym waszym — jeżeli nie przez rozum — przez kompasyą powinnibyście poprzestać waszego szaleństwa! Ale widzę, nadchodzi pan Cześnik.

SCENA V.

STARUSZKIEWICZ, CZEŚNIK.

Cześnik. Cóż tam, kochany przyjacielu?

Staruszkiewicz. Cóż czynić? — A jest tam w kompanii mój pan synowiec?

Cześnik. Przyszedł niedawno, ale tak zmieniony, pomięszany, iż mi go było niezmiernie żal. Chciał to niby udawać wesołego — ale się przezwyciężyć nie może. Uśmiechał się — gadając z moją córką — a łzy mu w oczach stoją. I ona niebożątko, patrząc na niego, ledwo się nie rozpłakała.

Staruszkiewicz. A goście?

Cześnik. Pani Skarbnikowa z Podwojewodziną dziwaczą — mężom się pić chce, a wina nie dają. W domu jakieś nadzwyczajne pomięszanie. Leander krzepi się jak może, a pokojowi wszystko mu coś do ucha szepczą. A on raz blednieje, drugi raz czerwony jak karmazyn. — Pójdźmy tam do nich.

Staruszkiewicz. Dobrze — ale nam jeszcze potrzeba wstąpić pierwej do Bartłomieja.

SCENA VI.

Reprezentuje salę kompanii.

PANI CZEŚNIKOWA, CZEŚNIKÓWNA, SKARBNIKOWA, PODWOJEWODZINA, LEANDER, PODWOJEWODZY, SKARBNIK. (*Kozaczek gra na bandurze*).

Cześnikowa. Krzywdę mu waćpanie czynicie. Trzeba to czasem wybaczyć młodości.

Skarbnikowa. Uchowaj Panie Boże, żebym ja miała kogo obmawiać! Ale spytaj się waćpani kogo chcesz. Każdy powie, iż pan Leander jest marnotrawca, człowiek lekki, płochy, a co większa, grubian i brutal.

Podwojewodzina. Wiesz to waćpani, że kiedyśmy tu przyjechały, ciężko było jegomości ukłonić się, a wyjść przeciwko nam, było to przeciw honorowi jegomości, co jego ojciec od mego stryja trzymał arendą wieś pod Berdyczowem.

Cześnikowa. Moje panie! — jużem pierwej powiedziała, że trzeba młodości wybaczyć. Upewniam, że jeśli wykroczył, lekkość to.

Skarbnikowa. Piękna to lekkość, źle gości w dom przyjąć!

Podwojewodzina. I nie wyjść na ganek!

Skarbnikowa. Jegomość — coby powinien pamiętać, iż ojczym mego wuja był Kasztelanem krzesłowym.

Podwojewodzina. Na co taić? Waćpani wiesz, że jego babka była z Niemiec.

Skarbnikowa. A jego stryj, pan Staruszkiewicz, był plenipotentem.

Cześnikowa. I cóż to ma być złego, że jego babka była z Niemiec, że jego ojciec trzymał wieś arendą, że jego stryj był plenipotentem? Tacy dobrze są szlachta

w Niemczech, jako i w Polsce; wieś arendą trzymać nie szpeci szlachcica; a żeśmy nie wszyscy panowie, lubo równi, częstokroć ten jest plenipotentem, którego ojciec miewał plenipotentów. Nie godzi się, moje panie, nikomu ubóstwa wymawiać; często szacowniejsze dla cnoty, niż bogactwo przy niepoczciwości.

Skarbnikowa. Patrzaj-no waćpani, jak się do panny Cześnikówny przybliżył i z nią gada.

Cześnikowa. Cóż ztąd, że w przytomności rodziców i uczciwego towarzystwa kawaler z damą rozmawiają? lepiej to, moje panie, niż pokątne szepty.

Podwojewodzina. Wolno każdemu czynić, jak się podoba, kiedy się jednak starał o mnie mój jegomość, gdyby się był o trzy kroki przysunął, zapewne byłby mu był nieboszczyk mój ojciec rękę uciął. — Wiesz to waćpani, że mnie tylko raz widział przed naszym ślubem, i to jeszcze za kotarą.

Cześnikowa. Tem gorzej, moja pani, że za kotarą. Ale ja nie chcę się nad tem rozwodzić, co do mnie nie należy. Mojej córce starałam się dać taką edukacyą, jaka mi się zdała być najprzyzwoitsza. — Mogłam zbłądzić, ale....

SCENA VII.

CIŻ SAMI, POGROMSKI (*pijany*).

Pogromski. I wesoło — i ochoczo — i pięknie — i suto — panie dobrodzieju! — Ale, jejmość pani Cześnikowa! — Jejmość panna Cześnikówna! — A ha — upadam, — adoruję godności, — powinszowania! — Solenizacyi patrona świętego! Ej, zapomniałem — oracyi — godziłoby się panie dobrodzieju — za zdrowie!

Leander *(Pogromskiemu do ucha).* Potem się napi-

jemy — jużem proponował kielich, ale jegomość pan Skarbnik — trochę słaby — a jegomość pan Podwojewodzy — pić nie chce.

Pogromski. Kto? — jak to? — pić nie chce? — za pańskie zdrowie! Mości kochany Podwojewodzy! a takaż to?...

Leander *(do ucha Pogromskiemu).* Ale proszę waćpana nie wspominaj o kielichu — mam tego racyą.

Pogromski. Cóż za racya? Choćby mi król francuzki — nie kazał — jabym go nie słuchał. Jak to nie pić za pańskie zdrowie, Solenizanta? — proszę o kielich.

Skarbnik, Podwojewodzy. Zgoda. — Zgoda.

Pogromski. Duszkiem — pełno.

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, STARUSZKIEWICZ, CZEŚNIK.

Staruszkiewicz. Lubo nie proszony na te gody, stawiłem się, mości panie synowcze!

Leander. Ekces to łaski waćpana dobrodzieja.

Staruszkiewicz. Proszę mi nie przeszkadzać. Ci wszyscy ichmość, którzy tu są zgromadzeni, a osobliwie jegomość pan Cześnik, są to dawni przyjaciele moi. Nie będą więc mieli mi za złe, — jeżeli —

Leander. Ale mości dobrodzieju!

Staruszkiewicz. Jużem dawniej powiedział, że mi proszę nie przeszkadzać. O com więc prosił jako gość, rozkazuję teraz, jako stryj i opiekun. — Zostałeś się waść po śmierci rodziców w wieku niemowlęcym. Prawem natury, kompasyą i wrodzoną miłością wzbudzony, wziąłem w administracyą majętność, w opiekę osobę waściną. Pan Bóg jest świadkiem trosków, prac, zabiegów moich. Były

mi znośne nadzieje, że się moja praca stokrotnie nagrodzi. Uprzedziłem czas wypuszczenia z opieki; oddałem majętność. Objąłeś waść rząd, i miałem racyą być kontent z tego, com z razu widział. Jaki był koniec tak pięknych początków, — wiedzą wszyscy, — a żal, który mnie rozrzewnia — nie pozwala się rozszerzać. Używam więc mojego prawa, a chcąc w imieniu przynajmniej utrzymać to, coś waść utracił, — na fundamencie własnego waścinego podpisu, który produkuję *(wyjmuje skrypt)*.

Leander *(do nóg)*. Ah mości dobrodzieju! przestałem na wszystkiem, przyrzekłeś mi waćpan dobrodziej.

Staruszkiewicz. Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Na fundamencie więc własnego podpisu, proszę waćpana naprzód, mości panie Cześniku, i waszmość panów, mości panie Skarbniku i Podwojewodzy, żebyście ten skrypt już od jegomości podpisany, raczyli swojemi podpisy stwierdzić.

Leander *(na stronie)*. Ah ja nieszczęśliwy!

Cześnik, Skarbnik, Podwojewodzy *(podpisują)*.

Staruszkiewicz. Nie godzi się łatwości tej w podpisaniu łaskawych przyjaciół na złe używać. Trzeba, żeby wiedzieli, co podpisali, mości panie synowcze!

Leander. Ah mości dobrodzieju! gdzież pamięć na przyrzeczenie?

Staruszkiewicz. Żądam tego po fakcie twoim, panie synowcze, żebyś mi w tem nie przeczył.

Leander. Czegożbym dla waćpana dobrodzieja nie uczynił? Ale pamiętaj waćpan dobrodziej, że mi ta ofiara odbierze życie.

Staruszkiewicz. Ofiary uczynione dla starszych Pan Bóg błogosławi. Czytaj waść sam.

Leander *(z przestrachem)*. Ja sam?

Staruszkiewicz. Tak jest, waść sam. Wymagam to, jako znak ostatni wdzięczności za wszystkie moje starania i prace.

Leander. Prawda, że powinna być nieskończona. Niech zginę; — dawaj waćpan! (*Bierze skrypt, zaczyna czytać*). Między jegomość panem Staruszkiewiczem stryjem, a Leandrem synowcem jego — *(zatrzymuje się i wzdycha)* — z jednej strony, a wielmożnym: N. Cześnikiem i małżonką jego, jako rodzicami — stała się niniejsza tranzakcya, umówienie i — intercyza. — *(Rzuca papier pada do nóg stryja).* Ah! najlepszy z stryjów — z ludzi! — radość — pomięszanie — wdzięczność — łzy moje!

Staruszkiewicz. Wstań, kochany synowcze! a tę wdzięczność oświadcz rodzicom, oświadcz godnej córce, którzy mimo zdrożności twoje, raczyli — *(Leander pada do nóg Cześnika).* Ten skrypt, któryś mienił być zgubą, jest teraz rękojmią twojego szczęścia. Znajdziesz w nim po mojej śmierci zapis dóbr moich wszystkich. Używaj szczęśliwie, — już więcej wymówek nie usłyszysz. Jeżeli były przykre kroki, którem uczynił, wypróbowały cnotę twoją. Karał cię z żalem stryj, co cię kocha. Żyjcie szczęśliwie, kochane dzieci!

Cześnik. Nie trzeba o młodych rozpaczać, ale też trzeba ich umieć poprawiać.

FRANT.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Dziadusiewicz, ojciec Konstancyi.
Leander. synowiec Pradziadowskiego.
Pradziadowski, stryj Leandra.
Konstancya, córka Dziadusiewicza.
Kociubińska, ochmistrzyni.
Przemysłowski, frant.
Alwarski, dyrektor niegdyś Leandra.
Niuchnicki, sługa Przemysłowskiego.
Powolski, sąsiad Dziadusiewicza.
Chłopiec.

Scena w domu Dziadusiewicza.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

PRADZIADOWSKI, ALWARSKI.

Pradziadowski. Panie Alwarski! — coś to tu powoli idzie.

Alwarski. Toćże powoli.

Pradziadowski. Jeżeli nie wskóramy, podobno trzeba tu będzie wybrać się ztąd prędko.

Alwarski. Toćże prędko.

Pradziadowski. A jeżeli mi pan Dziadusiewicz nie da finalnej rezolucyi, to ja...

Alwarski. Dobrze mu tak.

Pradziadowski. Co dobrze?

Alwarski. Że nie da finalnej rezolucyi.

Pradziadowski. Aleć waszeć poczekaj żebym ja skończył, a dopiero będę się waszeci radził.

Alwarski. Dobrze mości dobrodzieju — *a quo incipiemus?*

Pradziadowski. Waści się zawżdy zda, że waszeć w szkole; już mój synowiec ztamtąd wyszedł, idzie tu teraz o jego postanowienie; rozumiesz waszeć?

Alwarski. A co to, to co innego, idzie tu o jego postanowienie, dobrze mości dobrodzieju; trzeba radzić, ale nie mamy książki.

Pradziadowski. A po co nam tu książki? Głowy tu trzeba, nie książki.

Alwarski. To weźmy się za głowy, a radźmy.

Pradziadowski. Cóż to waszeć chcesz, żebym ja z waszecią za łby chodził?

Alwarski. Nie mości dobrodzieju, to metaphora.

Pradziadowski. Niechże tam sobie będzie co chce, ale tu nam trzeba radzić.

Alwarski. Tak jest radzić.

Pradziadowski. Jakże tedy będziemy radzić?

Alwarski. Ot tak mości dobrodzieju: naprzód weźmy za grunt ów wierszyk *quis? quid? ubi? quibus auxiliis? cur? quomodo? quando?* kto, co, gdzie, jakiemi sposobami, jak, dla czego i kiedy?

Pradziadowski. I cóż to z tego?

Alwarski. Poczekaj-no waćpan, zaraz ja to jak na dłoni wyłuszczę. *Quis? kto?* jest imcipan Leander, mój dyscypuł a godny synowiec waćpana. *Quid? co?* jest to imcipanna Konstancya, córka imcipana Dziadusiewicza, o której dożywotnią przyjaźń synowiec waćpana, a mój dyscypuł konkuruje. *Ubi? gdzie?* jest to w Klapatyńcach, wsi dziedzicznej imcipana Dziadusiewicza, która *nb.* post sera fata imci, spadnie sukcessyonalnym sposobem na jejmość pannę Konstancyę. *Quibus auxiliis? jaką pomocą? jakiem wsparciem?* Odpowiadam: akkomodacyą, prośbą, podarunkami.

Pradziadowski. O co to, to przepraszam! Na co to te koszta niepotrzebne? Dalejże waszeć, akkomodacyą, prośbą...

Alwarski. Akkomodacyą, prośbą, obietnicami.

Pradziadowski. Jakiemi obietnicami? to mnie waszeć znowu chcesz na jakieś wydatki....

Alwarski. Albo się to dotrzymuje wszystko, co się obiecuje? osobliwie....

Pradziadowski. Nie chcę ja i tego; mogą mnie potem pozwać. To już to waszeć rozumiesz, że ja to mam wiele pieniędzy, żebym ja dawał i obietnice czynił? To straszna rzecz z tymi ludźmi, byleby kogo na zęby wzięli, to już ani się można oprzeć. Zkąd to waszeci, że ja mam pieniądze? Dałby Pan Bóg, żebym ja miał pieniądze! Cóż dalej?

Alwarski. Następnie *cur? dlaczego?* Dlatego, żeby pojął in sociam vitae.

Pradziadowski. Gadaj-no wasze po polsku.

Alwarski. Dlatego żeby pojął za małżonkę jejmość-pannę Konstancyę.

Pradziadowski. I z nią posag.

Alwarski. Tak jest, posag...

Pradziadowski. I wieś po śmierci pana Dziadusiewicza.

Alwarski. Tak jest, i wieś po śmierci pana Dziadusiewicza.

Pradziadowski. I to jeszcze, co dalej przyzbiera.

Alwarski. I to jeszcze, co dalej przyzbiera. Bona mobilia et immobilia — dobra ruchome i nieruchome.

Pradziadowski. Dobra i nieruchome.

Alwarski. *Quomodo? jak?* To grunt, mości dobrodzieju.

Pradziadowski. Dobrze waszeć mówisz, to grunt.

Alwarski. Od tego wszystko zawisło.

Pradziadowski. Tak jest, wszystko zawisło.

Alwarski. I nic nie będzie z niczego.

Pradziadowski. Jak to nie będzie z niczego? Ja chcę, żeby było.

Alwarski. I jać pragnę, *ale quomodo?* jak?

Pradziadowski. To to jest! Jak?

Alwarski. Jakowym sposobem?

Pradziadowski. Tak, tak jest. Jakowym sposobem? ale poczekaj-no waszeć, poradźmy-no my się pana Przemysłowskiego. To człowiek głęboki...

Alwarski. Prawda, i jak głęboki!

Pradziadowski. Zna świat.

Alwarski. Na palcach.

Pradziadowski. Pan Dziadusiewicz, który nikomu wierzyć nie chce, na jego radzie polega.

Alwarski. I ma rację.

Pradziadowski. Trzebaby nam z nim się rozmówić, jego zdanie usłyszeć, jego pomocy zażyć.

Alwarski. Me Hercle! Nic lepszego, nic zbawienniejszego ale quomodo? jak?

Pradziadowski. To to jest! Jak?

Alwarski. Poczekaj-no waćpan, ale widzę idzie! Zostaw nas waćpan sam na sam. Jupiter in Trojam, pro Troja stabat Apollo

(Pradziadowski odchodzi).

SCENA II.

PRZEMYSŁOWSKI, ALWARSKI.

Przemysłowski. *(Bieży do Alwarskiego z rozciągnionemi rękami ściska go i całuje.)* A mój serdeczny kochany dobrodzieju! Jakżem nieskończenie rad, żem cię tu zastał! każda godzina bez miłej, uczonej, wdzięcznej waćpana konwersacyi, jest mi przykra, nudna, frasobliwa, okrutna.

Alwarski. Dziękuję za łaskę waćpana. Non sum dignus, quem me facis, sed...

Przemysłowski. Co to za erudycya! Sentencye, maksymy wyborne sypią się jak z wora, jak z kornukopii; alem podobno przeszkodził żeś waćpan mój najukochańszy dobrodziej nie dokończył swojej wybornej sentencyi, proszę mi ją dopowiedzieć; wpiszę w pugilares, będę nosił na sercu, miał zawżdy w ustach.

Alwarski. Non sum dignus, quem me facis, sed esse conabor...

Przemysłowski. Sed esse conabor? przewybornie, przecudownie! sed esse conabor! Czy może być zdanie, maksyma, sentencya piękniejsza? Przepiszę, schowam, będę strzegł jak źrenicy w oku.

Alwarski. Eksces to łaski waszeci dobrodzieja; radbym się stać zdolnym do wszelkich usług.

Przemysłowski. Mojeć to pragnienie, moja chęć, moja powinność.

Alwarski. Ale mości dobrodzieju...

Przemysłowski. Nie jest to komplement, to prawda szczera! Proszę rozkazać!

Alwarski. Imcipan Pradziadowski...

Przemysłowski. Ah to mój dobrodziej, człek zacny, godny, nieoszacowany!

Alwarski. Łaskę mu waćpan czynisz.

Przemysłowski. Sprawiedliwość.

Alwarski. Imcipan Pradziadowski, przymioty waszmość et quid pectore geris...

Przemysłowski. Ah cóż to za erudycya! in pectore geris!

Alwarski. Imcipan Pradziadowski... pragnie...

Przemysłowski. Nie odmówię czego pragnie; żądania jego dla mnie rozkazem.

Alwarski. Imcipan Pradziadowski, mówię, pragnie (*sam do siebie*) (ja sam nie wiem czego). Pragnie tego, mówię, imćpan Pradziadowski, abyś waszmość pan raczył... żądania... jego synowca...

Przemysłowski. Rozumiem, żądania sprawiedliwe, zacne imćpana Leandra, synowca imćpana Pradziadowskiego.

Alwarski. Tak jest, synowca jegomości, a mego dyscypuła.

Przemysłowski. To miał honor być waćpana dyscypułem? Szczęśliwy!

Alwarski. Ah mości dobrodzieju!

Przemysłowski. Fortunny!

Alwarski. Ah mości dobrodzieju!

Przemysłowski. Wybrany!

Alwarski. Ah mości dobrodzieju!

Przemysłowski. W czemże mogę jegomości stryjowi i synowcowi usłużyć?

Alwarski. Wiadoma imćpanu Pradziadowskiemu sprawiedliwa konsyderacya, którą ma ku godnej osobie waćpana dobrodzieja imćpan Dziadusiewicz...

Przemysłowski. Ah czyni mi honor...

Alwarski. Na tym więc fundamencie, w zaczętym interesie wsparcia waćpana...

Przemysłowski. Małeć być może, ale wszystkie natężenie wolności mojej obrócę na usługi jego. Proszę mu powiedzieć, niech się na mnie spuści, nie zawiodę; wszystkich używać będę sposobów, i na co się tylko zdobyć będę mógł...

Alwarski. Całem życiem odsługiwać będzie...

Przemysłowski. Mości panie, przyjaźń moja nie jest interesowana zyskiem, podobieństwem zysku, wspomnieniem nawet zysku, jakowego brzydzę się jedynie. Szczęście usłużyć tak godnemu stryjowi i synowcowi, będzie powodem i celem moich kroków; niech się jegomość na mnie spuści upewniam, nie zawiodę.

Alwarski. Dziękuję za to łaskawe przyczenie; pójdę go ucieszyć tą pożądaną wiadomością. *(Odchodzi).*

SCENA III.

PRZEMYSŁOWSKI *(sam)*.

Właśnie mi to na rękę, trzebaby tylko ile możności temu przeszkadzać, żeby między niemi...

SCENA IV.

DZIADUSIEWICZ, PRZEMYSŁOWSKI.

Dziadusiewicz. Dobrześ waćpan mówił, mości panie, i teraz właśnie pan Pradziadowski jakieś tu w moim domu chce czynić dyspozycye; wypytuje się....

Przemysłowski. To mości dobrodzieju znak przyjaźni, poufałości.

Dziadusiewicz. Ja nie chcę zbytniej poufałości, rorumiesz waćpan?

Przemysłowski. Arcyzbawienna maksyma waćpana dobrodzieja, ale to imć z afektu ku sobie...

Dziadusiewicz. Zkądże jemu taki do mnie afekt.

Przemysłowski. Ale mówię z afektu ku osobie...

Dziadusiewicz. Mojej córki?

Przemysłowski. I to być może, ale z afektu ku osobie...

Dziadusiewicz. Ku jakiejże osobie?

Przemysłowski. Ku osobie synowca swojego.

Dziadusiewicz. Ja nie chcę, mościwy panie, żeby on tak kochał swego synowca. Niech się mu da u siebie rządzić, wolno mu, ale po cudzym domu rozpościerać się, wypytywać się ludzi, co się u mnie dzieje...

Przemysłowski. Zapewne jest to trochę nieostrożności.

Dziadusiewicz. Impertynencya.

Przemysłowski. Prawda, że się to nie zwykło czynić, a gdyby...

Dziadusiewicz. Chcieć wiedzieć czy ja mam summy na prowizyi...

Przemysłowski. Czasem to....

Dziadusiewicz. Jak to czasem? Zawżdy to źle...

Przemysłowski. Żeby to miało być dobre, to prawda... że . ale...

Dziadusiewicz. Waćpana natura jest nadto dobra. Chciałbyś wszystko ekskuzować, ale miej się i sam na ostrożności; czasem to z tej zbytniej łatwości profitują drudzy na nasze złe.

Przemysłowski. Ja to sam uznaję, ale z tem wszystkiem, jak dobrze uważasz waćpan dobrodziej, jestem tak miękkiego serca, iż radbym...

Dziadusiewicz. Miej się waszeć imćpan na ostrożności, nie trzeba ludziom zbytnie dowierzać.

Przemysłowski. Prawda mości dobrodzieju, ale miałbym skrupuł niezmierny na sumieniu, gdybym dla wymówienia się mojego, miał być okazyą jakowych niechęci między waćpanem a imćpanem Pradziadowskim.

Dziadusiewicz. I owszem, mościwy panie; akcya to dobra, cnotliwa, przyjaciela oświecić.

Przemysłowski. Ale kiedy to może z krzywdą bliźniego?

Dziadusiewicz. Jakto, z krzywdą bliźniego? Alboż to ja nie taki bliźni, jak i pan Pradziadowski? a on mnie chciał krzywdę uczynić i podejść.

Przemysłowski. Ale, mości dobrodzieju, nie można to czasem z powierzchowności o ludziach sądzić; może intencye jego są dobre, lubo ich skutek nie zdaje się być nadto przystojny.

Dziadusiewicz. I jak jeszcze nieprzystojny! Wypytywać się jegomości, czy ja mam summy na prowizyach, i jeszcze z jakim procentem! A jemu co do tego, jaki ja biorę procent?

Przemysłowski. On to może chciał waćpana dobrodzieja przestrzedz, jeśliby naprzykład.

Dziadusiewicz. A zkąd to jegomości ta nademną jurysdykcya, żeby mnie przestrzegał? To on to, widzę, chce być moim opiekunem? Dziękuję wielce za to nowe oświecenie, które...

Przemysłowski. Ale mości dobrodzieju, waćpan najmniejszą rzecz tłómaczysz tak...

Dziadusiewicz. Tłómaczę, jakem powinien, a com pierwej powiedział, powtarzam: strzeż się waćpan tych skrupułów i miękkości serca....

Przemysłowski. Ciężko się w tem przezwyciężyć, co natura nadała. (*Odchodzi*).

SCENA V.

DZIADUSIEWICZ (*sam*).

Nieborak, jego dobre serce może mu kiedykolwiek zaszkodzić. Jeżeli on tak raz wraz ludziom będzie wierzył, lada kto go w pole wywiedzie, i ja się bardzo boję, żeby go ten pan Pradziadowski... Ale otóż jego pan synowiec.

SCENA VI.

DZIADUSIEWICZ, LEANDER.

Leander. Waćpan dobrodziej, widzę, jesteś trochę pomieszanym.

Dziadusiewicz. To niedobrze, kiedy młodzi ciekawi.

Leander. Nie ciekawość, ale przywiązanie moje ku osobie...

Dziadusiewicz. Powiedz-no waszeć, tak jak to waszeć myślisz: Klapatyńce, wioska... ha, prawda że piękna, osiadła? wszak prawda?

Leander. Nie wiem, zkąd ta waćpana dobrodzieja o moich sentymentach opinia? Ja nie majętności...

Dziadusiewicz. To pewnie summy na prowizyi...

Leander. Poprzysięgam imci, w myśli mi to nie postało! Zapewne jakiś niegodziwy...

Dziadusiewicz. Panie młody, nie sądź waszeć źle o ludziach; jeszcze ich waszeć dobrze nie znasz.

*

Leander. Nie sądzę, ale ta nagła odmiana...

Dziadusiewicz. Jest sprawiedliwa, kłaniam. *(Odchodzi).*

SCENA VII.

LEANDER *(sam).*

Ja nie wiem, zkąd tu takie powszechne zamięszanie: ojciec zagniewany, z córką mówić nie można, mój stryj chce odjeżdżać, nawet ochmistrzyni nie mogę widzieć! Poczekam, miała się tu stawić; już dawno godzina minęła, ale widzę, ktoś idzie! pewnie ona!

SCENA VIII.

LEANDER, PRZEMYSŁOWSKI.

Przemysłowski. Właśnie mi tu szczęście nadarzyło waćpana znaleźć! Wiesz o mojem przywiązaniu; życie gotówbym sakryfikować.

Leander. Nie wiem, czembym sobie zasłużył na tę...

Przemysłowski. Przymioty waćpana, talenta, zacność, niedobrze jak widzę, tu poznane.

Leander. Nie mam przyczyny skarżyć się.

Przemysłowski. Dobroć to waćpana sprawuje, że chcesz umarzać sprawiedliwe żale; widzę i ja to, i nie godziłoby się...

Leander. Waćpan więcej widzisz, niżeli ja.

Przemysłowski. Wynurzyć na łono przyjacielskie to, co nas dolega, jest najlepszem lekarstwem umartwienia.

Leander. Prawda; kłaniam jak najuniżeniej. *(Odchodzi).*

SCENA IX.

PRZEMYSŁOWSKI.

Jegomość, widzę, nie chce mi się powierzyć; niepotrzeba tej fatygi, wiem ja co się dzieje, i czego on nie wie, wiem co się dziać będzie, ale...

SCENA X.

KOCIUBIŃSKA, PRZEMYSŁOWSKI.

Przemysłowski. Cóż to za szczęśliwy moment, w którym nadspodziewanie, nad nadzieje, nad zasługi moje pozyskać mogę...

Kociubińska. Co takiego?

Przemysłowski *(zmieszany).* Pozyskać mogę, honor przypomnienia się łasce, dobroci...

Kociubińska. Nie żartuj sobie waćpan ze mnie; ja nie mam żadnych łask ku szafowaniu, i mój stan...

Przemysłowski. Cnota, wysokie talenta, każdy stan uwielbiają, a ten, który tak chwalebnie waćpani i imcipannie...

Kociubińska. Mój mości panie, schowaj waćpan te komplementa dla młodszych; z starszych się żartować nie godzi.

Przemysłowski. Ah broń Boże, żebym zgrzeszył, wykroczył przeciw...

Kociubińska. Rzetelności; zapewne, jest to grzech wielki.

Przemysłowski. Nieodpuszczony, i bodajem...

Kociubińska. Nie przeklinaj się waćpan, żebyś w złą godzinę nie wymówił.

Przemysłowski. Zła dla mnie i fatalna każda będzie, w którąbym miał zasługi...

Kociubińska. Ja niczyich zasług nie roztrząsam, a o ludziach się sądzić nie godzi. Wybaczysz waćpan, że się dłużej bawić nie mogę. *(Odchodzi).*

Przemysłowski (*chce ją zatrzymać*). Ale mości dobrodziejko...

SCENA XI.

PRZEMYSŁOWSKI.

Cóż to za dzikie stworzenie, nie da nawet mówić. (*Patrzy na zegarek*). Już też czas do pana Pradziadowskiego.

AKT DRUGI.

SCENA I.

DZIADUSIEWICZ, POWOLSKI.

Dziadusiewicz. I tak tedy, mościwy panie, wziąwszy rzeczy dobrze na uwagę, determinowałem się...

Powolski. Ale proszę, nim się kto determinuje, trzeba to pierwej wprzód dobrze rzeczy wziąść na uwagę i...

Dziadusiewicz. Już takem o tem myślał, jak tylko było można.

Powolski. Ale! ale! proszę, trzeba bo to wprzód uważyć...

Dziadusiewicz. Uważyłem.

Powolski. Ale proszę, trzeba to wziąść na uwagę...

Dziadusiewicz. Wziąłem.

Powolski. Ale, mój mościwy panie, waćpan nie dajesz..

Dziadusiewicz. Jak to nie daję, daję zaraz gotowemi pieniędzmi, dwadzieścia pięć tysięcy złotych.

Powolski. Ale nie, nie o tem ja, o tem ja nie mówię, mówię tedy...

Dziadusiewicz. Cóż waćpan mówisz?

Powolski. Mówię tedy, iż w tej materyi, która się tyczy postanowienia...

Dziadusiewicz. Tak jest postanowiłem.

Powolski. Ale... nie, nie, nie o tem rzecz...

Dziadusiewicz. O czemże rzecz?

Powolski. O tem, o tem, że mi waćpan gadać nie dasz.

Dziadusiewicz. Mówże waćpan.

Powolski. Mówię tedy, iż kiedy to... jak to... zwyczajnie, bo to, o czemże ja mówiłem?

Dziadusiewicz. Alboż ja wiem?

Powolski. A dobrze, no, mówiłem tedy, iż to kiedy idzie o postanowienie, trzeba uważać, czyli to grunt jest.

Dziadusiewicz. Alboż to waćpan nie wiesz, że grunt tu jest urodzajny, i w drugim folwarku nawet...

Powolski. Ale dla Boga! mości panie, nie o tem ci to rzecz...

Dziadusiewicz. A o czemże? już mnie niecierpliwość bierze.

Powolski. Mówię tedy, iż rodzicielka...

Dziadusiewicz. Umarła, już temu więcej jak lat piętnaście.

Powolski. Ale mości panie, ja to mówię o naturze, rodzicielce wszech rzeczy.

Dziadusiewicz. Ja rozumiałem, że waćpan gadasz o nieboszczce mojej żonie.

Powolski. Natura rodzicielka nasza dlatego nam dała dwoje uszu...

Dziadusiewicz. Żeby ich niepotrzebnemi dygressyami nie fatygować; kłaniam się waćpanu.

Powolski. No, to potem my tę rzecz gruntownie roztrząśniemy, a ja pierwej pójdę się lepiej namyśleć. *(Odchodzi).*

SCENA II.

DZIADUSIEWICZ *(sam).*

Poczciwy człowiek, ale ta jego przeciągłość nieznośna; ja mu tu gadam o interesie, a on w dyssertacye i...

SCENA III.

DZIADUSIEWICZ, KOCIUBIŃSKA.

Dziadusiewicz. Był u mojej córki pan Przemysłowski?

Kociubińska. Był mości dobrodzieju, ale była zabawna.

Dziadusiewicz. Jak to zabawna? To niepięknie ludzi odrażać, a zwłaszcza...

Kociubińska. Już ci to jest różnica między ludźmi.

Dziadusiewicz. Zapewne, takich jak ten kawaler trzeba szanować, a osobliwie kiedym już ja..

Kociubińska. Ah! nie kończ waćpan dobrodziej! boję się bardzo, żeby ten jegomość swojemi...

Dziadusiewicz. Tak jest swojemi cnotami, swojemi przymiotami, umysł mój...

Kociubińska. Złudził.

Dziadusiewicz. Mościa pani! pomału no to z temi definicyami! Ja nie lubię, kiedy się kto w to wdaje, co...

Kociubińska. Cnota, powinność, przywiązanie każe.

Dziadusiewicz. Zkądże to waszeci taka żarliwość? Pewnie pan Leander swojemi...

Kociubińska. Tak jest swojemi poczciwemi postępkami godzien...

Dziadusiewicz. Takiej wielbicielki jak waszeć.

Kociubińska. Wszyscy go wielbią.

Dziadusiewicz. Za pieniądze.

Kociubińska. Nie sypie on niemi, bo choćby chciał...

Dziadusiewicz. Nie ma ich i mieć nie będzie. Patrzy on na mój worek, a jego pan stryj...

Kociubińska Człowiek poczciwy, dystyngowany, przezorny...

Dziadusiewicz. Na cudze sprawy.

Kociubińska. On swoich pilnuje, i nie może się temu wydziwić...

Dziadusiewicz. Żem się ja na jego obłudzie poznał? Oj poznałem! Nadał mi Pan Bóg dobrego człowieka.

Kociubińska. Pewnie pana Przemysłowskiego?

Dziadusiewicz. I czemuż nie? dlatego samego, że waćpani niemiły, ja go kocham, serdecznie kocham i jeszcze dzisiaj...

Kociubińska. Na to panna Konstancya nie przystanie.

Dziadusiewicz. Jakto? moja córka ma być mojej woli przeciwna? Nauczę ja ją! jakto...

Kociubińska. Wystrzegać się frantów.

Dziadusiewicz. Mościa pani, a kto tu z nas...

Kociubińska. Ma racyą? Ja, mości dobrodzieju, ja która waćpana chcę z błędu wywieść, żebyś temu obłudnikowi nie wierzył, co między waćpanem a dawnemi przyjaciołmi plotki sieje, i pod pretekstem mniemanej przychylności chce waćpanu córkę wydrzeć i fortunę ponieść.

Wiem ja jego sztuki; postrzeżesz je waćpan sam, daj tylko Panie Boże, żeby nie po niewczasie. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

DZIADUSIEWICZ (*sam*).

Co za język? Zapewne ją Pradziadowski skorumpował! Oszuka się! Ale widzę, pan Przemysłowski...

SCENA V.

DZIADUSIEWICZ, PRZEMYSŁOWSKI.

Dziadusiewicz. Mościwy panie, usiądźmy tu jeno, mam z waćpanem pomówić.

Przemysłowski. Dobrze mi będzie stojący słuchać rozkazów waćpana; znam ja co mi moja powinność każe.

Dziadusiewicz *(na stronie).* Jaki to respekt dla starszych! Siądź waćpan, proszę.

Przemysłowski. Kiedy waćpan dobrodziej nakazujesz, uczynię zadosyć woli jego. *(Siada na końcu).*

Dziadusiewicz *(na stronie).* Jakie to uszanowanie. Przybliż się waćpan! *(Przemysłowski zbliża się i na samym rogu stołku siedzi).* Ale, mości panie, siądź dobrze, bo spadniesz ze stołka. *(Na stronie).* Jaka to atencya!

Przemysłowski *(porywa się i przynosi stołek z poręczami).* Mości dobrodzieju, będzie podobno lepiej tu siedzieć.

Dziadusiewicz. Ale proszę się nie inkomodować. *(Siada, na stronie).* Nie masz już teraz takich ludzi. *(Do Przemysłowskiego)* Chciałem tedy waćpanu powiedzieć, iż...

SCENA VI.

DZIADUSIEWICZ, PRZEMYSŁOWSKI, PRADZIADOWSKI.

Dziadusiewicz *(porywa się ze stołkiem do Pradziadowskiego)*. Przepraszam, że nie mogę służyć... ból głowy... muszę... *(Odchodzi)*.

SCENA VII.

PRZEMYSŁOWSKI, PRADZIADOWSKI.

Pradziadowski. Cóż to? słaby to pan Dziadusiewicz?

Przemysłowski. Tak jest, ale mi się zdaje, że ta choroba, i to też... małom nie wybleźnił... nie godzi się źle o ludziach sądzić!

Pradziadowski. Dobrze to jest, źle o ludziach nie sądzić, z tem wszystkiem, kiedy ich akcye są takowe, któreby dawały sprawiedliwą okazyą...

Przemysłowski. Ah, broń Boże, mości dobrodzieju! Imćpana Dziadusiewicza akcye są dobre, prawda, że...

Pradziadowski. Co takiego?

Przemysłowski. Ej, to nic! Ja to tylko chciałem...

Pradziadowski. Mój mościwy panie, talenta waćpana, przymioty zacne, wreszcie miłość bliźniego powinnaby...

Przemysłowski. Ale, bo to, czasem, co się czyni z gruntu cnoty, przestroga, naprzykład...

Pradziadowski. Ah, mościwy panie, uczynisz waćpan akt heroiczny, gdy mnie raczysz oświecić, i życiem mojem...

Przemysłowski. Może też to tylko żartem wymówił... a jabym...

Pradziadowski. Czy żartem, czy doprawdy, proszę...

Przemysłowski. Ale... a wreszcie... choćby i w genealogii naprzykład osobliwie...

Pradziadowski. Jak to, panie? Dziadusiewicz zadaje mi chłopstwo?... nauczę ja jegomości! (*Odchodzi*).

Przemysłowski. Ale, mości dobrodzieju, moment...

SCENA VIII.

PRZEMYSŁOWSKI (*sam*).

Teraz tylko... ale gdzie ten mój Niuchnicki.. a! znowu widzę pan Dziadusiewicz.

SCENA IX.

PRZEMYSŁOWSKI, DZIADUSIEWICZ.

Dziadusiewicz. Patrzałem z okna, jak rychło pan Pradziadowski ztąd wyjdzie; o czemże on to z waćpanem gadał?

Przemysłowski. Potoczne dyskursa były; namienił o pewnym kawalerze, co to był...

Dziadusiewicz. To jego synowiec, pewnie był na folwarku i wypytywał się znowu.

Przemysłowski. Nie, to pewny kawaler, który to jak, przepraszam, mości dobrodzieju, ot to zwyczajne defekta młodości rzeźwej, porąbałby...

Dziadusiewicz. Jak to porąbał? jego synowiec? kogóż to on porąbał? proszę bardzo — jak najuniżeniej — powiedzieć, kogóż to on porąbał?

Przemysłowski. To nic.

Dziadusiewicz. Jak to nic? porąbać?

Przemysłowski. Oto konkurował o jednę damę.

Dziadusiewicz. I pewnie ją porąbał?

Przemysłowski. Nie, mości dobrodzieju, ale jej ojca.

Dziadusiewicz. Jakto? jej ojca porąbał? Ojca damy, o którą się starał?

Przemysłowski. Porąbał, prawda, ale nieszkodliwie, rękę mu tylko uciął i...

Dziadusiewicz (*bierze się za rękę*). Jakto? rękę uciął? ah dla Boga! pójdźmy ztąd! (*Odchodzi*). Rękę uciął!

SCENA X.

Reprezentuje pokój Konstancyi.

KONSTANCYA, KOCIUBIŃSKA.

Kociubińska. Nie, mościa panno, inszych tu trzeba sposobów użyć; moja więc rada, jak jegomość przyjdzie, staraj się waćpanna dać mu do wyrozumienia, iż nie jesteś sprzeczną woli jego, i gotowaś pójść za pana Przemysłowskiego.

SCENA XI.

CIŻ SAMI, LEANDER.

Leander. A czy godzi się, mościa pani, taki podemną czynić podstęp? zamiast dopomagania, psuć mi serce panny Konstancyi?

Kociubińska. Godzi się ciekawość karać tych, co u drzwi słuchają. Na cóż za pierwsze słowa chwytać, nie dosłuchawszy końca. Słuchaj-że teraz waćpan, co dalej powiem, a bądź cierpliwy. Mówiłam pannie Konstancyi, iż tu koniecznie trzeba jegomości z błędu wyprowadzić i zbić tę dobrą nadto opinię, którą ma o panu Przemysłowskim. Żeby tego dojść, trzeba naprzód, iżby niby przestała na woli ojca. Potem, żeby się pokazała skłonną ku żądaniom pana Przemysłowskiego. Dopiero wtenczas będziemy mogli

co takiego z niego wyczerpnąć, co jegomości oczy otworzy, a tem samem waćpana interes polepszy i wesprze. Łajże mnie teraz waćpan!

Leander. Ah, racz waćpani wybaczyć pomięszaniu memu! Przywiązanie moje stateczne, wierne, źle tłómaczone... niebezpieczeństwo utracenia...

Kociubińska. Nie ma tu teraz czasu do wynurzania sentymentów. Pamiętaj i waćpan ze swojej strony odmienić ton względem pana Przemysłowskiego. Uczyń waćpan tak, jakżebyś mowie jego wierzył, i na zdaniu polegał. Mimo dowcipne jego frantostwo, zobaczysz waćpan, że my go ułowimy. Kiedy zła chwila przyprze, więcej czasem dokaże obrót niewieści, niż męzka doskonałość. Bywaj waćpan zdrów, czyń tak, jakeśmy ułożyli. My dłużej nie możem bawić, żeby ojciec nie przyszedł. (*Odchodzą*).

SCENA XII.

LEANDER (*sam*).

Dałby Pan Bóg, żeby te ich zabiegi były skuteczne! Ale tu rzecz z człowiekiem obrotnym! Cokolwiekbądź, będę i ja ze swojej strony czynił co mogę.

SCENA XIII.

PRZEMYSŁOWSKI, LEANDER.

Przemysłowski. Jakem dawniej miał honor powiedzieć, powtarzam, na łono przyjacielskie złożone troski zmniejszają się; moja przychylność...

Leander. Lubo na nią nie zasłużyłem, nader mi jest szacowna, osobliwie w tych okolicznościach.

Przemysłowski. Tak jest, mości dobrodzieju; oko-

liczności te, które waćpan mienisz dolegliwe, gdybyś był dobrze informowanym, a wejrzał w grunt rzeczy, które to czasem napozór... ale dajmy temu pokój... idzie więc...

Leander. I owszem, proszę waćpana, żebyś mi raczył oświecić to namienienie waćpana.

Przemysłowski. Jest skutkiem nieskończonego szacunku, który powziąłem ku osobie waćpana; mówmy teraz otwarcie.

Leander. Słucham.

Przemysłowski (*ściska Leandra, a w bok się patrzy*). Kochany przyjacielu, wiesz dobrze, o twoje przywiązanie dawno ubolewałem w cichości. (*Patrzy w bok*). Ale proszę o sekret.

Leander. Dotrzymam.

Przemysłowski (*idzie do drzwi i patrzy na wszystkie strony, czy go kto nie słucha*). Oto imćpanna Konstancya... ale proszę mnie nie wydawać, bo tu idzie o...

Leander. Upewniam waćpana.

Przemysłowski. Oto imćpanna Konstancya, za powodem ojca swojego... ale zmiłuj się, mości dobrodzieju, miej to u siebie...

Leander. Już waćpan bądź pewien.

Przemysłowski. Oto imćpanna Konstancya... (*bieży do drzwi i słucha*) rozumiałem, że nas ktoś podsłuchuje; wracam się teraz do zaczętego dyskursu... waćpan wiesz, co to jest, i jak to jest w dziejach respekt ku rodzicom? Na tym więc fundamencie imćpanna Konstancya... ale dla Boga, proszę mnie nie wydawać.

Leander. Jużem przyrzekł, powtarzam.

Przemysłowski. Imćpanna Konstancya, niby to czyniąc zadosyć woli ojca, ale bardziej... waćpan widziałeś tu imćpana szambelana?

Leander. Dopiero od dwóch dni odjechał.

Przemysłowski *(do ucha)*. Ot że ten pan szambelan — rozumiesz mnie waćpan?

Leander. Jak to? pan szambelan, mój brat cioteczny?

Przemysłowski. Czy stryjeczny, czy cioteczny, serce o to nie pyta, rozumiesz waćpan? ale wolno nie wierzyć, i może też to być, iż mnie uwodzi zbytecznie przywiązanie ku osobie waćpana, ale te wizyty, wieczorne posłańce, może też to i niewinnie się dzieje, jak to czasem między znajomemi; ja, broń Boże! nie sądzę nikogo, ostrożność jednak...

Leander. Dziękuję waćpanu za łaskawe oświecenie; będę umiał z niego korzystać.

Przemysłowski. Ale, mości dobrodzieju, mam znowu skrupuł; proszę nie polegać zupełnie na tem, com powiedział; kto to wie, może to tylko przez...

Leander. Ja już będę wiedział, co z tem uczynić. *(Odchodzi)*.

SCENA XIV.

PRZEMYSŁOWSKI *(sam)*.

Dobrze, widzę, rzeczy idą; trzebaby tylko, żeby Pradziadowski z domu wyjechał i synowca ztąd wziął. Jak się te dziady zejdą, kto wie...

SCENA XV.

PRZEMYSŁOWSKI, PRADZIADOWSKI.

Pradziadowski *(do siebie)*. Zadawać mi imparitatem! nauczę ja jegomości! Kłaniam jak najuniżeniej, cieszę się przynajmniej z tego, że przed moim wyjazdem...

Przemysłowski. Alboż to waćpan dobrodziej wyjeżdżasz?

Pradziadowski. Wyjeżdżam! o, wyjeżdżam z tego niegodziwego domu, gdzie to...

Przemysłowski. Ale co na to powie imćpan Dziadusiewicz?

Pradziadowski. A mnie co do tego? niech sobie mówi co chce! Nauczę ja jegomości, jak to...

Przemysłowski. Ah, mości dobrodzieju, w dobrej przyjaźni czasem to trzeba wybaczyć...

Pradziadowski. Jak to wybaczyć? kiedy się na mój honor szarpie...

Przemysłowski. Ale bo to, mości dobrodzieju, na fundamencie, jak to powiada imćpan...

Pradziadowski. Jakto, jeszcze on o tem gada? fundamentów jakowychsiś szuka?

Przemysłowski. On to tylko przed czterema lub pięciu...

Pradziadowski. Przed czterema lub pięciu?... ah, niegodziwy!

Przemysłowski. Ale to poufałymi przyjaciółmi, jak to naprzykład imćpanem szambelanem...

Pradziadowski. A już też to nadto! przed moim własnym siostrzeńcem... żebym nie miał politowania nad jego wiekiem, dałbym ja mu!... ale... (*Chłopiec mruga na Przemysłowskiego*).

Przemysłowski. Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja, muszę odejść na moment.

SCENA XVI.

PRADZIADOWSKI (*sam*).

Czy w głowę zaszedł ten niegodziwy starzec, zadawać mi imparitatem? mnie samemu? — Pozwę, oj pozwę!

do ziemstwa! do trybunału! zpieniam! zprocesuję na niwecz! do szczętu! — Jak tu ludziom wierzyć? Dziadusiewicz, mój niegdyś przyjaciel, sąsiad, kum, w szkołach jeszcze kondyscypuł! — Ja nie wiem, czy go kto oczarował.

SCENA XVII.

PRADZIADOWSKI, KOCIUBIŃSKA.

Pradziadowski. Proszę powiedzieć imćpannie Konstancyi odemnie, iż żałuję tego bardzo, iż nie będzie mógł być uszczęśliwionym mój synowiec; odjeżdżam.

Kociubińska. Mości dobrodzieju, zatrzymaj się waćpan; jeszcze nie są tak rzeczy zdesperowane, jak waćpan rozumiesz.

Pradziadowski. Nie wpadam ja w rozpacz, i możesz waćpani być wyperswadowana, że ta strata...

Kociubińska. Zapewne to znowu jakieś nowe matactwo pana Przemysłowskiego.

Pradziadowski. Mościa pani, to człek poczciwy, rzetelny; póki życia, będę mu odsługiwał.

Kociubińska. Zatrzymaj się waćpan tylko jeszcze tu cokolwiek, zobaczysz co o rzeczach i osobie sądzić będzie należało. Wierz mi waćpan, iż interes waćpana, jego synowca, przyjaźń dawna z imćpanem Dziadusiewiczem...

Pradziadowski. Ja z tym, który mi honor bierze...

Kociubińska. Czas wszystko oświeci; zobaczysz waćpan, racz tylko choć małą jeszcze chwilę poczekać, suplikuję, zobaczysz waćpan, iż nie będziesz tego żałował. (*Odchodzi*).

SCENA XVIII.

PRADZIADOWSKI *(sam)*.

Dlaczego to ona zatrzymuje? ja żebym tu miał siedzieć....

SCENA XIX.

PRADZIADOWSKI, POWOLSKI, ALWARSKI.

Powolski. Powiedziano, że się waszmość mościwy pan ztąd już wybierasz; takowe prędkie rezolucye.

Pradziadowski. Nie mamci czego czekać; jadę.

Powolski. To łatwo powiedzieć: jadę; ale konsekwencye waszmości to, jak to bywa zwyczajnie w nagłych rezolucyach...

Alwarski. Tak jest, cunctando restituit.

Powolski. Za czasów dawnych, jak to w kronikach jeszcze za dwunastu wojewodów, co to panowali po zeszłej, albo raczej, w Wiśle utopionej...

Pradziadowski. Ej! co mnie tam po tych historyach! Bywaj waćpan zdrów! (*Odchodzi*).

SCENA XX.

POWOLSKI, ALWARSKI.

Powolski. Dla czegóż to imćpan Pradziadowski, mościwy pan, ztąd zamyśla bytność swoją oddalać, i zostawować dawnego przyjaciela swojego imćpana Dziadusiewicza mościwego pana, który to...

Alwarski. Dobrze waszeć pan dobrodziej mówisz.

Powolski. Ja tedy w tym kroku, który, przez wzgląd na okoliczności i konsekwencye, wyniknął z poprzedzających cyrkumstancyj, traktowania i gruntownego rozważania konneksyi...

SCENA XXI.

CIŻ SAMI, LEANDER.

Leander. Mościwy panie Powolski, waćpan, który wspólnym i stryja mego i imćpana Dziadusiewicza jesteś

przyjacielem, racz, zmiłuj się, wyperswadować memu stryjowi, żeby się jeszcze cokolwiek zabawił! Kto wie, może eksplikacya...

Powolski. Idę, uczynię co mi waćpan poruczasz; tak jest, chwalebna waćpana konsyderacya i rzeczywista, bo jako to...

Leander. Ale, mości dobrodzieju, czas nagli, suplikuję..

Powolski. Dobrze, sprawiedliwe konsyderacye i przez względy...

Leander. Ale, mości dobrodzieju, proszę. (*Bierze go za rękę i wyprowadza*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

PRZEMYSŁOWSKI (*sam*).

To prawdziwie nieoszacowany chłopiec, ten mój Czupryński. Ale i ta pani Kociubińska, to matrona nie dla kształtu, widzę! Jaki obrót! naznaczyła mi czas ku rozmowie, a pana Dziadusiewicza osadza na podsłuchy, pewnie to dlatego, żebym ja jej wygadał. — Dobrze, mościa dobrodziejko; trafił swój na swego! Nie wywiedziesz mnie w pole, moja pani, nie! trzeba było raniej wstać!

SCENA II.

KONSTANCYA, PRZEMYSŁOWSKI.

Konstancya (*zmięszana*). Nie masz tu pani Kociubińskiej?

Przemysłowski. Niemasz, mościa dobrodziejko, ale ten moment szczęśliwy dla mnie, który mi zdarza nader pożądaną okoliczność.

Konstancya. Przepraszam, że muszę odejść.

Przemysłowski. Niechże pozyskam moment łaskawej audyencyi.

Konstancya. Ale cóż ja tu...

Przemysłowski. Dawnom ja pragnął tego pożądanego momentu, ażebym wynurzył respekt, szacunek, i jeżeli mi się godzi tego terminu użyć, przywiązanie, które...

Konstancya. Ale cóżby na to mówiono, gdyby kto wiedział, iż ja tu sama...

Przemysłowski. Samotność ta uszczęśliwieniem mojem, gdy mogę usłyszyć z ust...

Konstancya. Ale mój stan nie pozwala mi tych sentymentów! Ale proszę poprzestać ten dyskurs...

Przemysłowski. Mościa dobrodziejko...

Konstancya. Nie przystoi mi w dłuższe rozmowy wdawać się z waćpanem, i chociaż...

Przemysłowski. Dobądź waćpanna dobrodziejka wyroku uszczęśliwienia mojego, racz wyrazić...

Konstancya. Opowie wszystko pani Kociubińska, a teraz bywaj waćpan zdrów.

Przemysłowski. Przynajmniej słówko. (*Całuje ją w rękę. Konstancya odchodzi*).

SCENA III.

PRZEMYSŁOWSKI (*sam*).

Czy mi się tak zdaje, czy mnie podobno za rękę ścisnęła? Ile ja mogę miarkować, ze strony panny nie będzie największa przeszkoda; ta nieśmiałość i zarumienienie...

Czas się już zbliża rozmowy z panią Kociubińską! Czy mi nieszczęście nadało tego nudnego pana Powolskiego?

SCENA IV.

PRZEMYSŁOWSKI, POWOLSKI.

Przemysłowski. Ah mości serdecznie kochany dobrodzieju, nie mogę przewieść na sobie, żebym cię nie uściskał serdecznie, mego kochanego dobrodzieja.

Powolski. Pomału, mości panie, udusisz mnie waćpan temi karesami.

Przemysłowski. Zbytek przywiązania..

Powolski. Każdy zbytek jest niedobry, a jako powiada pewny zacny autor, tak jest, zacny autor w kronice... ale mylę się, nie, nie w kronice, ale to w księdze... wyborna księga, i tak tedy...

Przemysłowski. Ubolewałem nieskończenie, że nie mogę tak, jakbym, pragnął nasycić pragnienia mojego, łaskawą kochanego mojego dobrodzieja konwersacyą; interes...

Powolski. Interes dobra pospolitego, który to zawiera się...

Przemysłowski. Przepraszam, mości dobrodzieju, inszego czasu powolniejszego dwie godziny będę łożyć na korzystanie...

Powolski. Tak jest, korzystanie o znamienitych konjunkturach, które to... *(Przemysłowski ucieka; Powolski nie widząc)* które to wypływają, jak ze źródła konneksyi należytych, i przeto, stając się ustępem do uskutkowania i wyobrażenia... *(Postrzega, że odszedł Przemysłowski)*. Co to? to nie pięknie, uciekać kiedy kto mówi.

SCENA V.

POWOLSKI, DZIADUSIEWICZ, KOCIUBIŃSKA.

Kociubińska *(do Dziadusiewicza).* To waćpan dobrodziej tu tylko do gabineciku wnijdź, i bądź tam dopóki...

Powolski. Które to... ażeby... A! imćpanu Dziadusiewiczowi mościwemu panu; właśnieś tu waszmość pan przybył... kiedy to... i potrzeby przynależytości, i jak mówił...

Dziadusiewicz. Przepraszam, że teraz zatrudnienia; zaraz będę służył. (*Odchodzi*).

Powolski *(do Kociubińskiej).* I jak mówił, w tejże materyi, co do szczególniejszych...

Kociubińska. Ale, mości panie, imćpan Dziadusiewicz ma tu....

Powolski. Tak jest, ma tu, uskutkować należytemi konsekwencyami.

Kociubińska. Ale, mości panie, tu o rzecz idzie; ja tu muszę się zostać, dla rozmówienia się w interesie wielkiej wagi; suplikuję...

Powolski. Ah, nie przeszkadzam, bez tego też, jako i czas i konjunktury... (*Odchodzi*).

SCENA VI.

KOCIUBIŃSKA (*sama*).

Chwała Bogu, żem się go przecież pozbyła. Ale ktoś idzie! to pewnie pan Przemysłowski.

SCENA VII.

ALWARSKI, KOCIUBIŃSKA.

Alwarski. Nie mogę znaleźć imćpana Leandra; proszę nie mieć za złe, że się spytam, czyliś go waćpani nie widziała...

Kociubińska. Nie był tu, ale waćpan dlaczego tak go śpieszno szukasz...

Alwarski. To się szuka, czego nie masz...

Kociubińska. To się znajdzie, czego nie było.

Alwarski. Prawda, a waćpani musiałaś widzę książki czytać?

Kociubińska. Moje książki są ludzie; kto się na nich umie patrzyć, więcej się czasem nauczy, niż z książki...

Alwarski. Co to, to przepraszam. Jest to powiedziano...

Kociubińska. Wierzę ja temu, ale nie chcę przeszkadzać szukaniu waćpana i dlatego...

Alwarski. I dlatego, nim ja go znajdę, chciałbym waćpani, jako matrony uczonej...

Kociubińska. Przestań waćpan tych panegiryków, jam się nie uczyła.

Alwarski. Wolny żart waćpani! Kto tak piękne sentencye powiada...

Kociubińska. Znak, że ma rozum naturalny, a kto go ma, a dobry, więcej umie, jak ten, który cały rozum na książkach zasadził...

Alwarski. Nego consequentiam — ale waćpani podobno po łacinie nie rozumiesz.

Kociubińska. Nie rozumiem, i dysputować nie chcę; szukaj waćpan pana Leandra, a daj mi pokój.

Alwarski. Ale bo to waćpani argument.

Kociubińska. Ja nie umiem argumentować; daję waćpanu wygraną zupełną i przestaję na jego zdaniu.

Alwarski. A co tak, to co inszego; inaczej wypróbowałbym waćpanią, tak jak dwa a dwa czynią cztery....

Kociubińska. Iż ja i waćpan jesteśmy dwoje, waćpan trzeciego szukasz, a mnie czwartego trzeba; kłaniam uniżenie.

Alwarski. Najniższy sługa. *(Odchodząc mówi:)* dobrzem uczynił, żem znegował konsekwencyą.

SCENA VIII.

KOCIUBIŃSKA, PRZEMYSŁOWSKI, DZIADUSIEWICZ *(w gabinecie na stronie).*

Przemysłowski. Stawiam się na rozkaz waćpani dobrodziejki; jej wolą pełnić najmilsza dla mnie zabawa, najszacowniejsza chwila, najpożądańsza okoliczność. *(Porywa jej rękę).* Ale dajże mi rączkę, moja pani.

Kociubińska. Ale przestańże waćpan tych żartów! Czas krótki, trzeba z niego korzystać; ledwom i ten mogła oszczędzić na rozmówienie się z waćpanem. Krok, który czynię, zapewne wielce jest hazardowny, gdyby się dowiedział pan Dziadusiewicz — ale przywiązanie moje ku jego córce....

Przemysłowski. Mamże uszom moim wierzyć, iż imćpanna Konstancya...

Kociubińska. Z tego co czynię, z tego na co się odważam, z tego co waćpanu powiem, o wszystkiem domyślić się możesz; ale rozumiem, iż niepotrzeba waćpanu powtarzać, co charakter i...

Przemysłowski. Ah, mościa dobrodziejko, krzywdę mi waćpani czynisz samem tylko wspomnieniem jakiegoś powątpiewania.

Kociubińska. Mości panie, płeć nasza gdy się odważa do kroków, które z pozoru mogłyby podpadać cenzurze, czyni naówczas ofiarę wielką, i ten, który jest jej celem, powinien tem żywiej czuć, co się dla niego czyni, im bardziej to, co się czyni, bez gwałtownego przełamania wstrętu wykonane być nie może. Racz się waćpan zasta-

nowić nad tem co mówię, i dopiero, jeżeli wchodzisz tak, jak charakter poczciwego człowieka każe, w delikatność tej okoliczności, która się otwarza, jeźli z swojej strony chcesz tak, jak należy, przykładać się do tego, co mam mu przełożyć, każ mi waćpan mówić; inaczej się nie odważę.

Przemysłowski. Całe życie moje nie na inszym ustanawiało się gruncie, tylko na tym, co charakterowi poczciwego człowieka przystoi. Mów waćpani bez wstrętu.

Kociubińska. Jeśli go zwyciężyć trudno, znieść niepodobna. Nie z siebie czynię, ale gdy waćpan dowiesz się, iż więcej jesteś niż nieobojętnym mojej wychowanicy, usłyszałeś to z ust moich, na cobym się bez jej dołożenia nie odważyła.

Przemysłowski. W zbytku uszczęśliwienia mojego brałbym za sen łudzący, za omamienie, to co słyszę; życie moje nie wystarczy na uczucie... zawdzięczenie...

Kociubińska. Pewna jestem, iż to, czegoś się waćpan dowiedział, nie będzie mu obojętne; ale trzeba, żebyś waćpan był informowany i o okolicznościach jakie są, i o intencyach tej, która się przezemnie oświadcza.

Przemysłowski. Jakież są, mościa dobrodziejko? Słucham.

Kociubińska. Najprzód trzeba, żebyś o tem wiedział, iż imćpan Dziadusiewicz, chociażby na żądanie waćpana, i razem sentymenta córki swojej przyzwolił, nie jest w intencyi za życia swojego przyszłemu zięciowi nic udzielić...

Przemysłowski. Mościa dobrodziejko! Sentymenta moje nie są interesowane; serca ja, nie pieniędzy szukam.

Dziadusiewicz *(na stronie)*. Poczciwy człowiek.

Kociubińska. Nie dość to jest, mości panie, ale imćpan Dziadusiewicz przez przywiązanie ku imieniowi swojemu, chciałby, iżby przyszły zięć kontentował się małą

kwotą wyznaczoną, i zrzekł się dla dalszego imiennika całej substancyi.

Przemysłowski. Mościa dobrodziejko, żadne prawo odstręczyć dziecięcia od naturalnej własności nie może (chyba, żeby dało ważne i prawem uznane przyczyny); nie miałby się przeto z tej strony niczego obawiać przyszły zięć jegomości. Gdyby jednak mnie miało to szczęście spotkać, przyznam się waćpani, iż chcąc dogodzić woli tak szacownego, tak zacnego, tak godnego, tak wybornego męża, odstąpiłbym i mojej własności, i przyszłąbym małżonkę do tego nakłonił, żeby ofiarą dobrego mienia dogodziła żądaniom sprawiedliwym, przystojnym uczciwym, ojca swojego.

Dziadusiewicz *(na stronie)*. Cóż to za człowiek!

Przemysłowski. Wychowanie, które dał godnej córce swojej, przykłady, któremi to wychowanie wspierał, przenoszą największe skarby; jużem powiedział, powtarzam, i milion razy powtarzać będę: serca pragnę, nie zbiorów, serca...

Kociubińska. Ale gdyby imćpanna Konstancya koniecznie wyciągała po waćpanu, iżbyś i o jej dobrem mieniu myślał.

Przemysłowski. Natenczas prosiłbym, żeby...

Kociubińska. Ale pan Pradziadowski...

Przemysłowski. Co, mościa dobrodziejko? pan Pradziadowski? krzywdę mi czynisz waćpani, gdy mnie kładziesz w porównaniu z synowcem jego, który....

Kociubińska. Ile mi się zdało i słyszeć od drugich i samej...

Przemysłowski. Nie wszystko złoto co się świeci, młody ten człowiek, na fundamencie jakowejś junackiej raźności swojej mniema, iż wszystkie przymioty posiadł; nadto jest wielka przezorność waćpani, żebyś nie umiała czynić różnicy między złotem a szychem.

Kociubińska. Prawda, mości panie, że waćpana talenta....

Przemysłowski. Ah, mościa dobrodziejko, broń Boże, nie o sobie to mówię; znam się na mojej szczupłości, miałkości... ale świat ma oczy...

Kociubińska. Ma zapewne, i te oczy nie zdają się być zupełnie przeciwne...

Przemysłowski. Pozorom, częstokroć więcej oznaczającym powierzchownie, niż wewnątrz jest rzetelnej istoty, i ztąd ci to może i synowiec i stryj...

Kociubińska. Ten zawsze uchodził za człowieka pełnego staropolskiej cnoty...

Przemysłowski. Prostoty, prejudicyów, słabości, uporu, starzec ten nierozeznany...

SCENA IX.

CIŻ SAMI, PRADZIADOWSKI.

Pradziadowski. A już też to, mościwy panie, tego nadto! Taki to z waszeci jest pan, umiesz się w oczy lizać, a po za oczy...

Przemysłowski (*do ucha*). Ale to, mości dobrodzieju, miej tylko waćpan cierpliwość, ja to umyślnie...

Pradziadowski. Znam się, mości panie, na tych figlach; szeptaj waszeć jako chcesz; poznaję z tego, com na moje uszy słyszał. Waszecin charakter niegodziwy, nierzetelny, i....

Przemysłowski (*do ucha*). Ale, mości dobrodzieju, za minutę...

Pradziadowski. Momentu jednego nie chcę! Chcesz się waszeć zwykłemi sztukami swojemi wykręcić? nie trafiłeś waszeć na takiego prostaka staropolskiego, jakeś mnie

waszeć dopiero odmalował. Teraz dopiero zaczynam poznawać waszecine chwile; plotkami swojemi zwaśniłeś mnie waszeć z dawnym poczciwym przyjacielem moim, panem Dziadusiewiczem. Mam u siebie waszecinego sługę, godnego łotrowskiego ćwiczenia; przyznał się on już mojemu synowcowi i mnie, jakeś go waszeć używał na podsłuchy, i na rozsianie plotek, i ta ostatnia, którąś waszeć skomponował zapewne, że mi pan Dziadusiewicz chce chłopstwo zadawać....

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, DZIADUSIEWICZ (*z gabinetu wychodzi*).

Dziadusiewicz. Ja, żebym waćpanu zadawał chłopstwo! Cóż to jest, panie Przemysłowski? eksplikuj się no waszeć ..

Przemysłowski *(do ucha Dziadusiewiczowi)*. Ale to figle tylko są, miej no waćpan...

Dziadusiewicz. Jak to: figle? brać honor uczciwemu szlachcicowi, wadzić ludzi spokojnych, plotki siać. Mospanie Pradziadowski, poprzysięgam, iż mi ani w myśli nie powstało...

Pradziadowski. Wierzę ja temu, ale jegomość, który waćpana w oczach moich tak oczerniał ..

Dziadusiewicz. A on mi powiedział, że waćpan tu już spisujesz inwentarze.

Pradziadowski. Ja inwentarze...

Dziadusiewicz. Dalej, panie Przemysłowski, mów no waszeć! Wszakżeś mi waszeć sam powiadał, że pan Pradziadowski i sam przez siebie, i przez ludzi swoich...

Przemysłowski. Ale, mości dobrodzieju, ciekawość takowa nie jest naganna, a zwłaszcza...

Pradziadowski. A zwłaszcza kiedy skomponowana, zmyślona na to, żeby nas tylko rozdrażniać, zwaśniać. Wstydź się waszeć tego matactwa, tego bałamuctwa, tej przewrotności!

Dziadusiewicz. Panie Przemysłowski, nie spodziewałem się tego po waszeci, czego mnie teraz szczęśliwy przypadek nauczył. Chciałeś waszeć podejściem swojem waśnić dwóch starych przyjaciół; jużeś był dokazał, ale nie dał Pan Bóg górować szalbierstwu nad poczciwością. (*Do Pradziadowskiego*). A ty, mój stary przyjacielu, wybacz słabości mojej, wybacz dowierzaniu mojemu! Zbałamuceni obydwaj, nie wiedzieliśmy sami cośmy czynili; jam był pierwszy początkiem, ja nagradzam. Idźmy zakończyć weselem umartwienie dzieci naszych. (*Do Przemysłowskiego*). A waszeci panu szczęśliwa droga! Jedź sobie waszeć do-do-do miasta, możesz tam już waszeć talenta swoje rozpostrzeć; kto wie, możeś przezorniejszych od nas z rozumu wywiódł, ale pamiętaj waszeć na to, że i na wsi i w mieście, przyjdzie czas, kiedy się na francie poznają.

STATYSTA.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Pan *Myślicki*.
Pani *Myślicka*.
Kunegunda, ich córka.
Kokoszyńska, ochmistrzyni.
Rostropski, sąsiad.
Uważewicz.
Erast, kawaler Kunegundy.
Handlowicz.
Rolnicki.
Figlacki, służący Erasta, udający doktora Pankracyusza.
Chłopiec.

Scena w domu Myślickiego.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

ROSTROPSKI (*sam*).

Cóż też to czasem chimery broją! Ta, którą od kilku czasów powziął mój dobry sąsiad pan Myślicki, zdaje się być bardziej śmieszna niż prawdziwa. Z tem wszystkiem

do tego punktu przyszła, iż jej trzeba koniecznie zabieżyć. A daj Boże! żeby tylko skutecznie, jeżeli nie przezwyciężyć, przynajmniej uhamować ją można. Miłość dobra publicznego chwalebną, prawda i wielce jest chwalebną pobudką czynności naszych. Ale na tym fundamencie zapędzać się w nieroztropne i dziwackie projekta; zapominać tego, co własny stan każe, zaniedbywać najistotniejszych obowiązków, podawać się nakoniec w niebezpieczeństwo utracenia własności swojej... to zbytek naganny i dziwactwo szkodliwe.

SCENA II.

ROSTROPSKI, MYŚLICKA.

Myślicka. Właśniem też waćpana szukała.

Rostropski. I jam na waćpanią czekał. Cóż tu słychać?

Myślicka. Bardzo źle. Mój mąż coraz bardziej dziwaczy. Ja nie wiem zkąd mu przyszła ta mania o interesach publicznych! Ja mu gadam o konopiach, a on o jakichściś państwach, wojnach, pokojach, projektach, o które i ja nie dbam, i on podobno sam nie rozumie; a tu tymczasem i gospodarstwo źle idzie, i wydatków się coraz przyczynia; jeżeli to dłużej potrwa, zginiemy ze wszystkiem.

Roztropski. Wiesz waćpani, jakie czynię starania, i jak dotąd były nieskuteczne. Ale też nie trzeba nam zbyt żwawo na niego nacierać. Zastarzałe choroby pomału się leczą; a jakem uważał, i waćpani w remonstracyach swoich, nadto często powtarzanych, bardziej go jeszcze podobno utwierdzasz w jego zdaniach. Racz się na mnie spuścić; a ze swojej strony tak się do wszystkiego dokładaj, jakeśmy już dawniej byli ułożyli.

Myślicka. Uczynię wszystko, co waćpan każesz. Ale zmiłuj się, gdyby to jak najprędzej!

Rostropski. Ot-że znowu niecierpliwość! A o czemżeśmy dopiero mówili?

Myślicka. Ale bo to....

Rostropski. Ale bo to, moja pani, niedość chcieć, trzeba słuchać.

Myślicka. Już uczynię wszystko. Ale bo tu inna jeszcze okoliczność zachodzi.

Rostropski. Jakowa?

Myślicka. Waćpan znasz pana Erasta?

Rostropski. Znam. Kawaler zacny, przystojny, cnotliwy...

Myślicka. Ot, że ten pan Erast, od kilku czasów tu będący, chciałby się odezwać o konkurencyą do naszej córki. Ona, ilem mogła wyrozumieć, sprzyja mu, i mój mąż, jak mi się zdawało, z początku nie był od tego. Ale jak na nieszczęście, zjechał tu w dom nasz pan Uwaziewicz. Ten, wraz z towarzyszami swemi, jakimśćiś panem Rolnickim i Handlowiczem, roztasowali się u nas, i tak opanowali umysł mojego męża, iż bardzo się boję, żeby ku temu panu Uwaziewiczowi zupełnie intencyj swoich nie skłonił. Ale uważ sam waćpan, coby to było za nieszczęście, oddać córkę człowiekowi niewiedzieć jakiemu, nieznajomemu, i który, lubo się posądzać niegodzi, może jest filut i oszust. Jakoż, Panie Boże odpuść! z oczu mu to patrzy.

Rostropski. Bojaźń waćpani wielce jest sprawiedliwa. Nie wielem z nim przestawał; ale i z tego com mógł dostrzedz, nie bardzo mi się podoba.

Myślicka. I w tem więc łaski i wsparcia waćpana

potrzebuję. Ja z siebie czynię co mogę; ale uporu męża nie przeprę, a boję się go narazić.

Rostropski. Będę czynił, co będę mógł. *(Myślicka odchodzi).*

SCENA III.

ROSTROPSKI, UWAZIEWICZ.

Uwaziewicz *(zamyślony idzie koło Rostropskiego, jakby go nie widział).*

Rostropski. Kłaniam jak najuniżeniej.

Uwaziewicz. Ah, mości dobrodzieju! przepraszam, żem nie spostrzegł, zatrudniony rozmaitemi myślami, a do tego i dla tej przyczyny...

Rostropski. Młodym kawalerom wpadać w tak zbyteczne myśli nie należy. Zostawcie to nam starszym, w których, jak to mówią, już krew wrzeć przestała.

Uwaziewicz. Uznaję, iż zdaje się być pożądaną zabawą używać dobrego czasu i korzystać z młodości. Ale konjunktury...

Rostropski. Chyba nieuchronne i nadzwyczajne powinnyby czynić ten skutek. Ale się nie spodziewam, iżbyś waćpan w porze wieku...

Uwaziewicz. Pozór zdradza. Myśleć, gdy jest czem i o czem, i młodym przystoi.

Rostropski. Prawda. Ale jest czas na wszystko...

Uwaziewicz. I od wszystkiego.

Rostropski. Przyznam się, iż to enigma trudne mi jest do zrozumienia; racz go waćpan jaśniej wyłuszczyć.

Uwaziewicz. Łacność jest skutkiem przykrości.

Rostropski. Taką rzeczą przykrość nie jest skutkiem łacności.

Uwaziewicz. I owszem. Konjunktury rzeczy czynią, konjunktury rzeczy mienią.

Rostropski. Nie chcę przeszkadzać głębokim waćpana medytacyom. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

UWAZIEWICZ (*sam*).

Jak to będzie? i czem to będzie? ważą się rzeczy — a ekwilibryum? Jak to ugodzić? jak zrównać? skombinować? skojarzyć? A te potencye — to z południa — to z zachodu — to z północy...

SCENA V.

UWAZIEWICZ, MYŚLICKI.

Myślicki. Szukałem waćpana, i mam ciekawy skrypt, który mi przysłano przez pocztę.

Uwaziewicz. Przez jaką pocztę?

Myślicki. Dzisiejszą.

Uwaziewicz. Ale tu nie o to idzie. Pytam się waćpana, przez pocztę koronną czy litewską?

Myślicki. Koronną.

Uwaziewicz. A! to już wiem.

Myślicki. Co takiego?

Uwaziewicz. Kuryer o której godzinie przyjechał?

Myślicki. O dziesiątej.

Uwaziewicz. Z rana, czy w wieczór?

Myślicki. Z rana, jeszcze dziś trzecia z południa nie wybiła,...

Uwaziewicz. Mógł wczoraj przyjechać.

Myślicki. Przyjechał dziś.

Uwaziewicz. Źle.

Myślicki. Cóż to ma do złości lub dobroci, że poczta przyszła rano a nie wieczór?

Uwaziewicz. Pytanie to czyni krzywdę waćpanu. Nie widzisz waćpan, iż w śpieszności może być tajemnica.

Myślicki. Chciałbym ja tu co widzieć, ale przyznam się waćpanu, że nic nie widzę, i proszę, żebyś mnie chciał z łaski swojej informować.

Uwaziewicz. Potem o tem. Teraz ja waćpanu komunikować będę pewne pismo, które... ale ten kuryer, konny czy wozowy?

Myślicki. Konny; jeszcześć poczty wozowej nie mamy.

Uwaziewicz (*zamyślony*). Kuryer.... o dziesiątej.... rano.... konny.... Wszak trąbił?

Myślicki. Trąbił.

Uwaziewicz. Kłuje się rzecz, mości panie; żebyśmy mogli jeszcze wiedzieć, czyli ten kuryer zaraz na poczcie listy oddał, i czyli były niektóre osobno, a niektóre w pakietach; potem i te pakiety, czyli...

SCENA VI.

CIŻ SAMI, HANDLOWICZ.

Handlowicz. Mości dobrodzieju! Źle!

Myślicki. Cóż takiego?

Handlowicz. Nie będziemy mieli imbiru.

Myślicki. Jakto, mospanie?

Handlowicz. Zapewne.

Uwaziewicz. Imbiru! rozumiem. Ot, że to już pierwszy skutek tej aliansy, której-em się tak mocno sprzeciwiał. Ja nie wiem, co ci królowie robią! ale ja od tego ręce umywam. Mówiłem — przestrzegałem —

Handlowicz *(do Myślickiego)*. Zważ-no waćpan sam, co za tem idzie! Panowie, szlachta, kupcy, rzemieślnicy...

Myślicki. Ah dla Boga!

Handlowicz. Handle, akcyzy, portorye, cła, myta, frymarki, jarmarki, zamiany, monopolia. —

Myślicki. Straszna rzecz!

Uwaziewicz. Nie rachując przyjścia, odejścia, kupna, odbytu, zarobku, procentu, ewaluacyi, likwidacyi, defluktacyi, eksportacyi, importacyi.

Myślicki. Mości panie Uwaziewicz! co waćpan mówisz?

Uwaziewicz. Ja? łatwiuteńko, króciuteńko, pewnie, jawnie, oczywiście.

Myślicki. A ja się domyślam, cobyć waćpan poradził.

Uwaziewicz. Powiedz waćpan.

Myślicki. Oto, sprowadzić pieprzu.

Uwaziewicz. Daleko to od tego. Przyjdzie czas; pomału owoce dojrzewają, pomału się kruszec czyści. *(Odchodzi)*.

SCENA VII.

MYŚLICKI, HANDLOWICZ.

Myślicki. Co to za głowa mospanie, ten pan Uwaziewicz! Szkoda, że się nie chce jaśniej tłómaczyć. Ale zapewne on ma w tem swoje racye. Co tu będzie robić teraz, mospanie?

Handlowicz. Com powiedział, prawda nieomylna.

Myślicki. Ale zkąd to waćpan wiesz?

Handlowicz. Zkąd? *(Pokazuje na głowę)*. Oto ztąd!

Myślicki. Jakże to?

Handlowicz. Wszak teraz Wrzesień?

Myślicki. Tak jest, Wrzesień.

Handlowicz. Jakie były wiatry od dni piętnastu?

Myślicki. Albo ja tam wiem.

Handlowicz. Ale ja wiem. Wiatry były, mospanie, ustawiczne z północy, rozumiesz waćpan?

Myślicki. I cóż z tego?

Handlowicz. Wszystko z tego. Ten wiatr mospanie sprzeciwia się nawigacyi od wysp Filipińskich.

Myślicki. Dobrze — Filipińskich.

Handlowicz. Z tamtych stron tedy, mospanie, płyną floty z imbirem, a co większa, z gałką muszkatołową.

Myślicki. I z gałką muszkatołową?

Handlowicz. Tak jest, i z gałką muszkatołową.

Myślicki. To i gałek muszkatołowych mieć nie będziemy?

Handlowicz. Poczekaj-no waćpan trochę! Od pierwszego do piętnastego, od piętnastego do ośmnastego... potem pierwsza kwadra. Tak jest, nie będzie gałek muszkatołowych.

Myślicki. Ah mości panie! cóż my poczniemy?

Handlowicz. Poczekaj-no jeszcze waćpan, wszystko to fraszki!

Myślicki. Pewnie co gorszego?

Handlowicz. Nie — co lepszego.

Myślicki. Powiedz-no waćpan proszę.

Handlowicz. Gdyby mnie tylko chciano słuchać.

Myślicki. Słucham.

Handlowicz. Ale ja to mówię o królach, o gabinetach.

Myślicki. Cóż to tam takiego?

Handlowicz. Oto, mospanie, gdyby mnie chciano słuchać, jabym tego dokazał, żeby się bez tych wszystkich produkcyj oryentalnych obejść można.

Myślicki. I jam o tem myślał; i zdaje mi się, żem dobry do tego sposób znalazł.

Handlowicz. Jaki?

Myślicki. Zakazać jeść korzenno.

Handlowicz. To niepodobna! Ale, wszak imbir, pieprz, gwoździki i gałki muszkatołowe rodzą się w Azyi?

Myślicki. Prawda.

Handlowicz. Wszak dlatego rodzą się w Azyi, że tam operacya słońca jest żywsza?

Myślicki. Tak jest.

Handlowicz. Wszak dlatego operacya jest żywsza, iż promienie słoneczne do takiej przychodzą dzielności, iż nawet zapalają?

Myślicki. Zapewne.

Handlowicz. Wszak mamy huty?

Myślicki. Któż o tem nie wie?

Handlowicz. Wszak mamy szlifierzy?

Myślicki. I nadto.

Handlowicz. I jeszcze się waćpan nie domyślasz?

Myślicki. O czem?

Handlowicz. To nie moja wina! Daj sobie waćpan czas do uwagi. *(Odchodzi).*

Myślicki. Mości panie Handlowicz! — proszę — moment!

SCENA VIII.

MYŚLICKI.

Co to za wiek! i szczęśliwy i nieszczęśliwy. Wynalazków aż nadto, a bieda wszędzie; mnie się zdaje, że od imbiru przyjdzie do pieprzu, od pieprzu do gwoździków; a nakoniec trzeba się będzie pożegnać z szafranem i cyna-

monem. Jak to tu będzie można żyć? A nasi bracia, nasi panowie, albo to oni o to dbają? A tu tymczasem idzie o rzecz — i o jaką rzecz!

SCENA IX.

MYŚLICKI, MYŚLICKA.

Myślicka. Szukam waćpana — trzeba nam się rozmówić ze strony dyspozycyi domowej.

Myślicki. Dobrze, moja pani: a wiele jest w śpiżarni imbiru?

Myślicka. Nie wiem. A zkądże waćpanu ta ciekawość?

Myślicki. Nie pytaj się waćpani. Ale proszę, szanuj go waćpani, ochraniaj, obchódź się z nim najoszczędniej; proszę, obliguję.

Myślicka. Żadnego się zbytku w niczem nie czyni. Ale proszę mi powiedzieć, zkąd ta waćpana predylekcya do imbiru?

Myślicki. Potem się waćpani dowiesz. Teraz proszę, zaklinam, cokolwiek jest pieniędzy, posłać wszystkie do miasta.

Myślicka. Po co?

Myślicki. Po imbir.

Myślicka. Ale są inne potrzeby.

Myślicki. Fraszka: imbiru! imbiru!

Myślicka. Ale waćpan żartujesz?

Myślicki. Nie żartuję: imbiru! (*Odchodzi*).

SCENA X.

MYŚLICKA.

Ot-że znowu jakieś nowe szaleństwo! Zkąd jemu do głowy ten imbir przyszedł? Oj ci niegodziwi ludzie, co go otaczają, ci to są przyczyną zapewne tych bałamuctw!

SCENA XI.

MYŚLICKA, ERAST.

Erast. Chciałem pozyskać dla siebie moment czasu rozmowy z jegomością dobrodziejem, ale mi powiedziano, że teraz jest zajęty.

Myślicka. Może to być, że interesa nie dają mu sposobności do rozmówienia z waćpanem.

Erast. Nie chcę ja być natrętem. Ale od tylu czasów przebywając w domu waćpaństwa, chciałbym przynajmniej moment czasu pozyskać dla siebie, w którym mógłbym przełożyć jegomości dobrodziejowi żądanie moje.

Myślicka. Miej waćpan cierpliwość. Mąż mój rozmaitemi interesami zatrudniony, nie jest panem swojego czasu; poznasz to waćpan sam, kiedy rządy domu obejmiesz. Nie trać jednak waćpan nadziei; im dłużej się czeka, tem milsza korzyść.

Erast. Prawda, że jest milsza. Ale i w czekaniu trzeba przecież, żeby nadzieja była posilona, jeżeli nie pewnością, przynajmniej podobieństwem pomyślnego skutku.

Myślicka. Na to wszystko najlepsze lekarstwo cierpliwość. Kto prawdziwie kocha, nie zraża się czekaniem.

Erast. Znośneby mi było, ale zwłoki ustawiczne, ale...

Myślicka. Trudno co zyskać bez ale, nie trać jednak waćpan nadziei, a bądź pewnym o mojem interesowaniu

się, jeżeli tylko co może być skuteczne; nie chcę bowiem, żebyś waćpan nie miał wiedzieć, że tu od przybycia pana Uwaziewicza i innych ichmościów, którzy po nim przyjechali, tak się wszystko w domu naszym odmieniło, iż sama nie wiem, jak sobie mam poczynać.

Erast. To modestya waćpani dobrodziejki.

Myślicka. To komplement waćpana, a w istocie to jest, i o to idzie, iż radabym waćpana widzieć moim zięciem; ale widzę męża mojego w odmiennem zdaniu. Przezwyciężyć go rzecz trudna: ja, ile ze mnie, będę wszystko czynić, co może ułatwić i do skutku przywieść żądanie jego. Nie mam więcej czasu z nim rozmawiać. Zażyj waćpan rady i pomocy pana Rostropskiego. (*Erast wychodzi*).

SCENA XII.

MYŚLICKA, KOKOSZYŃSKA.

Myślicka. A co robi moja córka?

Kokoszyńska. Obudziłam ją o godzinie szóstej i dwa kwandranse, ubrała się panna, zmówiła paciorki, pisała, czytała, teraz haftuje na krosienkach.

Myślicka. Ale to podobno nadto?

Kokoszyńska. Spuść się no waszeć dobrodziejka na mnie. Nieboszczka jejmość toż samo mówiła, przecież to waćpani na dobre wyszło. Płakałaś waćpani, i ja sama chciałam pofolgować. A nieboszczka jejmość jak przyszła, i mnie jeszcze połajała, żem nie była dosyć pilna, i pamiętasz waćpani, kiedyś musiała w ostatni wtorek, kiedy się wszyscy ubierali w maski, haftować dwa kwiatki na taborecie, a jam jejmości jak prosiła, tak prosiła! a przecież jejmość, jak się uparła, tak musiałyśmy siedzieć nad robotą do godziny wpół do dziewiątej w noc; a tu tym-

czasem muzyka grała w stołowej izbie — a właśnie przed dwiema godzinami przyjechał był jegomość, któremu już byli państwo (Panie świeć nad ich duszą!) dali deklaracyą.

Myślicka. To stare dzieje.

Kokoszyńska. Stare, ale dobre. Nie wszystko to złoto, co się świeci; a jak mówił nieboszczyk jegomość...

Myślicka. Ale tu nam o żywym jegomości myśleć potrzeba.

Kokoszyńska. O! on jest człowiek dobry; poczekaj-no waćpani, bo to waćpani — a zawżdy to żywość, zawżdy to niecierpliwość, to właśnie jak panna Kunegunda. Jam jej zaczęła powiadać historyą o księżniczce Meluzynie, a ona zasnęła; ja ją budzę, a ona mi poczęła prawić; wiesz waćpani, o czem to ona zaczęła prawić?

SCENA XIII.

TEŻ SAME, ERAST.

Erast. Mościa dobrodziejko! jeżelim niegodzien względu, przynajmniej politowania.

Myślicka. Gdyby nie miłość była usprawiedliwieniem.

Erast. To zwyczajne sposoby mówienia, a tymczasem...

Kokoszyńska. Mości panie! waszeć jesteś młody, a kiedy kto młody...

Erast. To kocha usilnie, serdecznie.

Kokoszyńska. Komplement, afekta, oświadczenia; kiedy potem przyjdzie do czego, to...

Erast. Mój afekt, moje przywiązanie, wierne, szczere, stateczne.

Kokoszyńska. A nieboszczka jejmość mówiła: co amant, to zdrajca.

Erast. Mogą być tacy, ale żeby mi inszy taki zarzut uczynił, natenczas...

Kokoszyńska. Natenczas przeklinałbyś się waszeć, płakałbyś; uwierzyłaby głupia, a waszećby ją oszukał.

Erast. To może się działo za czasów młodości waćpani dobrodziejki, ale jejmość dobrodziejka, która w innym czasie...

Myślicka. To prawda, że czasem odmieniały się sposoby myślenia — i naprzykład —

Kokoszyńska. Jakiż to przykład? Ot, że to spuszczać się na kogo, a czasem i na matki! a pamiętasz waćpani, kiedy to nieboszczka jejmość...

Myślicka. Nie wiem co moja córka robi; pójdź-no waćpani, zobacz.

Kokoszyńska. O prawda! to mi panna, ale też to ja sama ją edukuję. *(Odchodzi).*

SCENA XIV.

MYŚLICKA, ERAST.

Myślicka. To com raz powiedziała, powtarzam: cierpliwości tu trzeba. A że może jeszcze inne sposoby mogą być tak szczęśliwe, żeby przez nie żądania waćpana skutek wzięły, radź się waćpan pana Rostropskiego, czyń z siebie co możesz. Ja z mojej strony będę dopomagać, ile możności. *(Odchodzi).*

SCENA XV.

ERAST *(sam)*.

Trudności ze wszystkich stron! O sercu panny, przywiązaniu matki, przychylności Rostropskiego pewny jestem, ale z tem wszystkiem —

SCENA XVI.

ERAST, FIGLACKI.

Figlacki. Cóż to? Pan sam do siebie gada?

Erast. Daj mi pokój.

Figlacki. Nie dam, to nie dobrze do siebie gadać; ano co się z kąta odezwie?

Erast. To niech się odezwie; i cóż?

Figlacki. Imaginujże sobie waćpan naprzykład, że to się z kąta odezwie, co ja powiem. —

Erast. Cóż tam powiesz?

Figlacki. Oto powiem, że gdybyś mię waćpan posłuchał, nie gadałbyś sam do siebie, bobyś był waćpan kontent —

Erast. Mówże.

Figlacki. Wszak pan stara się o pannę Kunegundę, córkę Myślickiego?

Erast. To nie sekret.

Figlacki. Wszak matka i panna sprzyjają?

Erast. Prawda.

Figlacki. Wszak ojciec głupi?

Erast. To nieprawda —

Figlacki. Więc tedy nie głupi, ale trochę pomięszanego rozumu?

Erast. I to fałsz.

Figlacki. To przynajmniej ma niektóre dziwactwa?

Erast. Trochę —

Figlacki. Wszak z nim pan Uwaziewicz i ci ichmość, co to tu ustawicznie szepczą, co chcą, to robią?

Erast. Prawda.

Figlacki. Mnie waćpana żal. Pozwól mi tylko waćpan, a ja ręczę, że sam bez żadnej pomocy cały waćpana naprawię interes, wszystkich tych ichmościów z domu wy-

pędzę, a co większa, do tego przywiodę pana Myślickiego, że nie tylko córkę za waćpana wyda, ale jeszcze będzie prosił, żebyś ją wziął.

Erast. Te myśli godne twojej prostej głowy.

Figlacki. Pozwól mi tylko waćpan; moje zabiegi jeśli nie pomogą, napewno nie zaszkodzą.

Erast. Czyń co chcesz, a daj mi pokój.

Figlacki. To mi waćpan pozwalasz?

Erast. Jużem powiedział, rób co chcesz.

AKT DRUGI.

SCENA I.

MYŚLICKI *(sam)*.

Co to znaczą te huty i szlifierze, o których pan Handlowicz nadmienił? Może to — ale nie — zapewne on to chce manufaktury szkła założyć. Ej! gdyby to się szkło nie tłukło! — fraszki złoto. Coby to można ze szkła robić? Naprzykład pałac. Ale cóżby to potem było, kiedyby się nie można w nim schronić? Ale pocóż się chronić? Oj, dobrzeby było w takich pałacach osadzać tych to wszystkich ichmościów, co to wysokie urzędy noszą.

SCENA II.

MYŚLICKI, CHŁOPIEC (*przynosi pęk wielki listów*).

Myślicki. A to co?

Chłopiec. Są to listy z poczty, i oto rejestr, który pan pocztmajster przysyła za przyszły miesiąc.

Myślicki *(czyta)*. Za zapłatę poczty przez jeden miesiąc złotych 212, groszy 4 i szeląg. Słuchaj-no waszeć, powiedz-no swemu panu, że ta poczta wiele kosztuje.

Chłopiec. Ale też piękne rzeczy przynosi.

Myślicki. A waszeć widzę masz rozum? Na waszeci na piwo — a to panu pocztmajstrowi. *(Chłopiec odchodzi)*.

SCENA III.

MYŚLICKI *(sam)*.

Od czego tu zacząć? Weźmy-no gazety! *(bierze okulary i czyta głośno)*. Z Wenecyi dnia 15 Grudnia; było zgromadzenie Pregadów — Pregadów! Cóż to są te Pregady? *(czyta dalej)* na którem zlecono radzie dziesięciu, ażeby mieli pilne oko... Ja nie wiem i o tych dziesięciu.

SCENA IV.

MYŚLICKI, UWAZIEWICZ.

Myślicki. Witam. Właśnieś waćpan na czas przyszedł. Jeżeli łaska, będziem czytać razem gazety.

Uwaziewicz. To pospolicie echa kłamstwa.

Myślicki. Kiedyć się za nie płaci, toć już trzeba i czytać. *(Czyta)*. Z Wenecyi: 15 Grudnia było zgromadzenie Pregadów. Cóż to te Pregady?

Uwaziewicz. Pregady, to—to—są—woźni.

Myślicki. A po cóż się tam woźni zgromadzają?

Uwaziewicz. Zwyczajnie — dla tradycyi.

Myślicki. To dobrze. Dziękuję za informacyą *(czyta:)* Na którem zlecono radzie dziesięciu... A to jaka to rada, ta rada dziesięciu?

Uwaziewicz. Jest to ta, która zaraz następuje po dziewięciu.

Myślicki *(czyta)*. Na którem zalecono radzie dziesięciu, aby mieli pilne oko nad przybywającemi do miasta cudzoziemcami.

Uwaziewicz. Proszę się zatrzymać. Patrzaj-no waćpan, jak to mądra a ostrożna rzeczpospolita patrzy na dal!

Myślicki. W czemże to?

Uwaziewicz. Z pierwszego wejrzenia zdaje się to rzecz ordynaryjna zalecić jurysdykcyi, ażeby miała pilne oko nad przejeżdżającymi. Ale kombinując teraźniejsze okoliczności... Nie wiem czy waćpan wiesz, że Bostandzi najwyższy poszedł na wygnanie; kapitana baszę uduszono.

Myślicki. Patrzajże waćpan! Żeby to generała, toby rzecz była większej konsekwencyi, ale kapitana —

Uwaziewicz. Ale bo to tak nazywają w Turczech admirała wielkiego, co zawiaduje wszystkiemi flotami.

Myślicki. A co tak — to co inszego.

Uwaziewicz. A wiesz waćpan, gdzie Bostandzi na wygnanie poszedł?

Myślicki. Nie wiem.

Uwaziewicz. Ot-że ja waćpanu powiem. Posłano go na wyspę *Rhodus*, Rodyjską. Z Rodu do Kandyi albo Krety kilka dni żeglugi; z Kandyi do Cefalonii toż samo; z Cefalonii do Korfu bardzo blizko; z Korfu do Wenecyi pięć albo sześć dni! ot-że klucz zakazu Weneckiego.

Myślicki. Jaki klucz?

Uwaziewicz. On nie poszedł na wygnanie, to frantostwo Dywanu.

Myślicki. Mój dobrodzieju!

Uwaziewicz. Tak jest, Dywanu.

Myślicki. Ale waćpan żartujesz?

Uwaziewicz. Nie żartuję.

Myślicki. Ale jak to Dywan może być frantem?

Uwaziewicz. Ale bo to nie o tym dywanie rzecz, co nim stoły pokrywają: Dywan nazywa się w Turczech Senat.

Myślicki. Niechże i tak będzie.

Uwaziewicz. Ten tedy Dywan, na tem sztuczniejsze podejście Wenecyan posłał niby na wygnanie Bostandziego. Zwąchali to Wenecyanie, i żeby zagrozić najmniejszej suspicyi podejrzenia, kazali radzie dziesięciu mieć oko na cudzoziemców. I to jest, mościwy panie, co w sobie zamyka zakaz Wenecyan.

Myślicki. To mi to ludzie!

Uwaziewicz. I jacy!

Myślicki *(czyta)*. „Z Norymbergii: dnia wczorajszego przejeżdżał tędy Kuryer z Kopenhagi do Manhejmu.“

Uwaziewicz. Proszę się zatrzymać. Jak to rzeczy umiała skombinować polityka gabinetów. Widzisz waćpan, skoro tylko Bostandzi w Rodzie, aż tu w Wenecyi przykaz — kuryer z Kopenhagi do Manhejmu! Czytaj no waćpan dalej.

Myślicki *(czyta)*. „Przez niego dowiedzieliśmy się.“

Uwaziewicz. Widzisz waćpan, jak to mimo usiłowania polityków, rzecz się odkryła?

Myślicki *(czyta)*. „Przez niego dowiedzieliśmy się, że król jegomość w dobrym zostaje zdrowiu.“

Uwaziewicz. Jacy to są franci, panowie Norymberczykowie! oni nie mówią tego co myślą.

Myślicki *(czyta)*. „Z Warszawy.“

SCENA V.

CIŻ SAMI, ROLNICKI.

Rolnicki (*z papierem w ręku*). Podobno przeszkadzam czytaniu?

Myślicki. Bynajmniej.

Rolnicki. Dzieło wielorakich w mowie ustawicznych rozmyślań moich przynoszę do sprawiedliwej cenzury waćpana dobrodzieja. Planetę uszczęśliwiającą publicum, ułatwiającą kunszt rolniczy, w tem małem piśmie zawarłem; i jeżeli łaskawa jego wola będzie, do czytania onego przystąpię.

Myślicki. Słucham z ochotą.

Rolnicki (*siada i czyta*). „Projekt ułatwiający rolnictwo prawej filozofii winni jesteśmy oświeceniu wieku naszego. Ta ciemności dawnych przeświadczeń rozpędziła, i nieuprawną dotąd umysłów rolą uczyniła sposobną ziarna, i ziarno znalazła. Berła w powszechnym swoim blasku, Tron ogromnym śklniący pozorem... (*Myślicki zasypia*).

Rolnicki. „Tron ogromnym“ (*do Myślickiego*). Ale podobno waćpan dobrodziej nie uważałeś?

Myślicki (*przebudzony*). I owszem, z Norymbergi — wszak prawda? Nieboszczyk Bostandzi — i berła.

Rolnicki. Więc już czytanie na inny czas odłożę, a teraz króciusieńko treść rzeczy opowiem. Cóż waćpan rozumiesz? czego naprzykład potrzeba do zapobieżenia wydatkom, do oszczędzenia pracy, do wydoskonalenia nakoniec i ułatwienia kunsztu rolniczego?

Myślicki. Do tego bardzo wiele rzeczy potrzeba.

Rolnicki. Bardzo mało: butów.

Myślicki. Jakto, butów?

Rolnicki. Tak jest, a nie inaczej: butów. Proszę tylko o moment łaskawej audyencyi. Żeby ziarno na zie-

mię padłszy, mogło się przyjąć, i z czasem kłos wydać, trzeba żeby ziemią okryte było. Żeby ziemią okryte było, trzeba ją wzruszyć, trzeba ją orać, skudlić, bronować, żeby ją pokładać, hakować, włóczyć, oraz trzeba do tego pługów, bron, soch; do pługów, bron, soch, trzeba wołów, żeby ciągnęły; oracza, żeby szedł za pługiem; poganiacza, żeby woły naglił; wszystko to i czasu wiele zabiera, i kosztu niemałego potrzebuje. Wszystkiemu zaś temu zabiega sposób odemnie wynaleziony — buty.

Uwaziewicz. A jak to być może?

Rolnicki. Trzeba o tem wiedzieć, Styrya, Karyntya, Tyrol, są to kraje górzyste, skaliste, lesiste.

Uwaziewicz. I cóż z tego?

Rolnicki. Mieszkańcy tameczni najbardziej zabawiają się polowaniem kóz dzikich.

Uwaziewicz. A to co do rzeczy?

Rolnicki. Proszę o cierpliwość. Kozy dzikie pną się po wierzchołkach skał.

Uwaziewicz. Niechże się pną.

Rolnicki. Proszę o moment. Kozy dzikie pną się po wierzchołkach skał. Żeby więc ich dostać, trzeba i strzelcom piąć się za niemi. Żeby się zaś mogli na skałach utrzymać....

Myślicki. Ale cóż nam waćpan o polowaniu prawisz? tu idzie o rolnictwo.

Rolnicki. Przyjdzie tu do tego, proszę posłuchać; nie zabawię.

Myślicki Słucham tedy.

Rolnicki. Żeby się więc mogli strzelcy na skałach utrzymać, zażywają do tego butów.

Myślicki. A jużci boso nie chodzą!

Rolnicki. Nie toć to jest jeszcze, do czego ja zmierzam.

*

Myślicki. Zmierzajże, mój dobrodzieju, a prędko, bo mi już cierpliwości nie staje.

Rolnicki. Kończę. Żeby się więc w tem uganianiu za kozami...

Myślicki. A pókiż to tych kóz będzie? Mości panie, proszę, bo...

Rolnicki. Kończę. Zażywają więc do ścigania tych zwierząt butów, których podeszwy ćwiekami są nabijane. Tym sposobem umacniają kroki swoje, i wolni są od niebezpieczeństwa spadku. Takież same buty chciałbym ja sporządzić oraczom naszym. Idąc przy siejbie, za każdem stąpieniem ćwiekami u podeszew, wzruszałby ziemię, a rzucając po za siebie ziarna, te ziarna padałyby na grunt już wzruszony. I tak, co teraz, osobliwie na gruntach tłustych, ledwo cztery pary wołów potrafić może, jeden człowiek, podług mego projektu, razem orząc i siejąc, dokaże. —

Myślicki. Rozumiem. Przepraszam za moją niecierpliwość. — Ah mospanie! któryż marmur godzien pójść na statuę dobrodzieja rodzaju ludzkiego? — Zaraz, zaraz, posyłam po ćwieki. Jest tam kto? —

Rolnicki. Mości dobrodzieju! suplikuję jeszcze się nie śpieszyć, mam w tem moje racye.

Uwaziewicz. Wchodzę ja w ich gruntowność. Naprzód to trzeba porozumieć aliansy, wszak prawda?

Rolnicki. Bodajto z ludźmi przenikającymi! To mi, to tylko bruździ.

Uwaziewicz. Ale słuchaj-no waćpan, wybawię ja waćpana z tych ambarasów, — ale nam jeszcze trzeba się będzie rozmówić. *(Do Myślickiego).* Za pozwoleniem waćpana, pójdziemy te rzeczy ułożyć, a rezultat konferencyi naszej będziemy mieli honor komunikować. *(Odchodzą).*

SCENA VI.

MYŚLICKI (*sam*).

To mi to ludzie! — Pełni dobrej ochoty, zabawieni jedynie uszczęśliwieniem rodzaju ludzkiego, — głębocy, subtelni. — Ale widzę, Erast — pewnie i on też projekt jaki przynosi....

SCENA VII.

MYŚLICKI, ERAST.

Erast. Dawnom pragnął przełożyć waćpanu dobrodziejowi żądania moje, ściągające się —

Myślicki. Rozumiem, ściągające się —

Erast. Tak jest, mości dobrodzieju, ściągające się do uszczęśliwienia —

Myślicki. Bardzo mi są miłe takowe waćpana żądania; i zapewne uszczęśliwienie powinno być celem...

Erast. Celem zapewne, póki życia mojego, wszystkich moich kroków, wszystkich moich myśli.

Myślicki. Chwalebne są takowe kroki, takowe myśli; — aprobuję, będę ile możności popierał, dopomagał.

Erast. W ręku to waćpana dobrodzieja!

Myślicki. Czynisz mi waćpan honor. Chciałbym, pragnąłbym; ale siły moje — albo możność...

Erast. Jedno słowo waćpana dobrodzieja.

Myślicki. Nie żałowałbym i tysiąca, żeby, jak waćpan nadmieniłeś, dogodzić uszczęśliwieniu.

Erast. Od skinienia waćpana dobrodzieja zawisło wszystko.

Myślicki. Ah! cobym ja za to dał, żeby to tak było, jak waćpan mówisz! Pięknaż-to rzecz być przyczyną uszczęśliwienia!

Erast. Mnie jedynie pożądana.

Myślicki. I mnie także.

Erast. Niewysłowiona to dobroć waćpana dobrodzieja. Całe życie łożyć na to będę, abym odsługiwał.

Myślicki. Jać-to powinienem odsługiwać, że waćpan zdanie swoje z mojem łączysz, i piękne talenta swoje obracać zamyślasz na uszczęśliwienie tej, która —

Erast. Moje to uszczęśliwienie, mości dobrodzieju.

Myślicki. I moje wzajemnie.

Erast. Ja tego niegodzien, mości dobrodzieju.

Myślicki. I ja niegodzien.

Erast. Ach! mości dobrodzieju! to zbytek pokory. Teraz więc już nic mi nie zostaje, tylko jak najusilniej prosić o determinacyę czasu.

Myślicki. Tego momentu: — proszę siedzieć, — siadajże waćpan. *(Siadają).* Najprzód tedy trzeba, żebyś waszeć wiedział, mościwy panie, iż wiatry, które były od wysp Filipińskich —

Erast *(z zadziwieniem).* Od wysp Filipińskich? — Cóż tu do naszego interesu, mości dobrodzieju, te wyspy? Waćpan dobrodziej chyba żartujesz?

Myślicki. Nie żartuję, mościwy panie, i dziwno mi bardzo, iż waćpan oświadczywszy się, iż chcesz zdanie swoje z mojem łączyć i dążyć do uszczęśliwienia...

Erast. Ale ja to uszczęśliwienie zasadzam na zezwoleniu waćpana dobrodzieja, ażebym mógł —

Myślicki. Powiedziałem już waćpanu, że przyzwalam i sam chcę być uczestnikiem tego dzieła.

Erast. Sprawcą, rozrządzicielem; — i jakem mógł pomiarkować tak z jejmości dobrodziejki, jako i z godnej córki waćpana dobrodzieja...

Myślicki. Jeszcze moja żona, lubo mi się czasem

sprzeciwia, jeżeli będzie chciała, może nam być ku pomocy; ale do mojej córki to wcale nie należy.

Erast. A i owszem! wszystkoć to od jej łaski, serca, afektu.

Myślicki. Po co tu afektów? Kiedy jednak tak jest, jak waćpan mówisz, chwała Bogu, że i ona zgadza się ze zdaniem mojem. Mać ona dobre serce, ale tu, jakem już powiedział, nie afektów potrzeba, ale uwagi głębokiej, przeniknienia, konsyderacyi na czasy przeszłe, przyszłe i teraźniejsze; a dopiero kombinując, jakie być mogą z jednej strony wypadki, z drugiej jakie bezpieczeństwo...

Erast. Zupełne, — zapisuję się na wszystkich moich dobrach.

Myślicki. Chwalebna waćpana ofiarność, ale tu nam jeszcze więcej potrzeba. Trzeba, mospanie, koniecznie, albo zezwolenia rzeczypospolitej na sejmie, albo przynajmniej wsparcia potencyj, a osobliwie morskich —

Erast. Ale waćpan dobrodziej żartujesz; pocóż tu zezwolenia rzeczypospolitej, gdzie na samej łasce jego wszystko zawisło?

Myślicki. Waćpan to ze mnie żartujesz: jakbym to ja sam mógł tyle dokazać, żeby ten nasz handel mógł się rozkrzewić, pomnożyć?

Erast. Towar to prawda nieoszacowany, błogosławieństwo rodzicielskie wzmoże go i rozkrzewi.

Myślicki. Tu nie błogosławić, ale szczerze jąć się trzeba.

Erast. I owszem, mości dobrodzieju, od błogosławieństwa poczynać należy: to dom wspiera i dzieci uszczęśliwia.

Myślicki (*z zadumieniem*). Jakie dzieci?

Erast. Jakież być mogą nad te, które i przez krew i przez łaskawe przybranie *(pada do nóg Myślickiemu)* —

Myślicki *(pada do nóg Erastowi)*. Konfundujesz mnie waćpan tą swoją pokorą.

Erast. Ach, mości dobrodzieju! waćpana dobrodzieja to ekscs uniżoności, że mnie niegodnego, przy tych pierwszych krokach oświadczenia konkurencyi...

Myślicki *(wstaje z zadziwieniem)*. Jakiej konkurencyi?

Erast. Jakaż insza może być nad tę, z którą się mam honor odezwać o jejmość pannę Kunegundę?

Myślicki. Kłaniam się uniżenie.

SCENA VIII.

ERAST *(sam klęczy)*.

Czy mi się śni? — czy to na jawie? — czy on oszalał? — czym ja w głowę zaszedł?

SCENA IX.

ERAST, ROSTROPSKI.

Rostropski. Do kogoż się waćpan modlisz?

Erast *(wstaje)*. Ja sam nie wiem, co się ze mną dzieje: — czy on to żartuje, — czy on to doprawdy —

Rostropski. Ale kto?

Erast. On.

Rostropski. Ale co za on?

Erast. Pan Myślicki. Przyszedłem tu do niego, chcąc mu myśli moje otworzyć. Przyjął mnie wdzięcznie. Gdym dalej rzecz traktował, pokazał łatwości aż nadto. Zabałamuciwszy mnie potem to wiatrami, to wyspami, to handlem, kiedym nakoniec konkurencyę jawnie mu oświadczył, po-

wiedział: kłaniam uniżenie! i uciekł. Przyznam się waćpanu, że się dotąd upamiętać nie mogę.

Rostropski. To, co się waćpanu zdaje być tak trudne, a prawie niepodobne do zrozumienia, łatwe jest w istocie. Zaprzątniony dziwacznemi projektami pan Myślicki, mając świeżo nabite uszy przez Uwaziewicza i Rolnickiego, zapewne rozumiał, że i waćpan z projektem przychodzisz, i dlatego prawił o wyspach Filipińskich. Trzeba wybaczyć tę słabość człowiekowi i łatwemu i uprzedzonemu; tak zaś kierować interesa, jak czas, osoby i okoliczności zdają się wymagać. Najlepszy sposób wskórania: ku słabej stronie, jak to mówią, atak przypuszczać. Trzeba więc pobłażać nieco dziwactwu jego. Ja z mojej strony chcę go, ile możności, z tych błędów wywieść; jeśli nie wskóram... ale widzę nadchodzi, — zostaw mnie tu waćpan. (*Erast odchodzi*).

SCENA X.

ROSTROPSKI, MYŚLICKI.

Myślicki. Chciałbym był widzieć tu waćpana, kiedy tu razem był z panem Uwaziewiczem pan Rolnicki. Tak rozumiem, iżbyś waćpan porzucił niesłuszną odrazę, którą masz do projektów naszych.

Rostropski. Nie jestem ja tak uprzedzony, iżbym nie miał szacować projektów. Ale takie szacuję, które są dobre, pożyteczne, lecz w wykonaniu łatwe.

Myślicki. Toć to jest, dlaczego byłbym rad nieskończenie, żebyś był tu słyszał waćpan pana Rolnickiego. Ach, mości panie! orać bez pługa, bronować bez brony —

Rostropski. Ale, dla Boga mospanie! jakto takie bajki mogą znajdować wiarę u waćpana?

Myślicki. I ja takem myślał, tak mówił, jak waćpan, pókim nie usłyszał; — ale kiedy to mospanie tak jaśnie rzecz wypróbowana, jak tu rzeczy oczywistej nie wierzyć?

Rostropski. Oczywistości prawda sprzeciwiać się nie może. Ale rzecz to powszechna u projekcistów, iż czcze płody imaginacyi swojej podają za rzeczy łatwe, jawne, oczywiste, widoczne. Niechże przyjdzie do skutku, jawność ta niknie, a mniemana oczywistość, jak się w ich głowach urodziła, tak tamże i zostaje.

Myślicki. To szarlatanów matactwa. Ale pan Rolnicki człowiek jedynie dobrem publicznem tchnący.

Rostropski. Może to być wszystko. Nie wchodzę w wewnętrzne pobudki i działania jegomościnowego — — ale można to być i niechcący szarlatanem; i owszem, takich najwięcej. Nie zawżdy rozumna głowa towarzyszy dobremu sercu. Bywają to czasem i na jawie sny poczciwych ludzi.

Myślicki. Ja na to pozwalam. Ale kiedy to, tak pan Uwaziewicz, jako i Handlowicz i Rolnicki, łączą chęć dobrą z wiadomością rzeczy, z nauką niepospolitą; a ujęci miłością dobra publicznego —

Rostropski. Jużem powiedział, że chwalebne intencye wielbię, ale im wierzyć ślepo nie będę, i waćpanu, jako mojemu dobremu przyjacielowi radzę, żebyś tym projektom dał pokój.

Myślicki. To ja nie mam myśleć o dobru, o uszczęśliwieniu ojczyzny?

Rostropski. Myśl waćpan, ale się nadto w tych myślach nie zaciekaj. Służ waćpan krajowi swemu, ale w tem, w czem usłużyć możesz. Możesz zaś w wielu rzeczach być użytecznym.

Myślicki. Jakże to ja mogę być pożytecznym?

Rostropski. Łatwo bardzo. Ktokolwiek chce, może służyć ojczyźnie swojej użytecznie, według stanu i możności swojej. Największa i najpierwsza usługa: dobre wychowanie dziatek. To skarb najszacowniejszy, z którego dobrych obywateli kraj zyska. Masz waćpan poddanych, obchódź się z niemi łaskawie; bierz, co ci się należy, ale nie zdzieraj; w potrzebie zapomagaj. Masz rolę, gospodaruj na niej dobrze; to kraj bogaci. Masz drogi, mosty, groble, utrzymuj, naprawiaj; tem się handel ułatwia i wzmaga. Dawaj przykład posłuszeństwa prawu, nie mrucz na podatki.

Myślicki. Dobre to są rzeczy, ale pospolite, zwyczajne.

Rostropski. Tem lepiej, kiedy i dobre i łatwe: — tego się waćpan imaj; a te bałamuctwa polityczne, handlowe, ekonomiczne porzuć.

Myślicki. Ale, żebyś to waćpan wiedział, jakto już serce rośnie, kiedy się to pokazują nadal skutki stokrotne, tysiąckrotne — kiedy to —

Rostropski. Imaginacya się łudzi.

Myślicki. Ale się bawi.

Rostropski. Ale zabawa powinna mieć swoje granice. Jeżeli w liczbie zabaw mięszasz waćpan swoje górne projekta — zezwalam na nie — weź je waćpan, — przeczytaj, rozśmiej się — i spal.

Myślicki. Szkoda palić tak piękne rzeczy.

Rostropski. Nie bój się waćpan; spal ich sto dzisiaj, dwieście się jutro urodzi. Ale porzuciwszy tę materyę, pozwól waćpan, żebym tu nadmienił...

Myślicki. Pewnie o Eraście?

Rostropski. Uprzedzasz waćpan żądanie moje...

Myślicki. Mości panie, ten jegomość wcale mi się nie podoba, — a kiedy mnie, to zapewne i mojej córce.

Rostropski. Nie jest to konsekwencya.

Myślicki. Jest, i wielka: — a wreszcie, choćby się jej podobał, kiedy ja nie chcę, powinna mnie słuchać.

Rostropski. Alebym ja tu chciał waćpanu przełożyć pożytki.

Myślicki. Mości panie! projektów tych strzedz się trzeba. Chwalebne są czasem intencye, ale im ślepo wierzyć nie należy.

Rostropski. Ale bo to kiedy oczywistość.

Myślicki. Projekciści, jak waćpan wiesz, czcze płody imaginacyi swojej podają za oczywistość; niechże przyjdzie do skutku —

Rostropski. O tem ja upewniam.

Myślicki. Ale ja nie wierzę.

Rostropski. Dlaczego?

Myślicki. Dlatego, żeś waćpan nie kazał projektom wierzyć. (*Odchodzi*).

SCENA XI.

ROSTROPSKI (*sam*).

Już, jak widzę, nie masz nadziei, żeby go z tej manii politycznej wywieść; żeby się przynajmniej dała użyć w interesie Erasta.

SCENA XII.

ROSTROPSKI, ERAST.

Erast. Jakiż skutek rozmowy waćpana?

Rostropski. Niedobry. Ma jakowąś przeciw osobie

waćpana prewencyą: nie chciał mnie nawet i słuchać. A nakoniec i waćpan sam kiedy widzisz, że rzeczy zdesperowane —

Erast. Jeszcze ja nie rozpaczam: pewien jestem serca Kunegundy.

Rostropski. Ale kiedy ojciec przeciwny.

Erast. Zmiękczę go, — ułagodzę, — ubłagam; — zażywać będę wszystkich sposobów. Znasz waćpan Figlackiego.

Rostropski. Któżby tego filuta nie znał!

Erast. U mnie służy.

Rostropski. Winszuję, ale nie zazdroszczę tej akwizycyi.

Erast. Nie wiem, co on myśli uczynić, ale mi przyrzekł, iż tego dokaże, że nie tylko pan Myślicki nie będzie sprzecznym, ale nawet sam mnie będzie o to prosił, żebym wziął jego córkę.

Rostropski. Wiadoma mi roztropność i sprawność Figlackiego; ale żeby miał dotrzymać tego, co obiecuje, wątpię bardzo. Że zaś w takich rzeczach nie zawadzi różnych sposobów tentować, pozwól mu waćpan wydać nową jaką sztukę swojego rzemiosła. Ale trzeba go wprzód wyegzaminować, co on to zamyśla, żebyśmy nie uczynili jakiego kroku, któryby zamiast naprawy, jeszcze bardziej interesu nie popsuł.

AKT TRZECI.

SCENA I.

KUNEGUNDA, KOKOSZYŃSKA.

Kokoszyńska. A pfe! mościa panno; a cóż to takiego? gadać z kawalerem!

Kunegunda. Cóż to za gadanie? on mi powiedział: dobry dzień, a ja jemu: dzień dobry.

Kokoszyńska. Nie trzeba nic mówić, ani się nawet na niego patrzyć; a kiedy patrzyć, to krzywo.

Kunegunda. Albo to ja koza?

Kokoszyńska. Koza. Nic waćpanna nie robisz, tylko chodzisz, tylko biegasz, tylko skaczesz; na miejscu nie możesz posiedzieć. A kiedy do roboty, a kiedy do książki, a kiedy do nabożeństwa, — to głowa boli, to się spać chce, to to, to owo.

Kunegunda. Ale bo też i waćpani nic nie robisz, tylko łajesz.

Kokoszyńska. Nic nie robisz — tylko łajesz! Otże to piękne uszanowanie starszych! Nic nie robisz, tylko łajesz! Jakby to do waćpanny należało mnie napominać! Od tego czasu, jak tu pan Erast przyjechał, ja nie wiem, co się waćpannie stało; i słuchać waćpanna nie chcesz, i chcesz sama swoją głową wszystko robić; a kiedy ja co mówię, kiedy napominam, kiedy przestrzegam, to: waćpani nic nie robisz, tylko łajesz. Będę łajała, mościa panno, będę! Zobaczymy, kto mi tu przeszkodzi.

Kunegunda. Ja przeszkodzę.

Kokoszyńska. A to zaś co? — jakto?

Kunegunda. Oto tak: przeszkodzę moją powolnością, mojem posłuszeństwem, moją aplikacyą, tylko —

Kokoszyńska. Tylko co?

Kunegunda. Tylko waćpani —

Kokoszyńska. Pewnie znowu, żebym nie łajała.

Kunegunda. Nie o tem ja mówię.

Kokoszyńska. O czemże waćpanna mówisz?

Kunegunda. Oto o tem, — żeby to —

Kokoszyńska. Ktoś idzie, pójdź waćpanna do siebie i dokończ tych kwiatków haftować. *(Kunegunda odchodzi).*

SCENA II.

ERAST, KOKOSZYŃSKA.

Kokoszyńska. Jużem waćpanu powiedziała, że to niepięknie chodzić do panien, kiedy —

Erast. Mościa dobrodziejko! przepraszam pokornie: jakem tu przyszedł, nie miałem intencyi inkomodować jejmość pannę Kunegundę.

Kokoszyńska. Pocóżeś tu waćpan przyszedł?

Erast. Korzystać z konwersacyi waćpani dobrodziejki, nauczyć się —

Kokoszyńska. Waszeć to zawżdy umiesz komplementa prawić; one zawsze piękne, ale nieszczere; — a jak mówiła nieboszczka jejmość —

Erast. Mościa dobrodziejko! ja znam dobrze niedoskonałość moją. Wiek mój bez eksperyencyi, każe mi szukać osób takich, z których rozmowy mogę profitować; a jak mi sam mówił nieboszczyk mój ojciec —

Kokoszyńska. Panie świeć nad duszą jego! był to człowiek bardzo dobry, zacny, rzetelny; oj zapewne nie taki, jakie są teraz kawalery! Ja pamiętam, kiedy to (o!

już temu będzie lat dwadzieścia kilka) kiedy to tu przyjechał kulikiem. Prawdziwie to był człowiek bardzo grzeczny; jakto on tańcował! — a zawżdy z nieboszczką jejmością, a kiedy nie z nieboszczką jejmością, to ze mną; — to aż miło było patrzeć.

Erast. I ztądci to podobno pochodziło to przywiązanie, ten szacunek, który zawżdy konserwował ku osobie waćpani dobrodziejki, nawet w ostatniej chorobie.

Kokoszyńska. A cóżto on tam powiedział?

Erast. Oto, mościa dobrodziejko, pamiętając na owe dobre czasy i na przyjaźń i sentymenta dla siebie waćpani dobrodziejki, które —

Kokoszyńska. Mości panie! wszystko to było z przystojnością.

Erast. Tak jest, mościa dobrodziejko, z przystojnością, i dlatego już będąc blizkim śmierci —

Kokoszyńska. Nieboraczek!

Erast. Będąc już blizkim śmierci, kazał mnie zawołać i najpierwszy jego rozkaz był —

Kokoszyńska. Jakiż to rozkaz?

Erast. Najpierwszy jego rozkaz był, pod zaklęciem na błogosławieństwo swoje, ażebym waćpani dobrodziejce jego imieniem oddał —

Kokoszyńska. Ach, co to był za człowiek! — Cóż to on kazał oddać?

Erast *(oddaje worek z pieniędzmi).* Ten mały upominek.

Kokoszyńska. Jakto, mości panie, żebym ja brała prezenta?

Erast. Mościa dobrodziejko! to nie prezent, to należy —

Kokoszyńska. Jakto? — ja mam brać pieniądze?

Erast. Mościa dobrodziejko! zaklął mnie pod błogosławieństwem.

Kokoszyńska. Chyba, że tak; — ja, mości panie, nie potrzebuję tego, mam dosyć z łaski Pana Boga, — ale przez skrupuł, — nie rozumiej waćpan, żebym ja to dla siebie wzięła, — ja to wszystko na jego intencyę rozdam. *(Wysypuje z worka, a widząc czerwone złote)* — Ach! co to był za człowiek!

Erast. Mościa dobrodziejko! łaska, którą się mój ojciec zaszczycał, nie mogłaby mi też zjednać względu —

Kokoszyńska. W czemże to, moje dziecię?

Erast. Wiadome waćpani dobrodziejce moje przywiązanie ku osobie jejmość panny Kunegundy. Matka, ile mi się zdaje, niesprzeczna, — sam tylko jegomość —

Kokoszyńska. Nie bój się waszeć, — potrafimy my w to, — będzie wszystko dobrze. Ale widzę, nadchodzi jegomość, — pójdź waszeć ztąd.

SCENA III.

KOKOSZYŃSKA, MYŚLICKI.

Myślicki. Gdzież to moja córka?

Kokoszyńska. Każesz ją waćpan zawołać?

Myślicki. Nim przyjdzie, chciałbym z waćpani wyrozumieć —

Kokoszyńska. Co takiego?

Myślicki. Powiedz-no mi waćpani, czy moja córka pójdzie za moją wolą?

Kokoszyńska. To dzieci powinność.

Myślicki. Ale bo to i te dzieci, teraz nie takie, jak przedtem były.

Kokoszyńska. Oj prawda! teraz za panie bracie z ro-

dzicami, — słuchać ich nie chcą, — swoją wolę pełnią, — nie masz też z nich pociechy.

Myślicki. Prawdę waćpani mówisz: — ale ja rozumiem, że Kunegunda —

Kokoszyńska. Co takiego?

Myślicki. Że Kunegunda nie będzie sprzeczna pójść za tego, któregom jej wybrał: — jest to człowiek młody —

Kokoszyńska. Tem lepiej.

Myślicki. Przystojny —

Kokoszyńska. Dobrze.

Myślicki. Zacny.

Kokoszyńska. Nie ma co mówić.

Myślicki. Poczciwy.

Kokoszyńska. Chwała Panu Bogu!

Myślicki. I który w interesach całej Europy —

Kokoszyńska. A nam co do Europy?

Myślicki. To waćpani nie aprobujesz tego, że pan Uwaziewicz —

Kokoszyńska. Słuchaj-no, waćpan! — Ten pan Uwaziewicz, co to chce całą Europą i całym światem rządzić, jabym się założyła, że on samym sobą i swojemi interesami dysponować nie umie. Nie godzi się o ludziach sądzić, ale mi się wszystko zdaje, że i on, i ten pan Rolnicki, i ten pan Handlowicz są to — Nie wyciągaj mnie waćpan za słowo, bo powiem —

Myślicki. Cóż waćpani mówisz?

Kokoszyńska. Oto, że są oszuści, franci, filuci i szalbierze, uczciwszy uszy —

Myślicki. Żeby to nie białogłowa mówiła, tobym —

Kokoszyńska. Mości panie! nie rozumiej waćpan, że białogłowy rozumu nie mają: mają go czasem więcej, niż mężczyźni, rozumiesz waćpan?

Myślicki. Kto się sam chwali, wiary niegodzien.

Kokoszyńska. Musimy się chwalić, boście nas waszeć na zęby wzięli. Żeby waszeciom wierzyć, białogłowy na to Pan Bóg stworzył, żeby wam służyły, żeby waszeciów fantazyom dogadzały, żeby waszeciów dziwactwa znosiły. Ale to nie prawda. Znosimy waszeciów dziwactwa przez rozum, przez dobroć, ale nie przez powinność. A nie trzeba z naszej cnoty brać wstępu do niegodziwości. Bądźcie waszeć dobrzy, będziemy lepsze.

Myślicki. Mościa pani! a waszeć kazanie prawisz!

Kokoszyńska. Niemiło prawdy słuchać, jednakowo prawda prawdą: a kiedy, jak to mówią, i biedna mucha się broni, czemuż nam nie bronić, przynajmniej uskarżać się, kiedy nam dolega?

Myślicki. Ale bo to waćpani zaraz wpadasz w passyą.

Kokoszyńska. Nie chrzcij waćpan passyą, co jest prawdą. Już też byłoby to nadto i krzywdzić raz wraz i jeszcze chcieć mieć racyę. Ale już tego dosyć, — teraz na waćpana zagadnienie o panu Uwaziewiczu, odpowiadam, że on nie będzie waćpana zięciem.

Myślicki. Jakto nie będzie moim zięciem? będzie!

Kokoszyńska. A jejmość?

Myślicki. Jejmość? Kiedy ja tak chcę, to i ona zapewne.

Kokoszyńska. Zkąd to waćpan wiesz?

Myślicki. Oto ztąd, że co mąż chce, żona chcieć musi.

Kokoszyńska. Piękny sentyment! Co mąż chce, żona musi; wstydź się waćpan tak gadać. Oj żeby to była słyszała nieboszczka jejmość, nie wyszłoby to było waćpanu na sucho! Oj nie! pamiętasz waćpan? — kiedy to —

Myślicki. Ej co mi tam waćpani wszystko o nieboszczkach prawisz! Ja mówię, że żona moja, choćby nie

sprzyjała Uwaziewiczowi, nie będzie jednak śmiała być mi przeciwną.

Kokoszyńska. W tę nadzieję waćpan grzeszysz. Znam ja jej powolność, jej dobroć; to moja wychowanica. Ale ja nie pozwolę, żeby ona grzeszyła zbytkiem dobroci, która waćpana popsuła.

Myślicki. To waćpani chcesz mi żonę zbuntować?

Kokoszyńska. Mospanie! to nie bunt, gdzie idzie o szczęśliwość własnego dziecięcia.

Myślicki. Żona moja powinna słuchać.

Kokoszyńska. Ale mąż to powinien rozkazywać, czego słuchać się godzi.

Myślicki. Mościa pani! ja wybaczam starości waćpani, ale —

Kokoszyńska. Co to znaczy, starości? Jaki mi to waćpan młodysz! a pamiętasz waćpan, co mówiła nieboszczka jejmość, żeśmy się jednego roku urodzili, waćpan na św. Mateusz, a ja w... Niedzielę — starości!

Myślicki. Pójdź-no waćpani do mojej córki, ja się tymczasem namyślę.

Kokoszyńska. Oj myśl waćpan, a bałamutom nie wierz. (*Odchodzi*).

SCENA IV.

MYŚLICKI *(sam)*.

Myślicki. Co to za język! — ma ona w niektórych rzeczach i racyę: — ale gadać z taką żwawością — z taką passyą! Oj białogłowy! tem to wy sobie najwięcej szkodzicie!

SCENA V.

MYŚLICKI, ROSTROPSKI.

Myślicki. Witam waćpana, witam nieprzyjaciela głównego bałamuctw, szarlataństw.

Rostropski. Byłem i jestem. Ale tak upartym w zdaniu być nie mogę, żebym miał odrzucać to, co, lubo z pierwszego wejrzenia zdaje się odrażać, przecież za usilną uwagą, a czasem szczęśliwym wypadkiem, może odkryć rzeczy szacowne, potrzebne, pożyteczne.

Myślicki. Tak jest, szacowne, pożyteczne; nie przypadek to zdarza, mościwy panie, praca, usilność!

SCENA VI.

CIŻ SAMI, UWAZIEWICZ.

Myślicki. Mówiliśmy tu o projektach: jegomość pan Rostropski już zdaje się nakłaniać na nasze zdanie.

Uwaziewicz. Prawda przeprzeć wszystko potrafi.

Rostropski. Tak jest: i doktor Pankracyusz —

Myślicki. Cóż to za jegomość?

Rostropski. Jest to mój przyjaciel, mąż nieskończenie głęboki, osobliwie w rzeczach statystycznych.

Uwaziewicz. Statystycznych?

Rostropski. Przejeżdża tędy, — jedzie teraz do Egiptu.

Uwaziewicz. Do Egiptu? — rozumiem.

Myślicki. A czy nie możnaby mu drogę zajechać i poprosić, żeby tu u mnie kilka dni odpoczął?

Rostropski. W nadzieję łaski waćpana jużem to uczynił, i spodziewam się go tu co moment.

Uwaziewicz. I zapewne ma być biegły w rzeczach statystycznych?

Rostropski. Nie tylko statystycznych, ale co większa, przez jakoweś kombinacye, jemu tylko wiadome, do tego punktu przyszedł, iż przyszłe rzeczy zgaduje i najskrytsze tajemnice nie są mu tajne. Ostatnią razą naprzykład...

SCENA VII.

CIŻ SAMI, DOKTOR PANKRACYUSZ.

Pankracyusz *(wpada z impetem ku Myślickiemu, dalej ku Uwaziewiczowi, mówiąc):* — Krom —

Myślicki *(do Rostropskiego).* Cóż to jest?

Pankracyusz *(z powagą).* Krom tego —

Myślicki. Krom czego?

Pankracyusz. Krom tego, co oznacza *(wstaje i chodzi poważnie około Myślickiego, mówiąc):* — co oznacza, to przytacza, — co przytacza, to wykracza, — co wykracza, to przebacza. *(Siada w zamyśleniu, dalej mówi do Myślickiego):* Jak tu mierzą?

Myślicki. Jak wszędzie.

Pankracyusz. Chciałbym wiedzieć, jak tu mierzą i pytam powtóre?

Myślicki. Rozmaite są sposoby mierzenia. Inaczej się mierzą grunta, inaczej gmachy, inaczej towary.

Pankracyusz. Ja nie o tem mówię; — pytam więc po trzecie: jak tu mierzą —

Myślicki. Ale co takiego?

Pankracyusz. Jak tu mierzą myśli?

Myślicki. Jakże można myśli mierzyć?

Pankracyusz. Można je łączyć?

Uwaziewicz. Można.

Pankracyusz. Można je kombinować?

Uwaziewicz. Można.

Pankracyusz. Można je cenić?

Uwaziewicz. Można.

Pankracyusz. Czemuż nie mierzyć?

Myślicki. Prawda.

Pankracyusz. Insi po manowcach, po ścieżkach, po labiryntach, inni wprost. I tenci to jest najłatwiejszy i nieomylny sposób poznania, docieczenia, zgadnienia, udziałania, skutkowania, domieszczenia i potrafienia.

Myślicki. Jakiż to sposób?

Pankracyusz. Mierzyć. Raz, dwa, ośm, — ośm a ośm, szesnaście, — a pół — trzy części — a dwa, — tak dwa, — wszak dziś ostatnia kwadra?

Rostropski. Tak jest.

Pankracyusz. Bierzmy tedy po pół łokcia i calów naprzykład dwa, — dwa a dwa — cztery, cztery a cztery — ośm, — daleko ztąd do Łomży?

Myślicki. Będzie mil dwanaście.

Pankracyusz. Dobrze. Dwanaście a dwanaście — dwadzieścia i cztery, — co do miary piętnaście, toż samo co łokci cztery, — a ośmnaście calów i pół — masz waćpan córkę?

Myślicki. Mam.

Pankracyusz. Trzy a dwa — pięć, — a dwa — siedem. Z owemi tedy łokciami, calami, — komput ogólny ośmnaście i trzy ćwierci. Z tych więc poprzedzających kalkulacyj, ewaluacyj, kombinacyj, elewacyj, kooperacyj, Krytion, — Korofanes, — Sangradyon, — Kataratos. Córka waćpana ma lat piętnaście, miesięcy siedm, dni cztery. To jest urodziła się w roku 1753, dnia 18 Września, o trzeciej z południa, minutach dwóch i jednej sekundzie. (*Odchodzi z impetem jak przyszedł*).

Myślicki (*bieży za Pankracyuszem*). Mości dobrodzieju! suplikuję....

SCENA VIII.

MYŚLICKI, ROSTROPSKI, UWAZIEWICZ.

Myślicki. To straszna rzecz! Jak on mógł te rzeczy zgadnąć, a jeszcze jak zgadnąć! Prawda, urodziła się 18 Września, o trzeciej po południu; o minutach nie pamiętam, ale to tak być musi.

Uwaziewicz. Pomału, mościwy panie, — a uważałeś waćpan, — ośm a ośm — szesnaście?

Myślicki. Rzecz ta nie bez tajemnicy. Mierzyć, — daleko ztąd do Łomży, — ośm a ośm —

Rostropski. Cóż waćpan z tego wnosisz?

Uwaziewicz. Co wnoszę, czas pokaże; teraz, czyby to nie można jednej rzeczy z tego wyczerpnąć?

Myślicki. Czego?

Uwaziewicz. Oto ze strony tych oryentalnych negocyacyj. Mości panowie, rzeczy idą łańcuchem: — jeszcze koło Bdzinaku zawierucha — M... się rozpościera, zrzednieje, a dopiero się rzeczy pokażą. *(Odchodzi).*

SCENA IX.

MYŚLICKI, ROSTROPSKI, MYŚLICKA.

Myślicki. A uczyniłaś waćpani, o com obligował?

Myślicka. Uczyniłam. Będziem mieli imbiru na lat dziesięć.

Myślicki. Choćby dwadzieścia, nie zawadzi. Teraz tedy w przytomności naszego dobrego przyjaciela postanowiłem się z waćpanią rozmówić względem postanowienia naszej córki. Trzeba tedy, żebyś waćpani wiedziała —

SCENA X.

CIŻ SAMI, ROLNICKI.

Rolnicki. Co się tyczy ćwieków, te, jakem teraz dobrze a gruntownie uważył, lepiej będzie kłaść w poprzek niż w podłuż.

Myślicki. Jak wola waćpana.

Rolnicki. Nie jak wola, broń Boże! alboż to nasza wola, nasze chcenie ma tem rozrządzać, co się tyczy dobra publicznego? — (*Odchodzi*).

SCENA XI.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI.

Myślicki (*do żony*). Wracam się tedy do zaczętego dyskursu. Trzeba tedy, żebyś waćpani wiedziała, iż po długich refleksyach, mając za najpierwszy cel dobro publiczne, uszczęśliwienie powszechne, potem też i naszą własną konsolacyę, determinowałem córkę naszą wydać za mąż. Ten, który będzie naszym zięciem, jest to człowiek doskonałością, wiadomością rzeczy, dobremi obyczajami, a co większa —

SCENA XII.

CIŻ SAMI, HANDLOWICZ.

Handlowicz. Mospanie! cieśnina Gibraltaru już bezpieczna i na Sundzis lody zeszły.

Myślicki. Bo też i czas.

Handlowicz. Przepraszam. Przeszłego roku jeszcze o tym czasie lody nie były zeszły, — ha, mospanie, mnie ten Grenland już dwie nocy spać nie daje.

Rostropski. Bo się też waćpan nadto troszczysz.

Handlowicz. Jak się znowu nie troskać? — a broń Boże kataru!

Rostropski. Zkądże znowu ten katar?

Handlowicz. A brał waćpan kiedy na poty?

Rostropski. Brałem.

Handlowicz. I katar przestał?

Rostropski. Przestał.

Handlowicz. Nie byłby przestał, gdyby się nie nadała łowka w Grenlandzie. Ztamtąd to wielorybia tłustość, olbrot, co to na poty dają.

Myślicki. Prawda.

Handlowicz. A świece?

Myślicki. Prawda.

Handlowicz. A rogi?

Myślicki. I to prawda.

Handlowicz. A skóra?

Myślicki. Nie ma co mówić. Rozmówimy się o tem, skoro tylko ten dyskurs, któryśmy zaczęli, skończymy; proszę mieć cierpliwość.

Handiowicz. Nie przeszkadzam.

SCENA XIII.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI.

Myślicki. Wracając się tedy do zaczętego dyskursu, chciałem waćpani intencye moje względem przyszłego zięcia opowiedzieć, który to —

SCENA XIV.

CIŻ SAMI, DOKTOR PANKRACYUSZ.

Pankracyusz (*do Myślickiej*). Dawno jak było zaćmienie?

Myślicka. Nie wiem.

Pankracyusz. Nie wiem, to właśnie zastępuje liczbę siedm — siedem a siedem — czternaście, — a dwa — szesnaście. — Waćpani mówiłaś z małżonkiem o przyszłem postanowieniu córki swojej Kunegundy, która chorowała na głowę onegdaj.

Myślicka (*do męża cicho*). Ach, mości panie! to czarownik! — Niech on sobie pójdzie ztąd z Panem Bogiem!

Pankracyusz. Waćpani urodziłaś się w Czerwcu, poszłaś zamąż w Listopadzie, — a poszedłszy za mąż, częstokroć —

Myślicka. Mospanie! to się nie godzi takiemi czarami —

Pankracyusz. Godzi. Niemasz tu czarów. Trzeba tedy, żebyś waćpani wiedziała —

Myślicka. Ja nie chcę wiedzieć.

Pankracyusz (*mruga na nią*). Trzeba, żebyś waćpani wiedziała —

Myślicka. Pocóż waćpan na mnie mrugasz?

Pankracyusz. Trzeba tedy, żebyś waćpani wiedziała, (*przybliża się do niej i mówi cicho*) że ja Figlacki, chłopiec pana Erasta, *(podnosi głos)* trzeba tedy, żebyś waćpani wiedziała, jakto cały świat w czterech częściach swoich — *(cicho)* ja tu z jego rozkazu — (*głośno*) w czterech częściach swoich ma rozmierzenie swoje, które-to rozmierzenie *(cicho)* i pan Rostropski wie o tem — (*głośno*) które-to rozmierzenie — jedną rzecz z drugą mierzy, a mierząc przez kombinacye i ewaluacye, retrogradacyi i spekulacyi — charakterów *(do Myślickiego)* — Proszę waćpana, stój w mierze — nie ruszaj się — zaklinam Trzy a dwa — pięć, — a dwa siedem — a dwa — dziewięć, — strzeż się waćpan litery U.

Myślicki. A mnie co do liter?

Pankracyusz (*z powagą*). Strzeż się waćpan litery U.

Myślicki. Po co?

Pankracyusz. Strzeż się waćpan litery U.

Myślicki. Ale proszę mnie objaśnić.

Pankracyusz. Strzeż się waćpan litery U — U — U. (*Ucieka*).

SCENA XV.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI.

Myślicki. To człowiek ekstraordynaryjny.

Myślicka. Ja go się boję; on wszystko wskróś przenika.

Myślicki. Wie on na pamięć rzeczy przeszłe, przyszłe, — ale co się to znaczy ta litera U?

Rostropski. Mnie, ostatnią razą jakem się z nim widział, kazał się strzedz litery M; wiesz waćpan, co się stało?

Myślicki. Co takiego?

Rostropski. We dwie godziny most się podemną załamał i ledwom nie zginął.

Myślicki. To rzecz straszna! — ale cóż ja poczne nieszczęśliwy w ustawicznej bojaźni? Każdą rzecz będę musiał pierwej syllabizować, czy się od U nie zaczyna.

Rostropski. Można będzie folgę sobie uczynić i prosić, żeby się jaśniej wytłómaczył, czy to znaczy osobę, albo jakową rzecz.

SCENA XVI.

CIŻ SAMI, HANDLOWICZ, ROLNICKI.

Myślicki (*do Handlowicza i Rolnickiego*). Właśnieście się waćpanowie zdarzyli mi w przygodzie. Idzie tu o rzecz

wielką, proszę o radę, o wsparcie i o oświecenie. Doktor Pankracyusz powiedział i powtórzył, iż potrzeba, abym się strzegł litery U. Ja z siebie nie wiem, co począć, ale się spuszczam zupełnie na głębokie waćpanów zdania, i od nich w tej okoliczności szukam pomocy.

Rolnicki. A to rzecz jasna, — i nam to mówił.

Myślicki. Nie pamiętam, — proszę mnie informować.

Rolnicki. Strzeż się waćpan litery U, mówi Pankracyusz, ja toż powtarzam i powtarzam po raz, po drugi i po trzeci, — nietylko waćpanu, ale i całemu rodzajowi ludzkiemu.

Myślicki. A co to znaczy?

Rolnicki. Oto, znaczy, że trzeba się wystrzegać zbytecznej uprawy roli, gruntu, ziemi. Ziemia a ciało ludzkie w podobnejże zostają analogii, alias sympatyi, alias pobratymstwie, alias konneksyi. Jako ciało ludzkie nieumiarkowanem tuczeniem, lub powtórzonemi lekarstwy, albo zbytnich humorów nabiera, albo też wysilonem czyszczeniem słabieje i wątli się, tak i ziemia zbytecznem zatłuszczeniem, lub nader powtórzoną preparacyą traci dzielność w zbytku lub niedostatku. Dość na ziemię trochę saletry, potażu, manny, soli z niejaką ale przecedzoną tłuściejszych substancyj massą. Resztę ćwieczki dokażą.

Handlowicz. Nic nie masz szkodliwszego w spekulacyi, jak duch systematyczny. Ten wszystko na swoją stronę nakręca, częstokroć z nienagrodzoną rodzaju ludzkiego szkodą. Przezacny mąż Pankracyusz, gdy wyrzekł, iż się waćpan masz strzedz litery U, rzecz powiedział oczywistą. Ukraina najżyźniejsza i najobfitsza, kraj ten miodem i mlekiem płynący, najpożądańszą handlom prezentuje perspektywę. Ale ta perspektywa w pochlebnych reprezentacyach swoich, że może ułudzić zbyt rozżarzoną powabem zysków

swoich imaginacyą, trzeba się strzedz podejścia i prewencyi. Tem tchnie według zdania mojego złączenie Dniepru z Bohem, Prypeci z Teterewią. Insze są sposoby uszczęśliwienia tego kraju, — mam je na pogotowiu, — objawię, — ale śpieszyć się nie radzę, — i tem kończę, co i Pankracyusz: strzeż się waćpan litery U.

Rolnicki. Są tacy, którzy ułudzeni blaskiem zbyt żywej imaginacyi swojej, jej przywidzenia mniemają być nieomylne. Ci to najbardziej łudzą i zamiast pomocy — szkodzą.

Handlowicz. Są tacy, którzy nie mogąc podnieść myśli swojej, po ubitych już drogach chodzą; a kontenci z tego, że się najeżą wyrazami, których mocy sami może nie rozumieją, zamiast oświecenia — bałamucą.

Rolnicki. Znajdują się i tacy częstokroć, którzy, przejąwszy na się postać wspaniałą, czcze płody myśli swoich płochych udają za prawidła rzetelne, a nie mogąc oświeceńszych nad siebie przeprzeć racyami, czernią obmową i definicyami wcale nieprzyzwoitemi.

Handlowicz. Co innego to ziemię gnoić, a co innego świat bogacić.

Rolnicki. Lepiej korzystać z tego co mamy, niż latać za morze.

Handlowicz. Handel jest duszą towarzystwa ludzkiego.

Rolnicki. Rola jest duszą handlu.

Handlowicz. Podłe dusze, podłe mają zabawy.

Rolnicki. Podlejszy, kto rezonuje, a nie zna się na rzeczach.

Handlowicz. Słuchaj-no waść! —

Rostropski. Mości panowie! czynicie waćpanowie krzywdę górnym myślom, scyencyom i wynalazkom. Dysputy między mądrymi —

Rolnicki. To nie z nim.

Handlowicz. A ty, żeś sobie jakiemiś dziwackiemi terminkami głowę pomazał, rozumiesz, że —

Rolnicki (*rzuca się na niego*). A ty, co to —

Rostropski (*wypycha obudwóch*). Pójdźcież waść za drzwi skończyć resztę dysputy.

SCENA XVII.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI.

Rostropski. Patrzaj-że waćpan, jaka to zajadłość w tych mędrcach! od racyj przyszło do przymówek, i byłoby się gorzej skończyło, gdybym ich nie wypchnął. Teraz tedy, kiedy jesteśmy sami.

SCENA XVIII.

CIŻ SAMI, CHŁOPIEC.

Chłopiec. Pan Uwaziewicz —

Myślicki. Mospanie Rostropski — U —

Rostropski (*do chłopca*). Czegóż-to chce pan Uwaziewicz?

Chłopiec. Przysłał mnie tu, że chciałby z jegomością mówić sam na sam.

Myślicki. Mospanie Rostropski, a uważasz waćpan, litera U — —

Rostropski. Trzeba jednak dać rezolucyę.

Myślicki. Powiedz mu, że nie mam czasu. (*Chłopiec odchodzi*).

SCENA XIX.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI, PANKRACYUSZ.

Pankracyusz. Nie chce, a chciał, — opiera się, a prosił, — gardzi, a szanował, — uporny, a słuchał.

Myślicki. Któż-to?

Pankracyusz. Nieszczęście, nieszczęście, nieszczęście.

Myślicki. A cóż to takiego?

Pankracyusz. Nieubłagany —

Myślicki. Kto?

Pankracyusz. Nieuproszony —

Myślicki. Kto taki?

Pankracyusz. Nieprzeparty —

Myślicki. Ale dla Boga?

Pankracyusz. Darmo — wyrok zginienia — ratunek.

Myślicki. Jakiż ratunek?

Pankracyusz. Widziałeś waćpan tej nocy gwiazdy ku zachodowi?

Myślicki. Widziałem.

Pankracyusz. Widziałeś waćpan po wschodzie słońca obłoki na północ?

Myślicki. Było ich dosyć.

Pankracyusz. Siedemnaście a dwadzieścia dwa. — Ćwierć mili, — pół mili, — dwie mile. (*Z powagą*). Chromacyom, Rontoporyon, Kelbos, Peltos, Potalamos. — Jeżeli waćpan nie wydasz córki za Erasta, — zginąłeś, i waćpan i żona i córka, — dom — aż do siedemnastego pokolenia —

Myślicki. Za Erasta? —

Pankracyusz. Tak jest, za Erasta. Gwiazdy, słońce, planety, — interes Europy, — Azyi, — Afryki, — Ameryki, — ekwilibryum, — potencye, — negocyacye, — wojna, — pokój, — przymierze.

Myślicki. Jakto?

Pankracyusz. Wszystko to od tego zawisło. Imbir, cynamon, handle, rolnictwa, manufaktury.

Myślicki. Ale jakimże-to sposobem?

Pankracyusz. Za Erasta. — Trzeba go prosić, — błagać, żeby chciał, żeby raczył —

Myślicki. Wszakci się on sam o to stara.

Pankracyusz. Starał, — ale się rzeczy odmieniły, — mówiłem, prosiłem; jak się zaciął, jak się uparł —

Myślicki. Ale to być nie może.

Pankracyusz. Od tego szczęście, — fawor, — handel, — rola, — dom, — fortuna, — życie, — wszystko — (*Odchodzi*).

SCENA XX.

MYŚLICKI, MYŚLICKA, ROSTROPSKI.

Myślicki. Mości panie Rostropski! co tu czynić? zkąd jemu ten Erast?

Rostropski. Doktor Pankracyusz to człowiek głęboki; zna rzeczy teraźniejsze, wie o przeszłych, zgaduje przyszłe.

Myślicki. Ja się go boję, — ale widzę, że mu się żadnym sposobem oprzeć nie można.

Myślicki. Ale jakto wydać córkę za Erasta, kiedym ja ją komu innemu destynował? —

Rostropski. Ale tu idzie o wszystko, — a w końcu i pan Erast, to partya dla waćpana córki wcale przyzwoita, — ale to gorzej, że on waćpana córki nie zechce.

Myślicki. Uznaję ja jego przymioty, jego talenta. Zapewne złem się mojem obejściem zraził, — a tu tymczasem, jak mówi Pankracyusz, — ja, — dom, — żona, — fortuna —

Rostropski. Złość amantów niedługowieczna, niech-no tylko córka waćpana, — ale widzę, nadchodzi. —

SCENA XXI.

CIŻ SAMI, KOKOSZYŃSKA, KUNEGUNDA.

Kokoszyńska. Już też tego, mości panie, znieść nie mogę: jejmość panna, którą przyprowadziłam, boi się mówić, a waćpan tymczasem —

Myślicki. Odmieniły się już rzeczy; wzgardziłem Erastem, teraz on mną gardzi.

Kokoszyńska. A to co? dopieroć mi co innego prawił.

Myślicki. Odmienił zdanie.

Kokoszyńska. Mościa panno! a te oświadczenia, te przysięgi? —

Kunegunda. Mnie o tem mówić nie należy.

Myślicki. To mu nie sprzyjasz?

Kunegunda. Ja nie mówię tego, — ale —

Myślicki. Cóż-to za ale?

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, ERAST, DOKTOR PANKRACYUSZ.

Pankracyusz *(przywodząc Erasta)*. Wesołość, — zaszczyt, — pożądanie, — sukcessa, — fawory, — pomyślności —

Myślicki. Mości panie! żałuję tego, iżem nie dość szacował znamienite talenta waćpana, — jego przymioty, — przybierać takiego zięcia.

Erast. Ach, mości dobrodzieju!

Pankracyusz *(przerywa, daje intercyzę do podpisu*

i mówi do Myślickiego:) Oto intercyza ślubna; podpisz się waćpan i waćpana małżonka. *(Podpisują).*

Pankracyusz *(do Myślickiego).* Przyznajesz waćpan, iż bierzesz za zięcia swojego, a małżonka Kunegundy, córki swojej, przytomnego tu pana Erasta?

Myślicki. Przyznaję.

Pankracyusz. Przyznajesz waćpan, iż przybierasz go zięciem, i podpisałeś niniejszą intercyzę, dobrowolnie, chętnie, łagodnie, przyzwoicie, i że pod żadnym istnym lub imaginowanym, lub kiedykolwiek wynikłym pretekstem wzruszać się, odmienić, wyłuszczać, odnawiać, przyczyniać, umniejszać nie będziesz?

Myślicki. Przyznaję.

Pankracyusz. Przyznajesz waćpan i to, iż chłopiec jego *(rzuca brodę i suknię)* więcej potrafi dokazać, niż wszyscy waćpana handlarze, rolnicy i statystowie?

Myślicki. A to podstęp, zdrada! protestuję się.

Rostropski. Protestacye są płonne, gdyż waćpan i podpisem i zeznaniem wszystko stwierdził.

Erast. Mości dobrodzieju! racz waćpan dobrodziej wybaczyć niewinnemu podejściu, — miłość go udziałała, — moja usilność, moje usługi usprawiedliwią.

Myślicka. Intencye były dobre, — córka nasza mu sprzyja, — daj się waćpan użyć.

Rostropski. Jeżeli dawnego przyjaciela zdanie może tu mieć miejsce, partya ta dla córki waćpana ze wszech miar przyzwoita, i skutek zapewne —

Myślicki. Niechże i tak będzie; — ale pamiętajcie, żeby to wyszło na zaszczyt kraju, na uszczęśliwienie ojczyzny i dobro potencyj europejskich!

*

MĘDRZEC.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Domownicki, ojciec Julianny.
Domownicka, matka Julianny.
Julianna córka Domownickich.
Górnogłębski, mędrzec.
Sąsiadowski, przyjaciel Domownickiego.
Erast, synowiec Sąsiadowskiego, kawaler Julianny.
Pani *Grujska*, sąsiadka.
Jadwiga, służąca Julianny.
Biegasz służący Górnogłębskiego.

Scena w domu Domownickiego.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

BIEGASZ (*sam*).

Bodajto to służyć u człowieka mądrego; służyłem u żołnierza, codzień batogi; u pana ledwom w galonach z głodu nie umarł; u wdowy głowę mi przekrzyczała;

u młodego panicza, siedziałem w kozie i ledwo do taczek nie przyszło; u gospodarza, nie dał i spać. Jużem chciał świat porzucić, szczęściem nadarzył mi się mój nowy pan. Z początku nie mogłem się przyuczyć do tego nowego sposobu życia, terazbym go za skarb nie wymieniał. Ja nie wiem, czy on czarownik, czy to się zarazą dzieje, ale od tego czasu, jak u niego służę, zdaje mi się, że mi codzień rozumu przybywa; jeżeli to dłużej potrwa, podobno ja będę książki pisał. Ale jak to pisać książki, kiedy ja ani pisać, ani czytać nie umiem? To prawda, że to trudność nieladajaka, ale byle chciał pan, on we wszystko potrafi; albo to nie można naprzykład dyktować, a drugi żeby pisał, a ja to będę mu powiadał, iż... co ja mu będę powiadał? oto naprzykład:

SCENA II.

BIEGASZ, JADWIGA.

Jadwiga. A ty tu co robisz?

Biegasz. Książkę.

Jadwiga. Cóż to, w głowęś zaszedł?

Biegasz. Nie przeszkadzaj.

Jadwiga. Cóż to znaczy?

Biegasz. Oto to znaczy, że kiedy się nie znasz na rzeczach, to milcz, a kiedy z rozumnymi ludźmi jesteś, to słuchaj.

Jadwiga. Czy ty żartujesz?

Biegasz. Nie żartuję, wiesz ty u kogo ja służę?

Jadwiga. Jużci, jakem cię ostatnią razą widziała, służyliśmy razem u tej wdowy; jam uciekła, a tyś został.

Biegasz. I jam po tobie uciekł. Błąkałem się różnie, zwiedziłem świat, miałem wielu panów, teraz szczęściem

natrafiłem na takiego — oj! żebyś ty wiedziała co to za człowiek!

Jadwiga. Słucham.

Biegasz. On, kiedy zacznie gadać, jakże on pięknie gada! a wszystko coś, jak to oto, o gwiazdach, o słońcu, o powietrzu, jak to wszystko naprzykład co to jest morze, i znowu o gwiazdach, a potem... wiesz ty, co to jest wieloryb?

Jadwiga. A mnie tam co do tego?

Biegasz. Oj żebyś ty wiedziała, jak to w morzu wieloryby... jak to Europa, Azya...

Jadwiga. Mój kochany, mnie cię żal.

Biegasz. Mnie cię to żal, żeś prostaczka, że nie wiesz o niczem, że...

Jadwiga. Daj no pokój tym bałamuctwom, a powiedz, pocoście tu do nas przyjechali?

Biegasz. Piękne pytanie, alboż nie wiesz, że jejmość obiecała córkę swoją wydać za mojego pana?

Jadwiga. Wiem ci ja o tem, ale jegomość nie chce.

Biegasz. Tem lepiej.

Jadwiga. Jak to tem lepiej?

Biegasz. A stałoż się tu co tak, jak jegomość chciał?

Jadwiga. Nie stało, ale stanie.

Biegasz. Moja kochana, mnie ciebie żal, jak to ty nie umiesz wnosić konsekwencyi. Ale ty może nie wiesz, co to jest to słowo: konsekwencya?

Jadwiga. Ej co mnie tam z twojemi słowami! tu idzie o rzecz, nie o słowa.

Biegasz. O cóż tu idzie?

Jadwiga. O to, że twój pan ani się jegomości, ani pannie nigdy nie podoba, i tybyś sam powinien perswadować panu, żeby odstąpił pretensyi, której choćby skutek otrzymał...

Biegasz. Otrzyma zapewne.

Jadwiga. Choćby więc otrzymał, nie będzie szczęśliwym, a może panią uczyni nieszczęśliwą.

Biegasz. A to jak?

Jadwiga. Oto tak, że ona go nigdy nie będzie kochać.

Biegasz. Jak to? nie kochać człowieka mądrego?

Jadwiga. Można go szanować, jeżeli tego wart, ale kochać...

Biegasz. Nie bój się, moja panno, niech ona go tylko usłyszy, a ja będę tuż przy nim, zobaczysz jak to rzeczy pójdą. Ale nie mam czasu *(odchodzi, wraca się);* a gdybym się ja naprzykład spytał, jak jestem w łasce waćpanny dobrodziejki?

Jadwiga. Jeżeli będziesz z panem trzymał, tak będziesz u mnie, jak twój pan u mojej pani.

Biegasz. To dobrze.

Jadwiga. To źle.

Biegasz. Mylisz się waćpanna.

Jadwiga. Mylisz się waćpan.

Biegasz. Oj moja panno, zobaczysz, że się ja nie pomylę.

Jadwiga. Oj mój mości panie, zobaczysz, że się pomylisz.

Biegasz. Ale bo to ty na pamięć tylko gadasz, a gdybyś to chciała wnijść w rzecz, gdybyś to naprzykład...

Jadwiga. Ot co mi tam o przykładach bajesz, jużem powiedziała, że nie chcę, a choćbym i chciała, to moja pani jejmość...

Biegasz. Jużem ci odpowiedział na to, co mi prawisz o ojcu i pannie; bądź ty tylko z naszej strony, zobaczysz...

Jadwiga. Cóż zobaczę? pewnie twoje gwiazdy, wieloryba...

Biegasz. A waćpanna widzę żartujesz, a gdybyś wiedziała...

Jadwiga. Jużem powiedziała, że mnie temi andronami nie zbałamucisz, lepiej to po prostu...

Biegasz. A pfe po prostu, a wiesz ty z kim gadasz?

Jadwiga. Z tobą, coś przedtem tych bałamuctw nie znał, a teraz twój ci pan głowę zawrócił, i prawisz raz wraz nic do rzeczy, a jeżeli tego dłużej będzie, to cię porzucę, bo mnie już uszy bolą słuchać te bajki. Chcesz żebym z tobą mówiła, gadajże tak, jakeś pierwej gadał, inaczej...

Biegasz. Cóż inaczej?

Jadwiga. Oto ani z tobą gadać, ani na ciebie patrzeć nie będę.

Biegasz. Kiedy tak, składam na stronę mądrość; mówże teraz śmiele...

Jadwiga. Albo ty rozumiesz, że ja się ciebie boję?

Biegasz. Nie boisz, ale przyznaj się, że masz jakiś wstręt, jakowyś respekt, jakoweś poszanowanie, bo to naprzykład...

Jadwiga. Oto już ci się znowu łeb kręci! bywaj zdrów! *(Odchodzi).*

Biegasz. Stój! zaczekaj! mówmy!

Jadwiga. A nie będziesz znowu wpadał...

Biegasz. W co?

Jadwiga. A chcesz żebym powiedziała?

Biegasz. Mówmy o czem inszem, zaczynaj.

Jadwiga. Kiedyśmy razem służyli u owej wdowy, pamiętasz jakieś czynił starania, jakie przysługi dla mnie?

Biegasz. Pamiętam.

Jadwiga. Pamiętasz, ileś razy oświadczał się, iż twoja

największa chęć, największa usilność, największa szczęśliwość, żebyś mi się podobał.

Biegasz. Ja i teraz to mówię.

Jadwiga. Ale ja temu nie wierzę.

Biegasz. Dlaczego?

Jadwiga. Oto dlatego, iż gdybyś był do mnie przywiązanym, czyniłbyś to, co ja chcę.

Biegasz. Czegóż chcesz?

Jadwiga. Żebyś pana ztąd wyprowadził, żebyś, jeżeli wyprowadzić nie możesz, przynajmniej odwiódł od rezolucyi przyszłego zamężcia, żebyś... ale moja pani nadchodzi; idź ztąd!

SCENA III.

JULIANNA, JADWIGA.

Jadwiga. Czemuś to waćpanna tak smutna? To niedobrze być melancholiczną w młodym wieku.

Julianna. Zapewne, gdy nie masz racyi.

Jadwiga. Ale bo też to sami sobie czasem dawamy przyczynę.

Julianna. Dziwię się, że mi to mówisz, jakbyś nie wiedziała, co mnie dolega.

Jadwiga. Alboż to rzeczy zdesperowane?

Julianna. Przyjazd pana Górnogłębskiego zapewne fatalny będzie dla mnie; szacunek nieskończony, który ku niemu powzięła matka moja, zaszkodzi Erastowi.

Jadwiga. W czemże?

Julianna. Po cóż mnie wyciągasz na słowa? Wiesz jego do mnie przywiązanie, znasz jego serce, jego talenta, jego poczciwość...

Jadwiga. Ale bo to...

Julianna. Cóż takiego?

Jadwiga. Jak to powiadają: miłość kiedy maluje, pochlebia.

Julianna. Może to być dla innych. Mnie passya nie uwodzi. Przywiązanie nasze wzajemne, nie na ton romansów; pierwej zaczęłam go szacować, niżeli...

Jadwiga. Dokończ waćpanna.

Julianna. Niżeli... ale jejmość nadchodzi.

(*Jadwiga odchodzi*).

SCENA IV.

DOMOWNICKA, JULIANNA.

Domownicka. Jużem waści dawniej powiedziała, że to nie trzeba czasu darmo tracić. Czas, jak mówi pan Górnogłębski, jest to sprawiacz ogólny, jest to rola czynności; rozumiesz waść?

Julianna. Nie rozumiem, mościa dobrodziejko.

Domownicka. Cóż to za pojęcie twarde! Jak to zaraz znać, że się waść jego dyskursom z pilnością nie przysłuchujesz, że nie korzystasz z jego nauki.

Julianna. Ale jakże ja mam korzystać, kiedy on niezrozumiale gada?

Domownicka. Niezrozumiale dla tych, którzy to jak waść pojmować go nie chcą. Wiem ja dobrze, mościa panno, co to się święci. Pod pozorem nibyto niewiadomości, kiedy tego potrzeba, masz waść obrotów aż nadto. Znam się ja na nich; nie dokażesz waść swego, a powinnaś o tem pamiętać, że za wolą rodziców trzeba iść oślep.

Julianna. To moja powinność.

Domownicka. Jeżeli więc sama waść o tem przeświadczoną jesteś, powinnaś tak zapatrywać się na pana Górnogłębskiego, jako na tego, któregom ja waści obrała za...

Julianna *(padając matce do nóg).* Ah! nie kończ waćpani dobrodziejka!

Domownicka. Cóż to się znaczy? takaż to waścina powolność, taki respekt ku starszym, taka pamięć tego, coś waść dopiero wyrzekła? Słuchaj waść co mówię, a mówię ostatni raz: dziś jeszcze Górnogłębski będzie twoim mężem, bo ja tak chcę! *(Odchodzi).*

SCENA V.

JULIANNA (*sama*).

Tego tylko nieszczęściu memu nie dostawało, żeby jeszcze dziś skutek wzięło, Eraście! Ale rodziców słuchać trzeba; chcą ofiary, będą ją mieli; można usta przymusić do wyrzeczenia...

SCENA VI.

JULIANNA, DOMOWNICKI.

Domownicki. Nie masz tu jejmości? Ale cóż to widzę? masz oczy zapłakane...

Julianna. To nic, mości dobrodzieju, głowa mnie trochę boli.

Domownicki. Pan Sąsiadowski przyjechał tu z synowcem swoim. Pójdź-no, powiedz matce, żeby przyszła do nas. (*Julianna odchodzi*).

SCENA VII.

DOMOWNICKI (*sam*).

A czy się moja żona w tym jednym punkcie ze mną zgodzi? Synowiec Sąsiadowskiego i młody, i roztropny, i grzeczny, i bogaty; wcale dobra partya dla naszej corki.

Znają się dawno, i jak widzę, nie ma ona do niego wstrętu. Matka też ludzi rozumnych lubi, a ten młody kawaler znać, że miał dobrą edukacyę, bo pięknie o rzeczach mówi; nadzieja w Bogu, że dobrze rzeczy pójdą.

SCENA VIII.

DOMOWNICKI, DOMOWNICKA.

Domownicka. Dla Boga, mospanie, trzeba też to mieć wzgląd przecież jakiśkolwiek na mnie! Ledwom co zasiadła w gabinecie nad ułożeniem sfery, waćpan zaraz po mnie przysyłasz. Jużem była aequatora osadziła; czegóż tam waćpan chcesz? ale proszę nie bawić.

Domownicki. Ot moja panno, przyjechali do nas goście...

Domownicka. To im dać wina.

Domownicki. Ale oni nie po wino przyjechali.

Domownicka. A po cóż?

Domownicki. Po to, po co zwyczajnie przyjaciel do przyjaciela, sąsiad do sąsiada przyjeżdża, żeby się wspólnie ucieszyć, rozmówić, traktować o interesach...

Domownicka. To im waćpan poślij plenipotenta.

Domownicki. Ale moja panno, to ludzie godni, nam równi...

Domownicka. Ja im chłopstwa nie zadaję.

Domownicki. Proszę, żebyś waćpani chciała się z nimi zobaczyć, przywitać i rozmówić przynajmniej przez pół godziny.

Domownicka. O czemże ja mam z nimi mówić?

Domownicki. Zwyczajnie, o rzeczach potocznych.

Domownicka. O jarzynie, oziminie, konopiach...

Domownicki. A choćby i o tem! Alboż to gospodarstwo rzecz tak obelżywa, żeby o niem mówić nie można?

Domownicka. Dajże mi waćpan pokój z temi konopiami i tą oziminą.

Domownicki. Gdybyśmy jednak nie mieli tej oziminy, tej jarzyny, tych konopi, nie byłoby pieniędzy na książki i na sfery.

Domownicka. Schowajże waćpan tę piękną dyssertacyę dla tych ichmościów; ja nie mam czasu. (*Odchodzi*).

SCENA IX.

DOMOWNICKI (*sam*).

Piękna to rzecz ta nauka; ale jednakowo wolałbym ja mieć w domu gospodynią, niż filozofkę. Czy nieszczęście nadało mi tego Górnogłębskiego! Cóż czynić! trzeba znosić, raczej moją powolnością tknięta, mojemi perswazyami skonwinkowana, wróci się do dawnego sposobu życia.

SCENA X.

SĄSIADOWSKI, DOMOWNICKI.

Domownicki. Przepraszam, że żona moja dotąd jeszcze służyć waćpanu nie może; kazałem jej powiedzieć, żeś nas odwiedził, nadejdzie niebawem, ale trochę słaba. Pozwolisz waćpan, że jej wczasu jeszcze przerywać nie śmiem.

Sąsiadowski. Wiem ja o tem dawno, iż waćpan nie śmiesz przerywać wczasu jejmości; chwalę tę delikatność i buduję się wielce z tak wielkich attencyj.

Domownicki. Tak to mości panie, kto ma żonę, trzeba, żeby ile możności przestrzegał jej wczasu, jej zdrowia; płeć jest delikatna, lada fraszka może jej zaszkodzić...

Sąsiadowski. Dobrze waćpan mówisz, lada fraszka, tak jest lada fraszka...

Domownicki. Waćpanom kawalerom te rzeczy zdają się być obojętne, pomniejsze, bo nie wchodzicie w uwagę, okoliczności i konsekwencye, które jedna za drugą prowadzi; ma, prawda, nasz stan niekiedy przykrości swoje, a któryż się bez nich obejdzie? ale słodyczy...

Sąsiadowski. Prawda, po pieprzu cukier słodszy.

Domownicki. Nie sztuka to być szczęśliwym, a choćby tak było, trzeba umieć i cierpieć.

Sąsiadowski. Zgoda... ale porzuciwszy te moralne dyskursa, przystąpmy do interesu. Synowiec mój, a któregom tu z sobą przywiózł, miał już honor prezentować się waćpaństwu i ich córce. Choć to mój synowiec, mogę jednak o nim powiedzieć i spodziewam się, iż zdanie moje waćpan aprobować będziesz, iż jest młodzian ze wszech miar uczciwy, edukacyę miał dobrą, profitował z niej, serce ma poczciwe, a to grunt. O substancyi waćpan wiesz, a i o tem co po mnie weźmie, nie zuboży się. Jak sam powiada, ma nadzieję, że córka waćpana nie wzgardzi nim. Na cóż tu nam długich korowodów? Rozmówcie się waćpaństwo, naradźcie; jeżeli się mój synowiec podoba, powiedzcie szczerze; jeżeli nie, i tego nie tajcie; ja ani on nie będziemy mieć za złe, i owszem będzie to znak łaski waćpaństwa, kiedy w prędkiem odmówieniu oszczędzicie nam niepotrzebnych kroków.

Domownicki. Już to my nie dzisiejsi, mój dobry przyjacielu; wzrośliśmy z sobą, nie potrzeba więc między nami żadnych ceremonij. Jakeś mi więc waćpan wyjawił intencye swoje, szczerze i bez ogródki, tak i ja odpowiem. Synowiec waćpana podobał mi się i chcę go mieć moim zięciem; z żoną o tem jeszcze nie mówiłem, ale spodziewam się, że ona na mojem zdaniu przestanie.

Sąsiadowski. A ja się boję...

Domownicki. Dlaczego?

Sąsiadowski. Oto dlatego, iż dość mężowi chcieć biało, żeby żona chciała czarno.

Domownicki. Zwyczajny to zarzut starych młodzieńców; mścicie się na białogłowach, że was nie chciały.

Sąsiadowski. Jak to, nie chciały? My ich nie chcieli.

Domownicki. Niech tam sobie będzie jak chce, ja się wracam do zaczętego dyskursu. Rozmówię się z żoną, pomiarkujemy sposób myślenia córki naszej, reszta do kawalera należy.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ERAST, JADWIGA.

Erast. Czegóż się tam mam spodziewać?

Jadwiga. Żeby od nas rzecz zawisła, wszystkiego dobrego, ale to...

Erast. Co za ale? —

Jadwiga. Ale bardzo złe, bardzo trudne do przezwyciężenia. Jejmość upornie pana Górnogłębskiego trzyma, a u nas zwyczajnie jejmość co chce, dokaże.

Erast. Ależ jegomość....

Jadwiga. Jegomość — ja nie wiem, dlaczego on się tak zowie, zwyczajnie on ma racyą, a jejmość swoje robi.

Erast. Ale Julianna?

Jadwiga. Ta niebożątko płacze.

Erast. Mogęż być pewnym o jej sercu?

Jadwiga. Jużciby nie płakała.

Erast. Ale to może z inszej przyczyny —

Jadwiga. Mościpanie, kiedy się kawaler trafia, a panna płacze, zapewne drugiego kocha.

Erast. Ale ten drugi może nie ja —

Jadwiga. A jeszcześmy tu oprócz waćpana i pana Górnogłębskiego nikogo innego nie widzieli. Dobrze to mówią, że u tych amantów zawżdy się coś osobliwszego po głowie roi. Wybacz waćpan, ale mi się zdaje, że waćpan sam sobie jakieś niepotrzebne imaginacye czynisz.

Erast. To prawda, że miłość jest trwożliwa, i dlatego —

Jadwiga. I dlatego nie trzeba jej wierzyć.

Erast. Nie słyszałaś tam co o mnie?

Jadwiga. Od kogo?

Erast. Od pani swojej?

Jadwiga. Cóż miałam słyszeć? Dość to, com waćpanu powiedziała, że płacze.

Erast. Powiedz jej, że ja w równym z nią stanie; i jeżeli dłużej te przeciwności trwać będą, życie moje —

Jadwiga. Będziesz waćpan zdrów! Poco to tu desperacye? Miej waćpan cierpliwość, jesteś pewien o sercu panny, resztę czas dokaże.

Erast. Dałby to Bóg! a tymczasem, na dowód mojej wdzięczności (*daje jej pieniądze*).

Jadwiga (*bierze niby z odrazą*). Prawda, jestem uboga, ale nie wierz waćpan, żebym to co czynię, czyniła dla interesu! I owszem weź waćpan to nazad, bo może będziesz rozumiał —

Erast. Nie rozumiem ja nic złego o tobie, i owszem,

na pokazanie, jak twoją cnotę szacuję, proszę przyjm wszystko. (*Daje worek*).

Jadwiga (*bierze i chowa*). Ale waćpan nie rozumiej, żeby to dla interesu...

Erast. Bynajmniej — ale pamiętaj. (*Odchodzi*).

Jadwiga. Nie zapomnę, bądź waćpan pewien, a nie rozumiej żeby to —

SCENA II.

JADWIGA (*sama*).

Nie źle rzeczy idą. Worek, jak widzę, pełny; zda się; nie spodziewałam się, żeby to się tak dobre okazye trafić mogły. Gdyby to jeszcze Biegasz z swojej strony mógł co zyskać, zebrałby się kapitalik: dobrze to powiedziano: zła miłość o głodzie.

SCENA III.

DOMOWNICKI, JADWIGA.

Domownicki. Co robi moja córka?

Jadwiga. Jest u siebie.

Domownicki. A jejmość?

Jadwiga. I jejmość u siebie

Domownicki. Ale co robi?

Jadwiga. Albo ja wiem?

Domownicki. Ale gdzież jest?

Jadwiga. A jużem powiedziała: u siebie.

Domownicki. Ale gdzie u siebie?

Jadwiga. Zwyczajnie, w bibliotece; chodziłam tam niedawno, zastałam ją, że kręciła jakieś kółka, kazała mi

trzymać jakieś obręcze mosiężne, potem kazała sobie podać kałamarz i rachowała.

Domownicki. Co rachowała?

Jadwiga. Albo ja wiem?

Domownicki. Cóż dalej?

Jadwiga. Oto wywróciłam niechcący kałamarz i wypchnęła mnie z izby —

Domownicki. Pójdź-że, a proś, żeby tu przyszła, bo goście czekają, i powiedz, że pan Górnogłębski jedzie. (*Jadwiga odchodzi*).

SCENA IV.

DOMOWNICKI (*sam*).

Zapewne zejdzie, jak się dowie, że Górnogłębski przyjechał. Bodaj był nigdy w domu moim nie postał!

SCENA V.

DOMOWNICKI, DOMOWNICKA.

Domownicka. Gdzież jest pan Górnogłębski?

Domownicki. Zaraz przyjedzie, a tymczasem —

Domownicka. Po cóż mi było przeszkadzać, kiedy go jeszcze nie ma?... jużem waćpanu powiedziała...

SCENA VI.

DOMOWNICKI, DOMOWNICKA, SĄSIADOWSKI, ERAST.

Sąsiadowski. Cieszę się z polepszenia zdrowia waćpani dobrodziejki.

Domownicka. Obligowanam waćpanu — ale...

Domownicki. Trochę była słaba.

Domownicka. Nie pamiętam żeby —

Domownicki. Zapewne lepiej już o tem i nie wspominać.

Domownicka. I owszem, i od dawnego czasu...

Domownicki. Tak jest, od dawnego czasu żona moja —

Domownicka. Ja nie wiem, jak to można, zdrową będąc —

Domownicki. Zdrową będąc, zapewne lepiej, co było przedtem.

Domownicka (*do męża*). Ale proszę dać mi mówić.

Domownicki. Jam to był nadmienił imcipanu Sąsiadowskiemu, iż dla słabości potrzebowała waćpani czasu, i dlatego —

Domownicka. I cóż dlatego?

Sąsiadowski. Mościa dobrodziejko, tem lepiej, że w dobrem zdrowiu widzimy waćpanią dobrodziejkę. Pozwolić raczysz teraz, żebym miał honor już dawniej zaszczycającego się łaskawem przyjęciem synowca mego prezentować i —

Domownicka. Miałam honor widzieć jegomości.

Erast. Pożądana to dla mnie pora, w której mogę ponowić oświadczenia winne waćpaństwu dobrodziejstwu, a jako —

Domownicka. Mości panie, to się na nadto długi peryod zanosi; waćpan byłeś w akademii?

Erast. Młodość moją strawiłem w szkołach publicznych.

Domownicka. Tem gorzej.

Erast. Opacznie ktoś udał przed waćpanią dobrodziejką. Nauki szkolne prawda, że podległe są niektórym przywarom, ale —

*

Domownicka. Ale nic się z nich nauczyć nie można.

Sąsiadowski. Mnie się zdaje, iż jako po wszystkie czasy —

Domownicka. Mości panie, co było dawniej, było źle.

Sąsiadowski. Ale któż to te rzeczy tak ogólnie osądził?

SCENA VII.

CIŻ SAMI, GÓRNOGŁĘBSKI.

Domownicka (*pokazuje Górnogłębskiego*). Oto sędzia, sędzia prawy, nienaganny, nieuprzedzony.

Górnogłębski. Nie sędzia, pomocnik, współ-myślnik, wzajemnodzielca.

Sąsiadowski. I doskonały i pokorny, mości panie! to sprzężaj rzadka.

Domownicka. Niewidziana.

Sąsiadowski. Niesłychana.

Domownicka. Bez przykładu!

Sąsiadowski. Bez szacunku!

Górnogłębski. Rodzaj poziomy sługą jest przeświadczenia. —

Domownicka. Tak jest poziomy — przeświadczenia. —

Sąsiadowski. Mości panie Górnogłębski, masz nas waćpan zdaniom swoim powolnych. Teraz tylko należy...

Górnogłębski. Cóż takiego?

Sąsiadowski. Należy kommunikować rodzajowi ludzkiemu...

Górnogłębski. Ludzkiemu! po cóż on się tak zowie?

Sąsiadowski. Bo go inaczej zwać nie można.

Górnogłębski. Sprężyniste tworzydła.

Sąsiadowski. O czem-że to waćpan mówisz?

Górnogłębski. O czem? to rzecz jasna.

Sąsiadowski. Nie dla nas.

Górnogłębski. Dla ludzi.

Sąsiadowski. Ale i my podobno w rodzaju ludzkim.

Górnogłębski (*uśmiecha się*). Ludzkim?

Sąsiadowski. A w jakimże?

Górnogłębski. Nie wszystkim to dano.

Sąsiadowski. Co takiego?

Górnogłębski. Żeby zasłonę przedrzeć, ciemność rozrzedzić — i duchem bujać.

Sąsiadowski. Prawda, że to nie wszystkim dano zasłony psuć.

Domownicka. To, w czem sądu waćpana wzywałem, jest dysputa o szkołach.

Górnogłębski. Albo się to o tem można dysputować?

Domownicka. Jegomość utrzymuje ich dobroć, ja złość;... waćpan?

Górnogłębski. Czczość.

Sąsiadowski. Cóż waćpan przez to rozumiesz?

Górnogłębski. Rozumiem, iż to co zacieśnia imaginative, co lot umysłu tęży, co samotność czynności wewnętrznych czczo wysila, co jestestwo wzruszeń kazi, co nakoniec tkliwe prawidła wspacznie ujmuje, niewarto i dysputy.

Domownicka (*do Sąsiadowskiego*). Widzisz waćpan?

Sąsiadowski. Nic nie widzę, mościa dobrodziejko.

Górnogłębski. Więc się jaśniej tłumaczę. Tam gdzie umysłu natężenia...

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, JULIANNA.

Górnogłębski (*do Julianny*). Nie mogła być pożądańsza dysputy naszej przerwa nad przybycie...

Julianna. Jeżelim przeszkodziła, to odejdę.

Domownicka. Zostań waść.

Górnogłębski *(do Julianny).* Opuszczone cośmy mówili, nagrodziło to co widzimy, a gdyby wnijść w zamian...

Julianna. Ja się na handlu nie znam.

Górnogłębski. Kruszec jest oznaką żądliwych pragnień; tkliwość godnej siebie zdobyczy szuka.

Sąsiadowski. Brawo!

Erast. Jako widzę, jegomość pan Górnogłębski na wzór sławnych starożytności filozofów bogactwy gardzi.

Górnogłębski. Są to przypadki do jestestwa.

Sąsiadowski. Bez których się jednak obejść nie można.

Górnogłębski. Według dawnej akceptacyi.

Erast. Podobno i teraźniejsza za niemi idzie.

Górnogłębski. Zda się iść, ale ci, w których przeważa istota rzeczy, którzy pozory łuszczą, insze mają gościńce.

Sąsiadowski. Podobno nie bardzo ubite.

Górnogłębski. Tem lepiej, dalecy od tłumu.

Domownicka *(do Górnogłębskiego).* Ale, ale, muszę też waćpanu kommunikować pewien wynalazek; proszę ze mną do biblioteki — *(do Julianny)* a waść pójdź do siebie. *(Odchodzą).*

Sąsiadowski *(do Erasta).* Zostaw nas tu samych.

SCENA IX.

DOMOWNICKI, SĄSIADOWSKI.

Sąsiadowski. Szkoda mówić, że ten pan Górnogłębski bardzo coś wysoce, głęboce...

Domownicki. A nic do rzeczy.

Sąsiadowski. Miałem to i ja na języku, ale kiedyś mnie waćpan uprzedził, zgadzam się ze zdaniem waćpana.

Domownicki. Toby była fraszka, żeby on temi swojemi dziwacznemi wyrazami głupich dziwił, a mądrych śmieszył. To gorzej, że i on i jemu podobni pod pokrywką nadętych a czczych słów, ukrywają jad zaraźny, a nieostrożna młodzież, pozorem złudzona, lgnie na ten szkodliwy lep, i chwyta maxymy niegodziwe. Zdało się dotąd, iż płeć niewieścia, zatopiona w fraszkach, wolna będzie od tej zarazy. Nastąpiła moda mądrości; od blondynów skoczyły do metafizyki i przeszły mistrzów.

Sąsiadowski. W doskonałości?

Domownicki. Żebyć to tak było, nie miałbym co mówić, ale kiedy to pospolicie na takich mistrzów trafiają, którzy bez nauki, bez aplikacyi, bez rozważania, pomazawszy, jak to mówią, język niektóremi uczonemi terminami, prawią wciąż bez zająknienia, a rzeczy takie, na które zamiast odpowiedzi ramionami tylko wzruszać należy. Kiedy to cytują, czego nie czytali, obwieszczają to, czego nie masz — a wszystko tonem górnym, głębokim wyrazem, miną poważną.

Sąsiadowski. Prawdę waćpan mówisz; i mnie się nieraz trafiało słyszyć takich ichmościów, a jak na nieszczęście ten się w dom waćpana nadarzył, który —

Domownicki. Wiem ja, co waćpan przez to chcesz mówić.

Sąsiadowski. I jać się domyślał, do czego waćpana dyssertacya zmierzała. Czyżby nie było jakiego sposobu odwieść jejmość od tej zbyt dobrej o nim opinii?

Domownicki. Ciężko; używałem wiele sposobów, nie były skuteczne.

Sąsiadowski. A gdyby to naprzykład mój synowiec,

który się do nauk applikował i wiele czytał, w przytomności jej zaczął z nim dyskurs i mocnemi dowodami —

Domownicki. Nic łatwiejszego, jak racyami takich ludzi pokonać, ale ich przegadać trudno.

Sąsiadowski. Erast wymowny.

Domownicki. Kiedyż kto głupiego przeparł?

Sąsiadowski. Żeby tak było, jak waćpan mówisz, trzebaby o głupich zdesperować; przecież widzimy, iż niekiedy przestają na zdaniu rozumniejszych od siebie i dają się oświecać.

Domownicki. Inszy to rodzaj. Głupstwo takowe ze złej edukacyi towarzystwa ladajakiego pochodzi, a najbardziej ztąd, iż nie natrafili na takich, którzyby im oczy otworzyć mogli. Tacy za pierwszą okazyą radzi z błędu wychodzą, powolni są i łatwi. Ale ci, którzy łączą z niewiadomością zbyt dobrą o sobie opinię, którzy nie chcąc pracować, chcą się udać za pracowników — którzy, gdy nie mogą nauką, osobliwością przynajmniej chcą się dystyngować, taki rodzaj najgorszy, a że z pozoru w oczy uderza, znajduje wielbicielów, a co gorsza i naśladowników. Ztąd-ci to się namnożyło półmędrków, co to o każdej rzeczy decydują, niebacznych omamiają, prostych zwodzą. Niechże się prawdziwie mądry odezwie, natenczas, nie mając broni na pogotowiu, co braknie w odpowiedzi, nadstawiają żartem, i rozumieją, że ten co rozśmieszył, wygrał.

Sąsiadowski. Racz waćpan tylko wszystko to, coś mi powiedział jejmości przełożyć; racz i to zamienić, iż ten człowiek, choćby też i prawdziwie uczony, nie jest w takowym stanie, żeby mógł pretendować być jej zięciem, nie wątpię, iż swoją doskonałością, powolnością, grzecznością, przeprzesz jej upór i uszczęśliwisz mego synowca.

Domownicki. Z tego, co od waćpana słyszę, domy-

ślam się, iż kładziesz mię waćpan w liczbie tych mężów, co to tylko z tytułu są jegomościami. Powierzchowność prawda jest przeciwko mnie, ale gdybyś mój przyjacielu, raczył wejść w zgłębsz tych rzeczy, gdybyś wiedział, jak to drogo spokojność kupować trzeba....

Sąsiadowski. Natenczas umiałbym te rzeczy tak pogodzić, iż miałbym w domu pokój, a moja jejmość znałaby to, iż mężowi w domu rządzić należy.

Domownicki. Łatwo się to mówi.

Sąsiadowski. I czyni, kiedy się rzeczy dobrze zaczną.

Domownicki. Jużem ja waćpanu powiedział, że każdy stan ma swoje przykrości.

Sąsiadowski. Jużem waćpanu na to odpowiedział, a teraz dodaję, iż nie trzeba na przykrość narzekać, kiedyśmy sami temu winni. Jeżeli się źle zaczęło, trzeba błąd poprawić i dać uczuć...

Domownicki. To gwałtowne kroki.

Sąsiadowski. Kiedy łagodność nie pomoże —

Domownicki. Raczej cierpliwość, czas.

Sąsiadowski. Cierpże waćpan; ja nie przeszkadzam. *(Odchodzi).*

SCENA X.

DOMOWNICKI *(sam).*

Dobrze to rezonować, kiedy nie dolega; niechby był w moim stanie, odmieniłby ton; ale...

SCENA XI.

DOMOWNICKI, DOMOWNICKA.

Domownicka. Mości panie! kiedy idzie o rzeczy ważne, jako to naprzykład postanowienie dzieci, trzeba się wprzód nad tem zastanowić i rozmyśleć.

Domownicki. Zapewne; od tego ich dalsze uszczęśliwienie zawisło, krok ten delikatny...

Domownicka. Nie przeszkadzajże mi waćpan.

Domownicki. Słucham.

Domownicka. Myślałam ja o tem, i po głębokiej uwadze jestem determinowana, i tak rozumiem, iż waćpan sprawiedliwym moim konsyderacyom sprzeciwiać się nie będziesz.

Domownicki. Zapewne, jeżeli będą sprawiedliwe.

Domownicka. Jakto, albo waćpan powątpiewasz?

Domownicki. Nie powątpiewam, ale to czasem trafić się może.

Domownicka. Cóż to się trafić może?

Domownicki. Oto ja mówię, iż czasem trafić się może.

Domownicka. Cóż takiego?

Domownicki. Iż rzecz się nam zdaje dobra, a w rzeczy samej...

Domownicka. Pewnie zła?

Domownicki. Może taką być.

Domownicka. Dziękuję za dobrą opinię o mojem zdaniu; jeszcześ waćpan nie słyszał co mam mówić, a już tym obligującym wielce komplementem zaczynasz według chwalebnego zwyczaju swego.

Domownicki. Ale, moja panno, po cóż to się urażać? Dyskurs ten ściąga się z powszechności.

Domownicka. Wiem ja, co on w szczególności znaczy. Waćpan nie wiem dla jakiej przyczyny, zawziąłeś się na pana Górnogłębskiego.

Domownicki. Jeszczeć o nim wzmianki nie było.

Domownicka. Jakbyś to waćpan nie wiedział, do czego mój dyskurs zmierza! Nie mam czasu dłużej bawić, oznajmuję więc waćpanu w krótkości słów, iż postanowiłam wydać za pana Górnogłębskiego moją córkę.

Domownicki. Wszak jest i moją.

Domownicka. A jużci.

Domownicki. Więc i mnie o jej postanowieniu myśleć należy.

Domownicka. A kto waćpanu przeszkadza?

Domownicki. Waćpani.

Domownicka. Ja?

Domownicki. Waćpani sama.

Domownicka. W czemże to?

Domownicki. Oto w tem, że rezolucya waćpani nadto jest śpieszna, żeś nie dobrze jeszcze poznała osobę, którą wybierasz, że się lepsza partya trafić może, że się trafia, że nakoniec między małżeństwem w takowych okolicznościach nie powinna się brać z jednej strony rezolucya, póki się druga na to nie zgodzi.

Domownicka. Obeszłoby się bez odpowiedzi na takowe zarzuty, uczynię ją jednak, kiedy waćpan koniecznie tego wymagasz. Rezolucya nie jest śpieszna, kiedy po głębokiej uwadze; kto umie poznawać, nie potrzeba mu do tego długiego czasu. Nie może się lepsza partya trafić nad człowieka doskonałego, a nakoniec i między małżeństwem, kiedy żona ma racyą, nie szpeci to męża, że jej usłucha. Kłaniam. *(Odchodzi).*

SCENA XII.

DOMOWNICKI.

Piękny skutek filozofii, argumenta zwięzłe! Już mi też i cierpliwości nie stanie. Słuchać Sąsiadowskiego? gwałtownie jeszcze gorzej rzeczy popsuję, ale kiedy moja łagodność wychodzi mi na złe, cóż czynić? Jeszcze poczekam, a czy jaka szczęśliwa okoliczność rzeczy naprawi.

AKT TRZECI.

SCENA I.

GÓRNOGŁĘBSKI, BIEGASZ.

Górnogłębski. Siądź, bracie, koło mnie.

Biegasz. Ale mości dobrodzieju.

Górnogłębski. Siądź, bracie.

Biegasz. Ale ja sługa pański.

Górnogłębski. Pan, sługa, to wyrazy gminne.

Biegasz. Ale mi waćpan płacisz.

Górnogłębski. Ja się z tobą dzielę; ale siądź, bracie.

Biegasz (*siada*). Jeżeli tak, to zły podział; dajesz mi waćpan na miesiąc dwanaście złotych, a sam masz może więcej nad dwieście; waćpan w karmazynie, a ja w falendyszu; waćpan jesz kuropatwy, a ja rzepę.

Górnogłębski. Tak falendysz, jako i karmazyn, zarówno okrywają; pieniądze czczość, a zdrowsza rzepa nad kuropatwy.

Biegasz. Wolałbym jednak kuropatwy nad rzepę, a mów waćpan co chcesz, dobra to rzecz jednak na tym świecie pieniądze.

Górnogłębski. Nie dziwuję się, że gadasz gminno; jeszcze twoje oczy w bielmie.

Biegasz. O mospanie, co nie w bielmie to nie w bielmie! Za pieniądze wszystkiego dostanie, a że waćpan masz karmazyn, waćpan siedzisz sobie z panami w ciepłej wygodnie izbie, a my nieboraki w falendyszach musimy marznąć za drzwiami.

Górnogłębski. Nie odzież, ale co wewnątrz jest, człowieka czyni, a pieniądze to fraszka.

Biegasz. A jednakowo starasz się waćpan o córkę pani Domownickiej dlatego, że ma posag dobry.

Górnogłębski. To przydatek; rozum grunt. Dlatego dałem się nakłonić do tej konkurencyi, iż się spodziewam, że córka wda się w matkę.

Biegasz. Ot-że się waćpan mylisz.

Górnogłębski. Jak to ty wiesz?

Biegasz. Wiem i zapewne.

Górnogłębski. Od kogo?

Biegasz. A na co waćpanu ta ciekawość?

Górnogłębski. Trzeba, żebym o tem wiedział; idzie tu albowiem o rzecz wielkiej wagi — o moje uszczęśliwienie.

Biegasz. Ale mnie waćpan nie wydasz?

Górnogłębski. Przyrzekam, na moje słowo.

Biegasz. Kiedy tak to waćpanu powiem: Oto Jadwiga, służąca Julianny, z którą ja, od dawnego czasu mam znajomość i zachowanie dobre...

Górnogłębski. Cóż tedy ta Jadwiga?

Biegasz. O! jaki to waćpan niecierpliwy!

Górnogłębski. Dokończ że...

Biegasz. Ta tedy Jadwiga... ale mnie waćpan nie wydasz?

Górnogłębski. Mów-że dalej, bo...

Biegasz. Bo co?

Górnogłębski. Słuchaj-że, ja tej poufałości zbytecznej nie lubię; rozumiesz?

Biegasz. A wszak my bracia.

Górnogłębski. Porzuć-że te bałamuctwa, bo ja cię wnet nauczę, jak to z panem.

Biegasz. Pan, sługa, wyrazy gminne.

Górnogłębski *(porywa się ze stołka).* A pókiż to tego będzie hultaju?

Biegasz. A mości dobrodzieju! sameś waćpan dobrodziej powiedział, że się filozofowie nie gniewają, że passye ludzkie, że to pospólstwo tylko, że to, a wreszcie pieniądze fraszka, i kuropatwy fraszka, toć i panna Julianna fraszka.

Górnogłębski. Waszeć widzę chcesz żartować, a ja nie jestem w humorze słuchać tylko błazeństw; mów-że mi zaraz, albo cię wypędzę.

Biegasz. Kiedy tak, zaczynam.

Górnogłębski. Mów-że.

Biegasz. Ale o czem-że my to mówili?

Górdogłębski. Oto zacząłeś powiadać, jako Jadwiga...

Biegasz. Prawda, mówiłem tedy, że Jadwiga... a znasz ją waćpan?

Górnogłębski. Cóż mi tam do niej?

Biegasz. To szkoda, że jej waćpan nie znasz; gdybyś ją waćpan znał, dopierobyś to waćpan...

Górnogłębski. A tyś się widzę uwziął na to, żeby mnie do niecierpliwości... mówże, bo poprzysięgam...

Biegasz. Ta tedy Jadwiga, sługa, albo raczej pokojowa panny Julianny, córki pana Domownickiego...

Górnogłębski. Ot-że znowu tytuły!

Biegasz. A jużci trzeba każdego wymienić, czem jest i jak jest.

Górnogłębski. Ta tedy Jadwiga....

Biegasz. Ta tedy Jadwiga....

Górnogłębski. Dalej...

Biegasz. Ale bo mi waćpan przeszkadzasz...

Górnogłębski. No, już nie będę przeszkadzał. Mówże!

Biegasz. Ta tedy Jadwiga — powiedziała mi, iż jej pani — ale bo się waćpan będziesz gniewał...

Górnogłębski. Nie będę, mów!

Biegasz. Ta tedy Jadwiga powiedziała mi — a mamże tak mówić, jak mi ona powiedziała?

Górnogłębski. Słowo w słowo...

Biegasz. Powiedziała mi tedy, iż jej pani — waćpana cierpieć nie może.

Górnogłębski. A dlaczego?

Biegasz. O co tego, to powiedzieć nie mogę.

Górnogłębski. Mów!

Biegasz. A każesz waćpan?

Górnogłębski. Każę.

Biegasz. Powiedziała mi tedy, iż dlatego — ale to nie ja mówię, ale panna Julianna...

Górnogłębski. Dobrze, panna Julianna...

Biegasz. Powiedziała tedy panna Julianna, iż dlatego waćpana cierpieć nie może, iż waćpan jesteś — ale jak to mam powiedzieć?

Górnogłębski. Mów śmiało!

Biegasz. Iż waćpan jesteś bałamut.

Górnogłębski. Bałamut?

Biegasz. Tak jest, bałamut — i więcej jeszcze powiedziała.

Górnogłębski. Cóż takiego?

Biegasz. Iż waćpan jesteś filut.

Górnogłębski. Ja filut?

Biegasz. Tak jest — filut — i więcej jeszcze powiedziała.

Górnogłębski. Cóż takiego?

Biegasz. Iż waćpan jesteś oszust.

Górnogłębski. Dalej!

Biegasz. I więcej jeszcze powiedziała.

Górnogłębski. Cóż powiedziała?

Biegasz. Iż waćpan jesteś głupi.

Górnogłębski. Słuchaj-no — mnie się wszystko zdaje — że to waścin koncept — dowiem się ja o tem wszystkiem — a jeżeli się najmniejszy fałsz pokaże — twoje życie w odpowiedzi. — Idź precz!

SCENA II.

GÓRNOGŁĘBSKI *(sam).*

To niepodobna — zapewne ten zdrajca — on to, niby pod pokrywką prostoty — Zaczynam się ja na nim poznawać — trzeba tu będzie — ale kto wie? — może jakie udanie — może przywiązanie do kogo innego? — Ale choćby i tak było — czyżby ona mogła być tak zaślepiona? — tak obrana z rozumu? — to nie może być!

SCENA III.

ERAST, GÓRNOGŁĘBSKI.

Erast. Czy nie przeszkadzam medytacyom waćpana?

Górnogłębski. Bynajmniej; może to się na inszy czas odłożyć.

Erast. Waćpan pewnie zabawiałeś się spekulizacyą?

Górnogłębski. Układam właśnie projekt — który rozumiem, iżby był użyteczny rodzajowi ludzkiemu.

Erast. Czy można mieć śmiałość spytania się, jaki?

Górnogłębski. Mości panie — jest to poziomych prawideł istota, nie cierpieć blasku publicznego światła — duch wzniesiony nad atmosferę przeświadczeń lubi przestronność.

Erast. I kommunikuje się...

Górnogłębski. Tak jest.

Erast. Jakież więc waćpana projekta?

Górnogłębski. Zatracenie języków.

Erast. A jakże mówić?

Górnogłębski. Naprzykład brzmienie słów mogłaby zastąpić modulacya tonów.

Erast. A pismo?

Górnogłębski. Partytury — tym sposobem, jak muzykalna melodya powszechną jest ludziom, przypięte do tonów i semitonów idee, brzmieniem odznaczałyby jestestwo wzruszeń wewnętrznych.

Erast. Toby cały świat śpiewał?

Górnogłębski. Czemu nie?

Erast. Ale szkodaby była tych wszystkich książek, pism wybornych, klassycznych — któreby przeto poszły w zapomnienie.

Górnogłębski. Zyskałby świat na zatraceniu tych wszystkich bałamuctw.

Erast. Tak to waćpan chrzcisz produkcyą wieków?

Górnogłębski. Alboż-to błędy, dlatego że stare, przestają być błędami?

Erast. To wszyscy ludzie byli dotąd w błędzie?

Górnogłębski. Mości panie — nim owoc do dojrzałości dojdzie, najprzód drzewo nigoru nabywa — pomału się pączki otwierają, liść zieleni — kwiat wschodzi — owoc zawija — ukazuje — wzrasta — koloryzuje — dopiero po tem wszystkiem nadchodzi dojrzałość — rozumiesz waćpan?

Erast. Komparacya jest poetyczna.

Górnogłębski. Nie szpeć waćpan wyrazów moich tak podłą nomenklaturą.

Erast. Alboż to poezya...?

Górnogłębski. Kunszt ten czczy na brzmieniu tylko zawisł; uszy pieści, ale umysł z niego nie korzysta.

Erast. A krasomówstwo?

Górnogłębski. To sidło na omamienie niebacznych.

SCENA IV.

GÓRNOGŁĘBSKI, ERAST, PANI GROJSKA.

Pani Grojska. Cóż to? waćpanowie widzę dysputujecie?

Erast. Mieliśmy tu rozmowę o naukach, które jegomość gani, znosi...

Pani Grojska. A jegomość, powiadają, że uczony, mądry...

Górnogłębski. Mniej wiadomy, mościa dobrodziejko.

Pani Grojska. To niby pokora?

Górnogłębski. Wyznanie.

Pani Grojska. Czego?

Górnogłębski. Istoty.

Pani Grojska. Jakiej?

Górnogłębski. Istoty rzeczywistej.

Pani Grojska. Gadajże waćpan po polsku, bo ja prostaczka — chciałabym się też czego nauczyć, a tych wykwintów nie rozumiem.

Górnogłębski. A przecież uderzają w umysł.

Pani Grojska. A czemże to uderzają?

Górnogłębski. Dzielnością wewnętrzną.

Pani Grojska. Mości panie, powiadają, żeś waćpan mądry; ja temu nie wierzę, ale jeżeli wszyscy waćpanu podobni tak gadają, jak waćpan, żal się Boże tej mądrości, której nikt zrozumieć nie może — Gadajże waćpan po ludzku.

Górnogłębski. Po ludzku? ha! ha! ha!

Pani Grojska. Z czegóż się waćpan śmiejesz?

Górnogłębski. Przepraszam, mościa dobrodziejko, ale niektóre wyrazy...

Pani Grojska. Pewnie moje zdają się waćpanu godne śmiechu?

Górnogłębski. Broń Boże, mościa dobrodziejko; ale... ha! ha! ha!

Pani Grojska. A skończył że się waćpan śmiać?

Górnogłębski. Nie zaczynałem, to tylko...

Pani Grojska. Cóż tylko?

Górnogłębski. Oto, przypomniałem sobie...

Pani Grojska. Cóż takiego?

Górnogłębski. To do tego nie należy.

Pani Grojska. Naucz-że się waćpan — choć mądry — odemnie prostoty, że śmiać się komu w oczy jest to grubiaństwo — że kiedy się pytają, trzeba odpowiadać — że kiedy waćpan masz dawać odpowiedź — dawaj ją zrozumianą — że te wszystkie dziwaczne wyrazy nic nie znaczą — rozumiesz waćpan?

Górnogłębski. Mościa dobrodziejko, znam ja respekt dla płci damskiej; ale cóż to za śliczna materya — kwiatki jak żywe — kolor...

Pani Grojska. Cóż to się znaczy, mości panie? — rozumiesz to waćpan, że my białogłowy o niczem więcej nie umiemy gadać, jak o kwiatkach? Affektacya ta waćpana, za pozwoleniem jego, wcale nic do rzeczy — nie o kwiatkach tu była mowa — a rozumni ludzie powinni się wciąż trzymać zaczętej materyi.

Górnogłębski. Ja też zacząłem mówić o materyi.

Pani Grojska. Wstydź się waćpan tego koncepciku, mości panie mądry — a bardziej jeszcze tegoś się waćpan powinien wstydzić, że to waćpana białogłowa napomina.

*

Górnogłębski. Płeć piękna mistrzować powinna.

Pani Grojska. A to ma być komplement — ale i ten nie na swojem miejscu — praw go waszeć do młodych.

Górnogłębski. Alboż to waćpani dobrodziejka...

Pani Grojska. Mój dobrodzieju, ani ja młoda, ani ja piękna, ani filozofka — ale dał mi Pan Bóg rozsądek — szanuję mądrych, ale takich, którzy są prawdziwie mądrzy.

Górnogłębski. Po czemże to waćpani dobrodziejka poznajesz mądrych?

Pani Grojska. Oto po tem, mości panie, kiedy się z swoją mądrością nie nadstawiają — kiedy z ochotą użyczają drugim, co sami wiedzą — kiedy nie rozumieją, że oni tylko rozumni a wszyscy głupi — kiedy nie decydują o tem, czego czasem i sami nie wiedzą — a nakoniec, kiedy gadają tak, że ich można zrozumieć.

Górnogłębski. Kiedy więc waćpani chcesz tego, żebyś mnie dobrze zrozumieć mogła, ot, że i ja waćpani powiem — że ja takowe białogłowy szacuję (*Domownickiej nie postrzega*), które się ściśle trzymają swoich obowiązków — które pielęgnowania dzieci, gospodarstwa pilnują — które się w dysputy z mądremi nie wdają — które nie trawią czasu nad takiemi naukami, co im nie przystoją — które na fundamencie niby jakichś nabytych wiadomości mężami rządzić nie pragną — które...

Domownicka. Dziękuję, mości panie, za ten panegiryk — proszę, precz tego momentu z mojego domu!

Górnogłębski. (*zmięszany*). Ale mościa dobrodziejko...

Domownicka. Proszę, mości panie, bo jeżeli się waść będziesz opierał... (*Odchodzi Górnogłębski*).

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, DOMOWNICKI, SĄSIADOWSKI.

Domownicki. Cóż to takiego?

Domownicka. Oto ten bakałarz niedouczony do takiej impertynencyi przyszedł...

Sąsiadowski. Imćpan Górnogłębski?

Domownicka. On sam, ten bałamut — wstydzę się tego, żem się temu bajarzowi dała omamić — *(do Erasta)* Mości panie, łączę zdanie moje z mężowskiem — bierz waćpan córkę naszę — szczęśliwy przypadek otworzył mi oczy — i poznaję to w osobie waćpana, że mędrki dmą, ale prawdziwej mądrości modestya zawżdy towarzyszy...

KROSIENKA.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

Spokojski, ojciec.
Spokojska, matka.
Julianna, córka ich starsza.
Maryanna, córka ich młodsza.
Uczciszewska, ochmistrzyni.
Przystojnicki, kawaler.
Wiatrakowski, ditto,
Lubska.
Uśmiechiewicz.
Żartuliński.
Rubasiewicz, sąsiad.
Rubasiewiczowa, żona jego.
Chłopiec.

Scena w domu Spokojskiego.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

SPOKOJSKA, UCZCISZEWSKA.

Spokojska. Co robią moje córki?
Uczciszewska. Panna Julianna śpi.
Spokojska. Niebożątko. A Maryanna?

Uczciszewska. Ta od dawnego czasu wstała, haftuje teraz na krosienkach.

Spokojska. Potrzebne rzeczy!

Uczciszewska. Chciałam obudzić pannę Juliannę, ale mnie ofuknęła.

Spokojska. Niebożątko. Broń Boże ją budzić, kiedy nie chce; płeć-by się jej popsuła.

Uczciszewska. Panna Maryanna i rano wstaje i ma płeć piękną.

Spokojska. Któż to waszeci powiedział, że ma płeć piękną? Prawda, że dosyć jest biała, ale jej rumieniec zawżdy tak wygląda, jak gdyby była pijana — ją trzeba budzić rano, niech się przyzwyczaja do roboty, ma też zdrowie po temu.

Uczciszewska. Zdrować i panna Julianna.

Spokojska. Ja nie wiem co waszeci to dziecko winno? radabyś waszeć, jak to mówią, ozłocić Maryannę, a o Julisię waszeć wcale nie dbasz; a przecież godziłoby się większe mieć na nią względy, niż na młodszą, która i aplikować się nie chce, a rozumie, że ma więcej rozumu niż starsza.

Uczciszewska. Ach, mościa dobrodziejko, czynisz jej waćpani dobrodziejka krzywdę — jużem też nie dzisiejsza, strawiłam wiek na edukacyi panienek młodych, nie widziałam jeszcze ani skromniejszej, ani bardziej się aplikującej nad pannę Maryannę.

Spokojska. Przestańże waszeć już tych panegiryków! Przyzwyczaiłam się i nadto słyszyć jej uwielbienia z ust waszecinych — proszę odtąd nie czynić tej dystynkcyi między córkami mojemi, rozumiesz mnie waćpani?

Uczciszewska. Rozumiem, mościa dobrodziejko, ale zdaje mi się, iż nie ja dystynkcyą grzeszę.

Spokojska. I ja rozumiem, że waćpani wiesz o tem, iżeś nie moją ochmistrzynią, ale moich córek. Kłaniam się uniżenie. *(Uczciszewska odchodzi).*

SCENA II.

SPOKOJSKA (*sama*).

Te ochmistrzynie zawżdy sobie jakąś powagę przywłaszczają, która im wcale nie przystoi; jak mi się zdaje, ona widzę chce mi przymawiać. Ale oto mój mąż!

SCENA III.

SPOKOJSKI, SPOKOJSKA.

Spokojska. Właśnieś tu waszeć w dobry czas przyszedł, moje serce.

Spokojski. Cóż tam, moja panno?

Spokojska. Oto pani ochmistrzyni więcej sobie pozwala, niżeli jej należy; uwzięła się na Julisię.

Spokojski. Pewnie młodszą chwali?

Spokojska. Kiedy już i waćpan z nią trzymasz, to ja nie mam co robić, wolno jejmości rządzić się w domu; ja tylko będę gospodynią z nazwiska.

Spokojski. Ale, moja panno, pocóż te gniewy? Można to się i rozmówić i zrozumieć łagodnie, pięknie, grzecznie, jak to i płci damskiej przystoi.

Spokojska. Kiedy szczęśliwsi nademnie insi, wolę ja umilknąć; bez tego widzę od kilku czasów, że ja tu jak malowana.

Spokojski. Ale któż to waćpani powiedział, albo raczej zkądżeś to sama uwiła?

Spokojska. Uwiła? ten termin zdaje mi się, za pozwoleniem waćpana, troszkę niegrzeczny.

Spokojski. To go odmieńmy, kiedy się nie podoba; mówię zatem, iż waćpani troszczysz się, a nie masz przyczyny, a mnie to...

Spokojska. Jakto nie mam przyczyny?

Spokojski. Zapewne żadnej; nigdybym sobie tego sam nie odpuścił, gdybym z rozmysłem kiedyśkolwiek miał być waćpani okazyą umartwienia jakiego.

Spokojska. A przecież...

Spokojski. Proszę mi nie przerywać,

Spokojska. To już mi nie będzie wolno i mówić?

Spokojski. Wolno, wolno, moja pani, słucham...

Spokojska. Mów waćpan sam.

Spokojski. Każesz waćpani?

Spokojska. Ja nie mam prawa rozkazywać.

Spokojski. A ja sobie mam za prawo dogadzać woli waćpani ze wszystkiem. Aleśmy nie dokończyli dyskursu; zdaje mi się, iżeś waćpani z ochmistrzyni niekontenta?

Spokojska. Gdybym o tem nie wiedziała, iż waćpan jawnie stronę jej utrzymujesz, przełożyłabym sprawiedliwie moje przyczyny, dla których nie trzebaby jej cierpieć w domu, ale jej niebytność byłaby może waćpanu przykra.

Spokojski. Czynisz waćpani honor wdziękom imćpani Uczciszewskiej, lubo już troszeczkę podstarzałym, a mnie krzywdę; mąż pięknej żony starym się matronom nie zaleca.

Spokojska. Waćpana się widzę zawżdy żarty trzymają?

Spokojski. Alboż to żart, że ja mam piękną i grzeczną żonę? W każdej innej okoliczności z waćpanią się zgodzę, w tej, gdybyś przeczyła, proszę mi wybaczyć.

Spokojska *(śmiejąc się).* I mnie też, że nie umiem się zdobyć na odpowiedź po tak pięknym komplemencie; ale porzućmy te żarty i mówmy o interesach.

Spokojski. O jakich?

Spokojska. Oto trafiają się partye dla naszej córki starszej.

Spokojski. Któż to taki?

Spokojska. Jakżebyś tego waćpan nie wiedział?

Spokojski. Wiele tu kawalerów w dom nasz przyjeżdża; nie można ztąd wnosić, iż skoro który nieżonaty, więc o naszych córkach zamyśla.

Spokojska. Nie o córkach, ale córce. Maryanna jeszcze zbyt młoda, żeby o jej postanowieniu myśleć.

Spokojski. Rokiem-ci tylko różni się od starszej.

Spokojska. Rokiem i sześcioma niedzielami.

Spokojski. A to co inszego, kiedy i sześcioma niedzielami.

Spokojska. Z tych tedy kawalerów, którzy tu uczęszczają, pan Wiatrakowski, który niedawno z Warszawy przyjechał, zwierzył się pewnej osobie, że się myśli do Julisi odezwać. Kawaler i grzeczny i udatny, i wcale miły w posiedzeniu. Julisia powiada, że po francuzku bardzo pięknie mówi.

Spokojski. A ja waćpani powiadam, że i po polsku nawet nie bardzo dobrze.

Spokojska. Może sobie popsuł język ustawicznem czytaniem książek.

Spokojski. Nie o języku ja mówię, ale maksymy jego nie bardzo mi się podobają.

Spokojska. Waćpan masz prewencyą przeciw Warszawie; byle kto ztamtąd przyjechał, zaraz się waćpanu nie podoba.

Spokojski. Nie mam żadnych prewencyj, a osobliwie do miejsca; wszystkie miasta stołeczne są sobie podobne. Że w nich wiele mieszkańców, jest też więcej niż na wsiach i złych i dobrych; źli jednak z miasta gorsi są niż ze wsi.

Spokojska. To też i dobrzy muszą być lepsi.

Spokojski. Kształtniejsi, mościa pani.

Spokojska. Mówią też niektórzy, że imćpan Przystojnicki z konkurencyą odezwać się zamyśla, ale...

Spokojski. Na jakież to ale zasłużył sobie?

Spokojska. Przyznać mu należy, że obyczajów nienagannych, gospodarz dobry, ale...

Spokojski. Słucham tego ale.

Spokojska. Oto, jak Julisia powiada, poloru jeszcze nie ma.

Spokojski. Już-to panna Julianna umie sądzić o polorze kawalerów?

Spokojska. Czemuż nie? Ma edukacyą i już też lata po temu.

Spokojski. Prawda, starsza od Marysi rokiem i sześcioma niedzielami.

Spokojska. Jakże się waćpan będziesz determinował? Moja rada by była...

Spokojski. Puścić rzeczy w odwłokę.

Spokojska. Ale nie to chcę mówić.

Spokojski. To pewnie odpowiedzieć obudwom.

Spokojska. Ale nie.

Spokojski. To żadnemu nie odpowiedzieć.

Spokojska. Ale nie przerywaj że mi waćpan!

Spokojski. Już się teraz domyślam, jednego dla starszej, a drugiego dla...

Spokojska. Ale nie — nie — nie — dajże mi waćpan mówić, albo pójdę!

SCENA IV.

SPOKOJSKA, MARYANNA.

Spokojska (*woła*). Jest tam kto?

Maryanna. Czego waćpani dobrodziejka potrzebujesz?

Spokojska. Albo to ja waszeci wołam?

Maryanna. Ale że nie widzę nikogo przy waćpani dobrodziejce, chciałam jej usłużyć.

Spokojska. Jużem to waćpannie nie raz powiedziała, żebyś się w to nie wdawała, co do ciebie nie należy; ale jak to waszeć ubrana? (*Prostuje ją*). Trzymaj-że się waszeć prosto, głowę wyżej! wyżej! ale nie tak! ramiona nie tak do góry! a gdzież ta muszka, co była na skroniu?

Maryanna. Nie wiem, gdzieś spadła.

Spokojska. Tak to waszeć zawżdy, nic nie robisz, tylko gubisz albo psujesz. To waszeć rozumiesz, że te muszki nie kosztują? już to trzecie waszeć tak zgubiła.

Maryanna. Tamte dwie mam jeszcze.

Spokojska. Ale zapewne będą popsute, rozdarte, poplamione?

Maryanna. Jeszczem ich nie kładła.

Spokojska. To piękne posłuszeństwo! a na co ja waszeci muszki daję? tylko żeby je nosić.

Maryanna. Ale pani Uczciszewska...

Spokojska. Cóż mi waszeć z tą swoją panią Uczciszewską... kiedy rodzice co mówią, trzeba milczyć; pójdź waszeć do siebie!

SCENA V.

SPOKOJSKA (*sama*).

Pójdę teraz do Julisi, trzeba biedne dziecię obudzić.

SCENA VI.

JULIANNA, SPOKOJSKA.

Julianna. Mościa dobrodziejko, goście idą, zapewne pani Lubska, którą nam pan Wiatrakowski z Warszawy obiecywał —

Spokojska. Wielcem kontenta — ale jakże ci się spało, moje dziecię? —

Julianna. Niedobrze — śniło mi się —

Spokojska. Ach dla Boga! czy nie co strasznego?

Julianna. Jak strasznego — śnił mi się pan Wiatrakowski, że po powietrzu latał —

Spokojska. To dobry znak —

Julianna. Jak to dobry? — nie dobry — bom się przelękła i obudziła i podobno mnie głowa boli —

Spokojska. Ach! zapewne bardzo zły — ale tylko nie uważaj, moje dziecię — to ci ten ból głowy przejdzie — a szkodaby była, żebyś nie wychodziła z pokoju, gdy goście przyjadą —

Julianna. Trzeba sobie będzie gwałt uczynić —

Spokojska. Ach nie czyń tego moje dziecię — niech sobie tam goście i odjadą — byleś ty była zdrowa — ale słyszę, czytujesz w nocy — może ci to szkodzi? —

Julianna. Ach, gdybyś waćpani dobrodziejka rozumiała, co to w tych księgach jest, co mi dał pan Wiatrakowski! gdybyś je tylko wzięła w ręce, nie spałabyś całą noc —

Spokojska. Tem gorzej, moje dziecię — nie brałabym ich nigdy do ręki —

Julianna (*na boku*). Sentyment podły. (*Głośno*). Mościa dobrodziejko, to co te książki zawierają w sobie — godne jest, żeby nie tylko noc jednę i drugą, ale i zdrowie sakryfikować —

Spokojska. Ach uchowaj tego, Panie Boże — wolę ja twoje zdrowie, niż wszystkie księgi całego świata — Cóż to przecie są za książki? —

Julianna. Oto, mościa dobrodziejko, ta którą czytam teraz, jest to historya pewnej królewnej — o którą starało się dwóch Cesarzów i pastuszek —

Spokojska. Pfe! po cóż tam ten pastuszek?

Julianna. Słuchajno waćpani dobrodziejka dalej — ten pastuszek, był to syn króla Paflagońskiego —

Spokojska. To co inszego — a ta królewna, wiedziałaż ona o tem, że on królewicz?

Julianna. Nie — a jednakowo go kochała —

Spokojska. To głupia, uczciwszy uszy —

Julianna. Ach mościa dobrodziejko, jak to znać, żeś waćpani nie czytała historyi — ten sentyment w królewnie, przenoszący affekt szczery w pastuszku prostym, ten sentyment jest piętnem prawdziwej miłości i najszacowniejszym amantów skarbem — ten tedy pastuszek jednego razu, pasząc owieczki niedaleko kryształowéj wieży — patrzy, aż tu dziewczyna —

Mościa dobrodziejko, pan Wiatrakowski.

SCENA VII.

SPOKOJSKA, JULIANNA, WIATRAKOWSKI, UŚMIECHIEWICZ, ŻARTULIŃSKI.

Wiatrakowski (*wpada śpiewając*):

Na cóż się tam i broń przyda,
Gdzie tkwi w sercu grot Kupida? —

Ach mościa dobrodziejko — przysięgam Bogu — strzelę w łeb — w sam łeb

Spokojska (*zmięszana*). Komuż to —

Wiatrakowski. Koniowi memu, temu to cisawemu — słuchaj-no waćpani dobrodziejka — ale zapomniałem — przepraszam jak najuniżeniej — mam honor prezentować moich przyjaciół, którzy z łaski swojej chcieli mi tu akkompaniować z Warszawy. — Jest to pan Żartuliński *(do Julianny)*, tego to gatunku ludzi, pani moja, co to tchną wybornym — *(patrząc na Uśmiechiewicza)* ale co ten jegomość — ja nie wiem gdziem ja głowę podział — kiedym go tu przywiózł — jest to imcipan Uśmiechiewicz, koteryi naszej —

Spokojska *(do ucha Juliannie)*. Co to jest: koterya?

Julianna. Jest to kompania dobrana ludzi jednakowego humoru i fantazyi, co to kolejno sprawują pikniki.

Spokojska. Pikniki, ja i tego nie wiem.

Julianna. Podwieczorki — śniadania na wspólki.

Spokojska. No dobrze.

Żartuliński. Kiedy damy szepcą, serce gwałtu woła — ha — ha — ha.

Uśmiechiewicz. Ha — ha —

Spokojska. Przepraszam, jeżeli to waćpana obraziło —

Żartuliński. Razy serca idą do kobierca — — ha.

Uśmiechiewicz. Do kobierca — ha — ha.

Wiatrakowski *(do Julianny)*. Wszakżem mówił —

Julianna. Nieoszacowany.

Żartuliński. Szacunek traci,
Kto sercem przypłaci.

Spokojska *(do Julianny do ucha).* A on podobno wierszem gada.

Julianna. Tak jest — *(do Żartulińskiego)* nazwisko waćpana koresponduje talentom —

Żartuliński. Jest to korrespondencya sigillo volanti.

Spokojska. To waćpan grywasz w wolanty.

Żartuliński. Nie to wolanty, co rzuca rakieta! — Piórka znaczą lekkość, statek serca meta —

Spokojska. Vivat — Vivat — ale kiedy mój Żartulińsiu, podobno mi przymawiasz —

Żartuliński. A nie odbił się grot na lewą albo na prawą —

Wiatrakowski *(do Julianny z westchnieniem).* Tu skaż, pani moja.

Spokojska. Będzie wola siedzieć.

Wiatrakowski. Kiedy waćpani każesz — ale zapomniałem dokończyć o moim koniu — ja nie wiem co się temu szkapie stało. — Niech mówi pan Uśmiechiewicz, żem z Niemcem w Zakroczymie podczas jarmarku chodził na wyścigi i wygrałem — zapomniałem ile, podobno dwa tysiące czerwonych złotych — wszak prawda? —

Uśmiechiewicz. Ale jak się gniewał Niemiec — a nasi bracia cieszyli, że przecież swego dokazali! — Ha ha ha!

Wiatrakowski. Dokazałem-ci ja prawda swego — ale też co mnie kosztowało.

Uśmiechiewicz. Oj! zapewnie strasznie kosztowało —

Julianna *(do Uśmiechiewicza).* Ileż przecie —

Uśmiechiewicz. Ja nie wiem — ale bardzo wiele kosztowało — ha — ha — ha

Wiatrakowski *(do Spokojskiej).* Waćpani wiesz, i wszyscy już o tem wiedzą, że teraz moda biegać na wyścigi —

Spokojska. Ja nie wiem —

Julianna *(do ucha)*. Nie mów-że tego waćpani dobrodziejka, bo nas wezmą za parafianki —

Spokojska *(do ucha)*. I cóż to złego, że ja parafianka jestem? — i jeszcze do dwóch kościołów —

Julianna *(do ucha)*. Ale to wieśniaczki tak teraz zowią —

Spokojska *(do ucha)*. Gadaj-że tam z niemi — bo ja ich dyskursów nie rozumiem.

Wiatrakowski. Żebym się tedy wrócił do zaczętego dyskursu — ów sławny koń, ów mój cisawy białonóżka — za którego mi już pan wojewodzic dawał wieś na Ukrainie dożywociem — i oprócz tego dwa psy legawe — zgadnij waćpanna dobrodziejka, co się z nim stało?

Julianna. Pewnie zachorował —

Wiatrakowski. Tak jest, a nieinaczej — znagła zachorował, i to było okazyą, iżem się tu dwoma dniami opóźnił, i ledwo mnie nie uprzedzili w domu waćpanny moi przyjaciele —

Julianna. A imci pani Lubska.

Żartuliński. Przyjedzie niezabawem — dała nam na dzisiaj słowo — ale musiałem zostać dla pikniku z wojewodziną — i dwiema księżnemi —

Wiatrakowski. Kochany przyjacielu, racz-że nam powiedzieć, co się tam w Warszawie działo po moim odjeździe — już więcej jak trzy niedziele, jakem to miasto porzucił —

Żartuliński. Znać było po cichości, że waćpana nie masz.

Uśmiechiewicz. Ha — ha — ha! po cichości —

Żartuliński. Kasztelanka raz wraz na migrenę chora — księżniczka nasza ma spazmy — wojewodzina ani

ci da na oczy — żeś do niej napisał — a o Karolince wiesz —

Wiatrakowski. Jakiżeś to gawęda — dobrze o tobie powiedziała księżna, że cię twoje szczęście popsuło — tak cię rozpieścili — że już teraz nie możesz trzymać języka za zębami — a gdybym ja np. chciał tu powiedzieć to, co się stało w Łazienkach? a ba! —

Żartuliński. Daj pokój — już ci przyrzekam, że będę ostrożniejszy — ale nie wiesz, co się kasztelanowi przytrafiło u naszej pani Lubskiej? —

Wiatrakowski. To stara nowina — pewnie chcesz mówić o tem spotkaniu z grafem —

Żartuliński. Nie, już o tem w Warszawie zapomnieli — tak to, moje panie — jegomość zardzewiał na wsi —

Uśmiechiewicz. Ha — ha — ha — zardzewiał —

Żartuliński. Trzebaby go, jak to mówią, degardyerować — alias (*do pani Spokojskiej*) trzebaby go na nowo wykrzesać —

Kupido lotny
Mistrz jest obrotny.

Wiatrakowski. Brawo — a pamiętasz te wiersze, coś pisał — wszak wiesz — przysiągłem ci na sekret, nie wyrażę osoby — lubo takiego była gatunku i przymiotów — i rangi —

Żartuliński. To znowu się wygadasz — tem zbyt dokładnem opisaniem — ale to była rzecz nieoszacowana — kiedy te piosneczki mąż śpiewał — a my brawo — brawo —

Wiatrakowski. Czy nie przypominasz sobie choć jednę strofę? —

Żartuliński. Miałem raptularz, ale mi go starościna wydarła —

Wiatrakowski. Jaka —

Żartuliński. Zgadnij —

Wiatrakowski. Pewnie —

Żartuliński (*zamyka mu usta*). Jużby też to było nadto — wyznaczać osoby po imieniu —

Wiatrakowski. Ta ci się opiszę — ta to — co to —

Żartuliński (*do Spokojskiej*). I tego nie potrzeba — proszę mi pozwolić moment czasu, czy sobie przypomnę —

Śliczne wdzięki
Co poręki
Szukacie —
A czernidła
Z wdzięków sidła
Nie znacie.
Kwoli myśli
Niech okryśli
Wspomnienie —
Niech się darzy
Co kojarzy
Westchnienie.

Wiatrakowski. Fora —

Uśmiechiewicz. Fora —

Julianna. Fora —

Żartuliński (*powtarza wiersze*). Niegodne te wierszyki aplauzów — wybaczyć raczą te damy rzecz niedoskonałą, zrobioną na prędce — w poufałej kompanii —

Wiatrakowski. On tak wiersze pisze, jak gdyby z rękawa sypał —

Uśmiechiewicz. Tak z rękawa — ha — ha —

*

Żartuliński. Szczęśliwy byłby ten rękaw, gdyby się mógł przyszyć —

Uśmiechiewicz. Do serca, tak jest — ha — ha —

Chłopiec. Goście jadą —

Julianna. Pewnie imci pani Lubska.

Wiatrakowski. Lubska!

Żartuliński. Lubska —

Uśmiechiewicz. Lubska — ha — ha — ha! — (*Wychodzą wszyscy z pośpiechem*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

LUBSKA, WIATRAKOWSKI.

Lubska. Ach mój kochany, gdzieżeś mnie to zaprowadził? — Cóż to za oryginały w tym domu — prawdziwie dobrześ mi ich opisał — A ten pan Przystojnicki, klejnot drogi parafiańskiej galantomii — cytuje autorów jak bakałarz; dobrze, że do mnie po łacinie nie gadał — i śpiewać ze mną nie chciał — a kiedym mu dała rękę, żeby mnie prowadził — rozumiał może, że ja mam chiragrę — prawdziwie, ledwiem dwa razy w ogrodzie nie upadła — ja mu gadam o komedyi, a on zaraz w jakoweś dyssertacye, co to jest, zkąd to jest — co mi tam do tego? co to jest — dość, że na niej skaczą.

Właśniebym ja po to najmowała lożę, żebym miała słuchać co tam gadają, co chcą — ja tam poto, żebym widziała — i żeby mnie widziano —

Wiatrakowski. Masz racyą, moja pani. — Piękne damy nie powinny się temi fraszkami zaprzątać.

Lubska. Dobrze mówisz, kochany Wiatrakosiu. Ale powiedz, co ja tu mam robić, bo mi srodze nudno — dałam słowo, że ja jak najprędzej powrócę, a tu się coś zanosi na wielkie korowody.

Wiatrakowski. Nie będą, skoro tylko waćpani zechcesz.

Lubska. Chcę i serdecznie pragnę ci się przysłużyć, ale mi cię żal, że dla fortuny uczynisz się nieszczęśliwym. — Jednem słowem tak jak dwoma muszę ci powiedzieć, że mi się nie tylko dom, ale i panny nie podobają.

Wiatrakowski. I mnie nie bardzo — ale sto tysięcy w gotowiznie, a po śmierci rodziców sukcessya i zapewne cała, bo jużeśmy się i z matką i córką umówili, że młodsza pójdzie do zakonu.

Lubska. Albo ma wokacyą?

Wiatrakowski. Już też się temu dziwuję, że mnie o to pytasz, moja pani. — Albo to córki, a zwłaszcza młodsze, powinny mieć co własnego? — Wokacya już teraz do nich nie należy. Rodzice powinni mieć wokacyą oddać dziecię do klasztoru, a dziecię to powinno czynić, co rodzice każą.

Lubska. Chwałaż Bogu, że moi jej nie mieli; a miałam dwie siostry starsze.

Wiatrakowski. Trzeba nam profitować z dobrego serca i matki i panny — imci pani Spokojska najniższą jest sługą godnej córy swojej, imci panny Julianny, a imci panna Julianna kończy teraz Argenidę — ja mam honor być Polyarchem — trzeba więc, żeby imci pan Przystojnicki był Rady robanerem.

Lubska. Rozumiem — trzeba go odstręczyć — ale jak my tego dokażemy?

Wiatrakowski. Dokażesz, pani moja, byleś tylko chciała przypuścić atak żwawy do jego serca. Mężniejsze nie oparły się cedry, a dopieroż ten chruścik —

Lubska. A mnie się zdaje, że ten chruścik nie tak słaby, jak rozumiesz; cokolwiek bądź — będę się starała, żeby go od Julianny odwieść. Ale widzę nadchodzi — zostaw nas —

SCENA II.

LUBSKA, PRZYSTOJNICKI.

Lubska. Cóż to widzę? — waćpan zamyślony? —

Przystojnicki. Przepraszam waćpanią — nie mam się racyi zamyślać —

Lubska. Komplement ten nie jest grzeczny, i gdyby o nim wiedziała imci panna Julianna —

Przystojnicki. Nie powinnaby mi mieć za złe, ponieważ wesół w domu jej rodziców, bawię się dobrze — nie mam przyczyny zamyślać się —

Lubska. Ale można być i wesołym i zamyślać się —

Przystojnicki. Może to być, kiedy kto ma jakowe projekta — które —

Lubska. Alboż to ich waćpan nie masz?

Przystojnicki. Sposób postępowania mojego jest nader prosty, a przeto strzegę się —

Lubska. Rozumiem — jesteś to waćpan z liczby tych kawalerów, co to niby obojętni; tacy bywają najniebezpieczniejsi —

Przystojnicki. Nie wiem, jak są drudzy, o sobie mogę zapewnić — iż —

Lubska. Tem bardziej waćpanu wierzyć nie można — a ta niby indyfferencya oznacza —

Przystojnicki. Umysł spokojność kochający —

Lubska. Kochający może — ale spokojność nie zdaje mi się być przymiotem właściwym wiekowi waćpana — w stanie —

Przystojnicki. Wolnym, zakładam szczęśliwość —

Lubska. Imaginowaną. — Tak waćpan umiesz udawać obojętnego — iżby może druga —

Przystojnicki. Nie wierząca — oszukała się —

SCENA III.

SPOKOJSKA, JULIANNA, LUBSKA, PRZYSTOJNICKI.

Lubska. Właśnieście waćpanie w czas tu nadeszły — mieliśmy z imci panem Przystojnickim dyssertacyą — można mówić, że godną druku.

Przystojnicki. Chyba coś waćpani dobrodziejka powiedziała —

Lubska. Nie, mości panie — ja nie umiem dobrze tego wyrazić co myślę i czasem chciałabym — *(do Julianny)*. Ale cóż to, podstolaneczko? — nie masz różu? — poczekaj-no trochę. — Zaraz ja go przyniosę, — zobaczysz, jak ci to będzie do twarzy. *(Odchodzi)*.

Przystojnicki. Mnie się zdaje — iż te farby bardziej szpecą, niż zdobią — osobliwie kto ma tak piękny rumieniec, jak panna podstolanka —

Julianna. Bardzobym waćpanu obligowaną była za ten panegiryk mojego rumieńca — ale rozumiem, iż farby nie są godne dyssertacyi uczonych —

Przystojnicki. Nie jest to żadna dyssertacya — a skoro się waćpannie nie podoba —

Julianna *(do matki)*. Mościa dobrodziejko, ten ból głowy —

Spokojska. Pewnie się powiększył, moje dziecię —

Julianna. Trochę — właśnie czuję jakąś ciężkość niezwyczajną i strzykanie w skroniach —

SCENA IV.

SPOKOJSKI, SPOKOJSKA, JULIANNA, PRZYSTOJNICKI.

Spokojski *(do Przystojnickiego).* Szukam waćpana od pół godziny — alem sam temu winien, żem gdzieindziej młodego kawalera chciał znaleźć, jak między damami —

Przystojnicki. Miałem właśnie ztąd odejść, ponieważ imci panna podstolanka skarży się na ból głowy.

Spokojski. To waćpan wierzysz damskim chorobom? — One je mają na zawołaniu — *(do żony)* siła to razy waszeć chorowała, moja panno? — pamiętasz waćpani, kiedym miał honor —

Spokojska. Poprzestań waćpan tych żartów — Julisia doprawdy słaba już od rana —

Spokojski. To niech się wywczasuje; a gdzie to Marysia?

Spokojska. Nie wiem —

SCENA V.

CIŻ SAMI, LUBSKA.

Lubska. Pójdź-że teraz do mnie, mój aniołeczku, przyniosłam ci takiego różu, jakiego lepszego w całej Warszawie nie masz — *(bierze pudełko i wyjmuje pędzelek).*

Spokojski. Daj waćpani temu pokój, mościa dobrodziejko, proszę się nie fatygować —

Lubska. Jak to nie fatygować? zobaczysz waćpan, jak będzie miała róż, to jej waćpan nie poznasz —

Spokojski. Tem gorzej — ja chcę znać moje dzieci —

Lubska. To waćpan nie chcesz, żeby była piękniejsza jeszcze, niż jest?

Spokojski. Przydanych wdzięków nie chcę — niech się temi obchodzi, które ma z natury —

Lubska. Ale naturę można poprawić —

Spokojski. Kiedy zbłądzi — ale się jej to nie trafia — a przynajmniej bardzo rzadko —

Lubska. Jeżeli nie poprawić, to przynajmniej przywdzięczyć.

Spokojski. Dajmy jej pokój —

Lubska. A pfe, mości panie! a coby na to w Warszawie powiedzieli?

Spokojski. Niech tam mówią co chcą — nam tu na wsi tego nie potrzeba — a podobno i w Paryżu panny na twarze farb nie kładą —

Lubska. Albo to nie można Paryża poprawić?

Spokojski. Zostawmy tam Paryż i Warszawę; jak moja córka będzie miała męża, niech robi co chce — ale póki w domu, niech to robi, co my chcemy — i waćpani sama przy tak pięknych i żywych naturalnych kolorach lepiejbyś robiła, żebyś sobie płci farbą nie psuła —

Lubska. Waćpaństwo na wsi pełni jesteście prewencyi — rozumiecie naprzykład, że to się róż dlatego kładzie, żeby twarz piękniejszą czynić?

Spokojski. A dlaczegóż?

Lubska. Jak to zaraz znać, żeś waćpan w Paryżu nie był.

Spokojski. A waćpani dobrodziejka byłaś?

Lubska. Ot że masz piękne pytanie! — Byłam — i jeszcze raz będę, byleby mi się tylko dobry kupiec trafił na moją wieś. — W Paryżu tedy, mości panie, naj-

pierwsze damy noszą róż dla dystynkcyi — i dlatego kładą go jak najwięcej —

Spokojski. Niechże się moja córka nie dystynguje — ale, mościa dobrodziejko...

Lubska. Nie chcę słuchać — wprowadziłeś mnie waćpan w zły humor — ja nie lubię tych skrupulatów —

Spokojski. Już się poprawię — tylko waćpani dobrodziejka bądź dobrego humoru.

Lubska. Dobrze, ale mi waćpan przynajmniej pozwolisz, żebym ubrała pannę podstolankę po swojemu — już różu nie będzie —

Spokojski. Zgoda, mościa dobrodziejko, całem sercem —

Lubska. Podstolaneczko, pójdź-że do mnie. — (*Odchodzą*).

SCENA VI.

SPOKOJSKI, PRZYSTOJNICKI.

Spokojski. Co też to nasze panie wyrabiają! A sprzeciwić się im cokolwiek — to zaraz jak wezmą na zęby, już człek zginął —

Przystojnicki. Trzeba ulegać ile możności —

Spokojski. Ale kiedy to tegoż aż nadto — jak to ulegać? — i cierpliwości nakoniec nie stanie —

Przystojnicki. Prawda, że w tej cnocie umieją ćwiczyć doskonale — ale też kiedy widzą, że się z niemi dobrze obchodzimy, poznają natenczas, ile nas nasza łagodność kosztuje — a jako są nader czułe — dobremi postępki nagradzają nasze umartwidnia i czynią nas szczęśliwemi —

Spokojski. Prawda — ale czasem tego szczęścia trzeba czekać zbyt długo —

Przystojnicki. Ale też uczucie tem milsze —

Spokojski. Waćpan widzę zawczasuś się do stanu małżeńskiego przygotował.

Przystojnicki. Trzeba się gotować, skorom się zdeterminował —

Spokojski. A jak powiedział jeden autor, przewidziane złe mniej razi. — Ale od tego powszechnego dyskursu przejdźmy teraz do szczególności: Determinacya waćpana jest mi wdzięczna — odezwę jego przyjąłem i przyjmuję z chęcią — a żem waćpanu powiedział, że w tak delikatnej okoliczności nie chcę nic czynić przeciw woli własnej dzieci moich — dałem waćpanu czas, żebyś wyrozumiał sentymenta córki mojej. — Jakież się waćpanu zdają? —

Przystojnicki. Wcale teraz niepomyślne — nie mogę tego przed waćpanem zataić, iż uczęszczania imci pana Wiatrakowskiego wcale odmieniły dla mnie sentymenta imci panny podstolanki starszej — szukałem wszystkich sposobów, którem tylko mógł wiedzieć, na odzyskanie jej serca, ale daremnie —

Spokojski. Tak to waćpan wcześnie rozpaczasz.

Przystojnicki. Bynajmniej — i owszem, jużem się zdeterminował upraszać waćpaństwa o deklaracyą —

Spokojski. Ale kiedy ona waćpanu nie sprzyja.

Przystojnicki. Wiem ja o tem — ale —

Spokojski. Ja już powiedziałem, że nie będę mojej córki naglił —

Przystojnicki. Nie trzeba tu — już jestem pewny, żadnego przynaglenia — o młodszą ja łaski waćpana proszę —

Spokojski. O młodszą? —

Przystojnicki. Tak jest, nie inaczej — miałem czas

poznać jej sposób myślenia — jaki jest — iż zapewne uszczęśliwi tego, który będzie miał szczęście jej być mężem —

Spokojski. Ale to dziecię —

Przystojnicki. Gdzie rozum drzemał — tam się lata nie liczą —

Spokojski. Zadziwia mnie ta waćpana rezolucya; pozwolisz mi waćpan, iż zatrzymam się z decyzyą, dopóki się z żoną moją nie rozmówię i córki intencyi nie dowiem —

SCENA VII.

CIŻ SAMI, RUBASIEWICZ.

Rubasiewicz. Jak się masz Jędrzeju?

Spokojski. Zdrów do usług twoich, panie Franciszku —

Rubasiewicz. Nie wiesz, co to mi się stało — nie mogłem się doczekać, nim się moja żona wybierze, kazałem więc konia okulbaczyć i wziąwszy parę chartów na smycz, dalej — tylkom co za wrota wyjechał, aż tu lis, ja hajże — Dolot z jednej strony — Frazia z drugiej — ja z konia — lis w bok — Frazia tuż — a Dolot w onę — a ja na przełaj — lis frant mości panie zapewne już szczwany, kominka — Frazia patrzy — lisa nie masz, a ja hajże! — hajże! — Dolot tuż — tuż — tuż — ja lecę — hajże, hajże! — jakże się posunie Frazia gdyby strzała — już też myślę sobie: po lisie! — cóż on mości panie na to — jak zacznie ogonem merdać, to w lewo, to w prawo, zbałamucił Frazię — a tymczasem, jak się posunie ku krzakom — jak pójdzie po nad krzaki po za mogiłę, pomiędzy parowy, z oczu nam zniknął — Patrzę: źle! — wołam, krzyczę, Dolot stanął — Frazię ja nie

wiem, czy ją kto w tym punkcie oczarował — siadła na kępinie i nuż wyć — o już też jakem to usłyszał, taka mnie passya wzięła, żebym jej był w łeb strzelił. Porzuciłem lisa, dalej do niej z harapem — Frant w nogi, ja za nią, a tymczasem i Dolota gdzieś kaci wzięli — Frazia uciekła, a ja i lisa nie dostał, i konia zmachał na niwecz, i ledwom sobie piersi nie zerwał — powiadają to, panie Jędrzeju, na frasunek dobry trunek — każ-no przynieść tego to zielonkowatego, cośmy go pili ostatnią razą.

Spokojski. Dobrze —

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, WIATRAKOWSKI.

Wiatrakowski. Czy nie przeszkadzam —

Spokojski. Bynajmniej — prosimy do kompanii —

Rubasiewicz *(w kącie przy stoliku je chleb z serem; butelka wina przed nim stoi; sam do siebie).* Czy kaci nadali tego lisa.

Wiatrakowski. A waćpan widzę masz gust w polowaniu?

Rubasiewicz. A któżby go nie miał? to jest zabawa najprzystojniejsza ludziom dobrze urodzonym.

Wiatrakowski. Tak jest, a jak pisze Neoswalelus, Rzymianie zawżdy się myśliwstwem zabawiali...

Rubasiewicz. Poczciwi ludzie! O mościpanie, prawdziwie ja do czasu i sam nie wiedziałem, dlaczego ja ich tak kochał, a teraz dziękuję wielce, żeś mi waćpan powiedział, że Rzymianie byli myśliwi. Będzie wola kieliszek wina?

Wiatrakowski. Przepraszam, nie pijam tylko poncz.

Rubasiewicz. A co to ten poncz?

Wiatrakowski. Jest to trunek angielski.

Rubasiewicz. Porzuć go waćpan, a pij wino węgierskie, jak to nasi ojcowie pisali: in quo nati sumus; do waćpana!

Wiatrakowski. Ma foi, nie mogę, bo...

Rubasiewicz. Co to te ma foa? wypij waść, panie młody, pijał ja dobrze z waszecinym ojcem. To to był myśliwiec... no, stateczna przyjaźń! dalej, panie młody!

Wiatrakowski. Kiedy waćpan każesz, już wypiję *(nalewa kieliszek)* Vivent les honnêtes gens!

Rubasiewicz. Co to jest?

Wiatrakowski. Oto: vivant poczciwi ludzie!

Rubasiewicz. A nie gadałby to waszeć po polsku? honet... żan... jaki mi to Francuz! Vivant tedy poczciwi! Oj trzeba to zdrowie często pić, bo się ich teraz przebrało. Vivant poczciwi ludzie! Kłaniajcież się waszeć. Będzie wola, panie Jędrzeju...

Spokojski. Dobrze. *(Pije)*.

Wiatrakowski *(do Przystojnickiego)*. Waćpan dawno jakeś z swojego wojażu powrócił?

Przystoinicki. Nie wyjeżdżałem za granicę.

Wiatrakowski. Szkoda.

Przystojnicki. Prawda, że droga do cudzych krajów może być wielce pożyteczna, przez nią nabiera się większa znajomość ludzi, ich praw, obyczajów, sposobów, rządu, kunsztów, nauk...

Wiatrakowski. Tak jest kunsztów, nauk; ja kiedy byłem w Anglii, dziwnie byłem ciekawy poznać ludzi najsławniejszych, i mogę mówić bez chluby, iżem wielu pozyskał przyjaźń i estymacyą.

Spokojski. Tym sposobem nie żal jeździć za granicę.

Wiatrakowski. Osobliwie z filozofami o geometryi i

algebrze lubię dysputować; już ich teraz nie masz takich, jacy to byli przedtem Kopernik, Andronik, Baroniusz....

Spokojski. Ale Baroniusz pisał roczne dzieje kościelne...

Wiatrakowski. Tak jest roczne dzieje, a jakże pisać można roczne dzieje bez geometryi, astronomii? Widziałem jego obserwatoryum.

Przystojnicki. A gdzie?

Wiatrakowski. W Kopenhadze.

Przystojnicki. Ale Baroniusz jest w Rzymie i był kardynałem.

Wiatrakowski. Na starość księdzem został w Rzymie.

Spokojski. I na dobre mu potem wyszło.

Wiatrakowski. Tak to zawsze filozofowie prawdziwi cierpią.

Przystojnicki. Taką rzeczą i waćpan musiałeś być nieraz w niebezpieczeństwie?

Wiatrakowski. I w jakiem? Pod Gibraltarem tylko co mnie już do więzienia nie wsadzili za to, że między mojemi książkami znaleźli Woltera de officiis...

Spokojski. Ta książka bardzo niebezpieczna? jakże? wierszami, czy prozą?

Wiatrakowski. Połowa prozą, a połowa wierszami. Ale cóż to tam za myśli! jaki obrót! jaka żywość! Jak on tam naszego Paprockiego w niwecz obrócił na miazgę! aż miło czytać, to książka złota...

Spokojski. A nie masz jej waćpan z sobą?

Wiatrakowski. Zostawiłem w domu, ale jeżeli waćpan będziesz chciał czytać, przyślę; ale zmiłuj się nie pokazuj nikomu, bo by...

Przystojnicki. Dotrzymamy sekretu.

Rubasiewicz (*na boku*). Czemu ja z sobą Mikołajka nie wziął? byłby zabiegł on chaszczów.

Przystojnicki. A w innych scyencyach równie waćpan masz gust?

Wiatrakowski. Kiedym był w Paryżu, trafiło mi się być na pewnem posiedzeniu, gdzie gadano o świeżo natenczas wyszłej komedyi. Jedni ją chwalili, drudzy ganili; przyszła kolej na mnie, musiałem też i ja dać moje zdanie. Nie wiedziałem, że koło mnie autor siedział, gdym więc skończył, a było z jego pochwałą, jakoż był jej godzien, przyznał mi się naówczas, że była jego dziełem. Stał się od tego czasu towarzyszem moim nierozdzielnym, nigdym mu jednak tego wyperswadować nie mógł, żem ani tragedyj, ani komedyj nie pisał. Niepodobna, mówił raz wraz, żeby ten, który tak dobrze o innych dziełach sądzi, sam nie miał być autorem. Nie mogłem go żadnym sposobem przeprzeć i dotąd zostaje w błędzie.

Przystojnicki. Szkoda talent zakopywać; pisz waćpan komedye.

Wiatrakowski. Polskie komedye?

Spokojski. Alboż to nie może być komedya dobra po polsku.

Wiatrakowski. Kasza, nie komedya, mościpanie! Nasz język do tego się nie urodził.

Spokojski. Mnie się zdaje, że te rzeczy nie zawisły od języka, ale od pisarza.

Wiatrakowski. Ma foi, jesteś waćpan w błędzie; ale widzę, damy nadchodzą.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, SPOKOJSKA, RUBASIEWICZOWA.

Rubasiewiczowa (*do Spokojskiej*). Jak kiedy już przyszło do tańca, ja mówię pani cześnikowej, pójdź waćpani

pani pierwej, a ona zagadała się tymczasem z panem skarbnikiem o perłowej macicy, co to z niej jest szafa u pani kasztelanowej. To prawda, że taką szafę trudno widzieć, ale szkoda, że figurek na górze nie dostaje; tak to zawżdy nasi ludzie wszystko psują. U mnie niedawno panna moja Gryzicka zwierciadło stłukła; ja jej mówię, przynieś mi waść zwierciadło, a ona zapatrzyła się na obraz, który wisi nade drzwiami. Idzie tedy prosto ku drzwiom i potknęła się na progu, a moje zwierciadło w kawałki, a po drugie chyba trzeba będzie do Gdańska posełać. Ale o czem to ja mówiła?

Spokojska. O zwierciadle.

Rubasiewiczowa. Ale nie o zwierciadle! to było podobno... ej cóż to za moja pamięć! Niechże to sobie tam będzie co chce, ale... a prawda! mówiłam o tańcu! Ja tedy mówię pani skarbnikowej: pójdź waćpani pierwej; ona czy się zagadała, czy nie słyszała, a tymczasem pan podczaszy wziął pannę sędziankę. Mrugam, chwytam, a ona mnie, jak nie słyszy, tak nie słyszy, a tymczasem... Ale to śmieszna rzecz! potem ja waćpani o tem powiem, bo teraz przy ludziach nie można, mógłby się kto wygadać, a nie godzi się obmawiać nikogo. Dobrze mówił ksiądz przeor, nieborak ledwie nie umarł na żółtaczkę i kazania nie mógł mieć na porcyunkulu. Cóż to tam była za ciżba! ja szczęściem przyszłam zawczasu i wzięła mnie z sobą do ławki pani łowczyna; gdyby nie ona, byliby mnie udusili. Ale bo też to po co te kościoły tak małe budują!

Rubasiewicz. Tara ta ta ta ta ta ta...

Rubasiewiczowa. O wsi tylko tara ta ta, a tu idzie o rzecz. A pamiętasz, moje serce, kiedyśmy to jeździli przeszłego roku do Łęczny? kiedyśmy w lesie zbłą-

dzili, a dla tego tylko, żeś waszeć słuchać mnie nie chciał. Widzisz waszeć, jak to dobrze czasem słuchać, a nie wyrywać się z tem swojem: tara ta ta! Kiedy waszeć gadasz o psach, ja nie przeszkadzam; dajże też mnie się waszeć choć raz w życiu nagadać.

Spokojski. Podobno wygodniej będzie w ogrodzie.

Rubasiewiczowa *(do Spokojskiej)*. Dobrze, idźmy! Mówię ja tedy pani Łowczynie: tu nie podobna wysiedzieć, pójdźmy ku zakrystyi; a ona... (*Odchodzi gadając*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

UCZCISZEWSKA, MARYANNA (*u krosienek*).

Uczciszewska. Nie płacz moja panno, jejmość to nie ze złości czyni, kocha ona waćpannę, a że jej dobra pragnie, musi czasem okazać ressentyment...

Maryanna. Gdybyć to czasem, ale sama widzisz, że codzień gorzej. Ile możności staram się o wszystko, coby tylko mogło się mojej matce podobać; nie mogę dogodzić. Nie zazdroszczę starszej siostrze, że ją jejmość kocha; warta jest tego ze swoich talentów; ale jeżeli ja ich nie mam, przynajmniej moja ochota, moja chęć, moje staranie, o dne były choć raz przynajmniej dobrego spojrzenia.

Uczciszewska. Zobaczysz, moja panno, że ci to kiedykolwiek na dobre wyjdzie; zbytnie pieszczoty rodziców psują dzieci.

Maryanna. Ale nienawiść dotkliwie boli...

Uczciszewska (*na stronie*). Biedne dziecię! (*Do Maryanny*). Jegomość ma tu przyjść mówić z waćpanną.

Maryanna (*z radością*). Jegomość? ach jakaż ja szczęśliwa!

Uczciszewska. Zapewne szczęśliwa, mając tak zacnych, godnych, przykładnych rodziców, którzy niczego nie żałują na edukacyę taką, jaka i płci i kondycyi waćpanny należą...

Maryanna. Zapewne, że jegomość...

Uczciszewska. Nie tylko to jegomość, ale i jejmość do tego się przykłada; nie trzeba między rodzicami czynić różnicy, bo to...

Maryanna. Ale bo to jegomość...

Uczciszewska. Jużem powiedziała, że jegomość i jejmość równie waćpannę kochają.

Maryanna. O co jegomość...

Uczciszewska. Oboje, moja panno, lubo to się w jejmości powierzchownie nie tak może wydaje jak w jegomości; affekt ich jest jednaki, i ma zapewne jejmość w tem racyę, że affektu swojego nadto widocznie pokazywać nie chce...

Maryanna. Dałby to Pan Bóg.

Uczciszewska. Nie trzeba wątpić; ale widzę, jegomość nadchodzi; przyjdę niezabawem.

SCENA II.

SPOKOJSKI, MARYANNA.

Spokojski. Jakże mi się masz, moje dziecię? gdzieś to była, żem cię jeszcze dziś nie widział?

Maryanna. Szyłam na krosienkach, bo mi nie kazano z pokoju wychodzić.

Spokojski. Któż ci to nie kazał?

Maryanna. Jejmość.

Spokojski. Czemużeś to nie wzięła sukien nowych?

Maryanna. Nie kazała jejmość.

Spokojski. To przynajmniej było się ufryzować.

Maryanna. Nie kazała jejmość.

Spokojski. Zapewne nie musiała wiedzieć jeszcze, że mają być goście.

Maryanna. Wiedziała jejmość, bo kazała się ubrać pannie Juliannie.

Spokojski. To i ty się także ubierzesz; będę ja mówił pani Ochmistrzyni.

Maryanna. Ale może jejmość będzie markotna.

Spokojski. Nie będzie, moje dziecko; dlatego się zapewne nie kazała ubrać rano, żebyś po obiedzie dopiero przyszła do kompanii, a rano tymczasem obróciła na lekcye.

Maryanna. Już lekcye odbyłam, ale...

Spokojski. Marysiu, czegóż to płaczesz?

Maryanna. Nie mości dobrodzieju, ja to tylko sobie, bo to...

Spokojski. Nie płacz, moje dziecię; cóż to wątpisz o tem, że ja cię kocham? Otrzyj oczy, żeby nie były czerwone; kiedy kawalerowie w domu, trzeba się jak najlepiej pokazać, a ty z zapuchłemi oczyma.

Maryanna. Jakże nie mają być zapuchłe, kiedy ja ustawicznie płakać muszę?

Spokojski. Ale bo ty sobie może roisz jakieś niepotrzebne imaginacye; poprzestań ich, ale bądź mi tylko wesoła *(ściska ją)*. Mówmy teraz o czem innem! cobyś

naprzykład rzekła, żebym ja ci powiedział, że mam dla ciebie kawalera grzecznego, pięknego, poczciwego, statecznego? A! waszeć się, widzę, uśmiechasz?

Maryanna. Nie mości dobrodzieju! Co mi tam po kawalerach!

Spokojski. Oj! nieszczerze to waszeć mówisz! Jakże ci się naprzykład podobają ci, których tu widziałaś?

Maryanna. Ja mało kogo widzę, a dopieroż...

Spokojski. No, dalej!... a dopieroż...

Maryanna. Zapewne, a dopiero tych, o których to waćpan dobrodziej mówiłeś.

Spokojski. Kogo?

Maryanna. Ale tych to ichmościów...

Spokojski. A gdybym ja się naprzykład pytał, a rodzicom trzeba zawsze szczerze odpowiadać, gdybym się ja naprzykład pytał, czy ci się Wiatrakowski podoba?

Maryanna. Mnie, mości dobrodzieju?

Spokojski. Zkądże to zadziwienie?

Maryanna. Ztąd, mości dobrodzieju, że to nie do mnie należy sądzić o...

Spokojski. Ale gdybym ja cię obligował, żebyś szczerze przedemną wynurzyła zdanie swoje...

Maryanna. Ale waćpan tego nie zechcesz wymagać.

Spokojski. A gdybym naprzykład chciał.

Maryanna. Natenczas musiałabym wykonać wolę rodzicielską.

Spokojski. A gdybym naprzykład chciał wiedzieć co sądzisz...

Maryanna. O kim, mości dobrodzieju?

Spokojski. A ta ciekawość zkąd?

Maryanna *(zmięszana)*. Bo... nie dosłyszałam.

Spokojski. Żebyś tedy lepiej słyszała, pytam się głośno, co sądzisz o panu Przystojnickim?

Maryanna. Ale... waćpan dobrodziej...

Spokojski. To: ale, nie jest odpowiedzią, moje dziecię; cóż tedy...?

Maryanna. Rozumiem, że waćpan dobrodziej...

Spokojski. I ja rozumiem, co to: ale, a bardziej co twój rumieniec znaczy. Moje dziecię, kawaler to jest taki, który godzien jest twego serca i mego wybrania; ale że w tak delikatnej okoliczności, od której dalszy twój los zawisł, nic bez twojej woli poczynać nie chcemy, chciałem pierwej wiedzieć, czy nie masz do niego jakiego wstrętu?

Maryanna. Mości dobrodzieju, mój wiek...

Spokojski. Twój wiek nie jest przeszkodą; w tym samym twoja matka była kiedyśmy się pobrali...

Maryanna. Wola rodziców będzie i jest wszystkich moich akcyj...

Spokojski. Dobrze, moja panno, już ja rozumiem co to znaczy, nie masz widzę do nikogo wstrętu, a podobno...

Maryanna. Co, mości dobrodzieju?

Spokojski. Oto podobno, że ci nie jest obojętny, albo raczej...

Maryanna. Ja, mości dobrodzieju?

Spokojski. Tak jest, ty sama, moje dziecię; miejże to u siebie, com z tobą mówił, spuść się na mnie, będzie wszystko dobrze, a teraz niech tu przyjdzie pani Uczciszewska, *(Maryanna odchodzi)*.

SCENA III.

SPOKOJSKI *(sam)*.

Chwała Panu Bogu, że widzę, iż się stanie to, co ja zamyślam. Godne jest najlepszego postanowienia to dobre

dziecię, wycierpiała się nieboga dosyć, ale jej cierpliwość Pan Bóg nagrodzi. Otóż widzę, pani Uczciszewska.

SCENA IV.

SPOKOJSKI, UCZCISZEWSKA.

Spokojski. Gdzie jest jejmość i Julianna?

Uczciszewska. Ach, mości dobrodzieju, żebyś waćpan wiedział, co tam ta pani Lubska wyrabia. Roztasowała się w pokoju u panny Julianny, posadziła się w gotowalni i powiada, że ją stroi do ślubu. Poprzypinała na głowie jakieś czuby niezwyczajne, przymusiła jejmość, że ją pozwoliła umalować, nakładła na głowę całe pudło strusich piór, ja nie wiem czy się w te drzwi zmieści.

Spokojski. A jejmość co na to?

Uczciszewska. Znać-ci, że nie bardzo kontenta, ale jak tylko panna Julianna powiedziała, że jej do twarzy, jejmość umilkła i siedzi w kącie, a tymczasem pan Wiatrakowski rezonuje przy gotowalni, pan Żartuliński wiersze prawi, pan Uśmiechiewicz potakuje, a pani Lubska krząta się, na głowie coraz to co nowego przypnie, żelazkiem po skroniach piecze, śmieje się ustawicznie; ja nie wiem jak się to skończy. Ale, mości dobrodzieju, jakem tu szła, znalazłam list; charakter widzę pana Wiatrakowskiego, a podpis do pani Lubskiej; kto wie czy tam się waćpan dobrodziej czego nie doczytasz, mnie się wszystko zdaje, że ci ichmość i ta pani Lubska...

Spokojski. Daj go waćpani. (*Bierze list. Uczciszewska odchodzi*).

SCENA V.

Spokojski (*czyta; przeczytawszy list*). Czy Pan Bóg natchnął tę staruszkę, gdy ten list przyniosła? Zda się on tu, ale widzę...

SCENA VI.

SPOKOJSKI, SPOKOJSKA.

Spokojski. Cóż to? widzę, Marysia nie ubrana; jakże się gościom pokaże?

Spokojska. Niech się ona uczy, jeszcze zbyt młoda, żeby się miała ustawicznie z gośćmi bawić.

Spokojski. Już też to minął czas nauki; proszę waćpani, każ jej przyjść; choćby też co i opóźniła w nauce, nagrodzi to potem.

Spokojska. Ale bo to się tem zbytniem pobłażaniem dzieci psują.

Spokojski. Na ten jeden raz nie popsuje, a proszę bardzo, żeby to dla mnie uczynić.

Spokojska. Ale już nie czas będzie! Nim się ubierze... każę jednak, żeby ją ubrano. Ale kiedyśmy tu sami, muszę waćpanu powiedzieć, iż pani Lubska, jako krewna pana Wiatrakowskiego, prosi i bardzo nagli, żeby już dać temu kawalerowi deklaracyą Julisi. Kawaler to zacny, grzeczny, majętny, jak mi sama pani Lubska powiadała; ma znaczne dobra, jedne w Litwie, a drugie w Prusiech, trzecie na Ukrainie, i prócz tego spodziewa się znacznej sukcessyi w Wielkopolsce. Wyrozumiałam z Julisi, że ma do niego serce; na cóż zwłóczyć? dajmy deklaracyą i naznaczmy dzień ślubu.

Spokojski. Bardzo dobrze, gdy się razem zejdziemy, może to się stać, ale pierwej...

Spokojska. Cóż pierwej?

Spokojski. Trzeba będzie odpowiedzieć panu Przystojnickiemu, albo go się przynajmniej politycznie z domu pozbyć. Nie przystoi w jego przytomności...

Spokojska. Ja mu każę bez ogródki powiedzieć...
Spokojski. Już ja to sam uczynię.

SCENA VII.

CIŻ SAMI, LUBSKA, JULIANNA, WIATRAKOWSKI.

Lubska *(do Spokojskiego)*. A cóż? poznasz waćpan tę damę?

Spokojski *(z zadziwieniem)*. Zapewne byłoby mi bardzo trudno.

Lubska. Właśnie teraz ubrana jak do ślubu.

Spokojski. Jak do ślubu...

Lubska. Cóż to? waćpan zadziwiony? Jeżeli więc nie tak, jak do ślubu, przynajmniej jak do zaręczyn! Panie Wiatrakowski! do nóg!

Spokojski. Zatrzymaj się waćpan! Wszystko co czynię, czynić zwykłem jawnie. O intencyi waćpana zawiadomiony jestem, o mojej waćpau się dowiesz, ale w przytomności tych wszystkich, do których to będzie należało, i których chcę uczynić uczestnikami i aktu, i wszystkich nawet poprzedzających okoliczności.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, RUBASIEWICZ, RUBASIEWICZOWA, PRZYSTOJNICKI.

Rubasiewicz. Cóż to? widzę pana Jędrzeja! A dalibóg ci to ślub, a ksiądz gdzie? Panie Przystojnicki nieboraku! a waszeci widzę grochowy wieniec?

Spokojski. Jeszcze to nie ślub; niech tu przyjdzie młodsza moja córka.

Spokojska *(do ucha)*. Ale nie ubrana jeszcze.

Spokojski *(seryo, wynioślejszym głosem).* Niech przyjdzie! ja każę!

Spokojska *(sama).* Cóż to jest takiego? jeszcze w życiu mojem nie słyszałam go mówiącego takim tonem.

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, MARYANNA, UCZCISZEWSKA.

Spokojski *(do Lubskiej).* Pytałaś mi się waćpani dobrodziejka, czy mi się podoba mojej córki fryzura; uznaję, że modna, ale bardzo szacuję papiloty...

Lubska. A do czegoż te papiloty?

Spokojski. Zdadzą się na to i na więcej, niżeli się kto ma spodziewać. Mościpanie Wiatrakowski, waćpan poznasz swój charakter?

Wiatrakowski. A któżby swojego charakteru nie znał?

Lubska. Ja nie wiem, co waćpana pytania znaczą? papiloty... charakter...

Spokojski. Proszę więc trochę cierpliwości *(wyjmuje z zanadrza list).*

Lubska. Rozumiem teraz to wszystko. Panie Wiatrakowski! daj mi rękę, pójdźmy! Kłaniam...

Wiatrakowski. Ale mościa dobrodziejko...

Lubska. Idź waszeć, a nie pytaj. *(Odchodzą).*

Spokojska *(z zadziwieniem).* Cóż to znaczy, mości panie? I te waćpana pytania, i odejście pani Lubskiej, ja tego wszystkiego nie pojmuję.

Rubasiewiczowa. I ja tego nie pojmuję. To właśnie tak jak na obłóczynach panny podczaszanki. My tu do kościoła, a panny nie masz; szukaj panny, a panna... ale też to wtenczas prawdziwie sama pani podczaszyna, —

— jam jej jeszcze na dwie niedziele przedtem mówiła. kiedyśmy byli na chrzcinach u pani Grójskiej, — — i ta też pani Grójska i miałaby z czego, a jednakowo tak mieszka, jak nieboszczyk pan Ciurski, co to i dach ze słomy...

Spokojski. Ale mościa dobrodziejko, racz waćpani poradzić...

Rubasiewiczowa. Dobrze, całem sercem, ale jabym chciała wiedzieć, co to wszystko znaczy? jak to? dlaczego to? jakim to sposobem? na jaki koniec? i dla jakowych przyczyn, intryg?....

Spokojski. Ale dowiesz się waćpani (*wyjmuje list*). Ten list miał być obrócony na papiloty modnej fryzury mojej córki starszej; jest zaś pisany od imćpana Wiatrakowskiego do imćpani Lubskiej wtenczas, kiedy nam uczynił honor być tu pierwszy raz w domu naszym. Jest zaś takowy....

Rubasiewiczowa. To ciekawy będzie list! Nie masz nic ciekawszego nad cudze listy, a osobliwie z Warszawy; zapewne to w tym liście będą wyborne ekspressye, styl gładki, jak to zwyczajnie w Warszawie i mówią i piszą, tak jest w Warszawie i mówią... Pan Szłapacki, kiedy jechał do Warszawy po patent dla woźnego, tak, dla woźnego...

Spokojski. Ale mościa dobrodziejko, proszę o moment cierpliwości, list ten..

Rubasiewiczowa. Tak jest list ten z Warszawy; bardzo prosimy, żeby go nam przeczytać. To aż miło czytać listy z Warszawy — — i pani Cniehecka, co to z domu...

Spokojski. To waćpani nie chcesz, żebym ten list czytał?

Rubasiewiczowa. I owszem, proszę, obliguję.

Rubasiewicz. A przeszkadzasz waćpani żeby go czytano. Ta ra ta, ta ra ta...

Rubasiewiczowa. Otże znowu ta ra ta, ta ra ta! Jużem waszeci powiedziała, że ja tego nie lubię, że mnie waćpan prześladujesz, a pamiętasz?...

Rubasiewicz. Pamiętam, pamiętam, ale dajmy moment imćpanu Spokojskiemu, niech list przeczyta.

Spokojski. List więc takowy...

Rubasiewiczowa (*porywa się z miejsca; mąż jej gębę zatyka*). Ale przynajmniej... no! to już nic nie powiem.

Rubasiewicz. Brawo!

Spokojski (*czyta*). *Przyjechałem tu, pani moja, jak na wygnanie,* — to pochwała naszego domu; *imćpan Spokojski MW. mościwy pan zdałby się za odźwiernego do króla Leszka,* — to początek mojego panegiryku. *Jest to zwierzę rzadkie, a że doskonale zna różnicę między hreczką a tatarką, uchodzi za mędrca w całej okolicy. Imćpani Spokojska, matrona godna froncymeru królowej Wandy.*

Spokojska. A cóż to za niegodziwy człowiek!

Spokojski. Poczekaj waćpani, dopiero to początek (*czyta dalej*). *Imćpani Spokojska, matrona...*

Spokojska. Przestań waćpan ten paszkwil...

Spokojski. Nie, moja panno, trzeba żebyś waćpani do końca dowiedziała się o takowej imćpana Wiatrakowskiego definicyi. *Imćpani Spokojska, matrona godna froncymeru królowej Wandy, staroświeckie swoje wdzięki przymila wspaniałością umysłu, którą nieprzyjaciele jejmości, a bardziej zazdrośni jej fantazyi, nazywają jedni dziwactwem, a drudzy głupstwem; zostawcie potomnym wiekom decydowanie tak wielkiej kwestyi; a teraz zwracam pióro na uwielbienie imćpanny Spokojskiej starszej...*

Spokojska. Przecież, widzę, Julisi krzywdy nie czyni?

Spokojski. Proszę czekać końca. *(Czyta dalej:) Perła ta Uryańska parafii swojej (a niektórzy nie widzą, że i sąsiedzkiej) perła ta, mówię, jest to zbiór tego wszystkiego, cokolwiek w sobie mieć może najniewcześniejszego niezgrabność wiejska, złączona z małpiem naśladowaniem miejskiej grzeczności....*

Julianna *(do matki).* Mościa dobrodziejko, mnie słabo, pójdę.

Spokojska. Wstań waszeć, można będzie zemdleć po przeczytaniu.

Spokojski. *Miałem honor zyskać jej łaskawą approbacyą, i już teraz wierny Koloander, jestem pewien serca Leonildy. Śmiejesz się waćpani, i ja się śmieję; ale nie śmiech to, że jest wieś jedna, druga i trzecia, sumki na prowizyi, podobno po dwadzieścia od sta,* (dziękuję za dobrą opinią) *będzie czem szumieć.* P. S. *Obiecałem, że uczynię dożywocie przyszłej małżonce na wszystkich dobrach moich litewskich, ruskich, pruskich, mazowieckich, etc. Przyjeżdżaj-że moja pani, a dokończ tak pięknej komedyi, ale zmiłuj się, nie śmiej się mi w oczy! (Do żony).* Teraz tedy na żądanie waćpani za p. Wiatrakowskiego, zgadzam się zupełnie z wolą waćpani.

Spokojska. Ja? żebym córkę dała za tego zdrajcę! oszusta!

Spokojski. Moderuj się waćpani, jest teraz imćpan Przystojnicki, który...

Spokojska. Zawżdym ja szacowała przymioty jegomościne i nie jestem sprzeczna.

Spokojski. Approbujesz więc waćpani jegomościne kroki?

Spokojska. Bynajmniej się nie sprzeciwiam.

Spokojski. Dajesz błogosławieństwo swoje przyszłemu małżeństwu?

Spokojska. Całem sercem.

Spokojski. I ja moje łączę; Marysiu, przystąp waszeć.

Spokojska. A to zaś co?

Spokojski. Zrażony dziwactwem starszej, imćpan Przystojnicki do młodszej się determinował; tej sentymenta nie są mu sprzeczne, i waćpani nie bądź przeciwną żądaniom jego.

Przystojnicki *(jej do nóg pada).*

Spokojska. Niechże tak będzie!

Spokojski *(do Julianny).* A waszeć, mościa panno Julianno, pójdź teraz do krosienek; dosyć się już Marysia nahaftowała.

PIENIACZ.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

Anzelm.
Eleonora, córka Anzelma.
Arysł, brat Anzelma.
Repertowicz, plenipotent.
Leander, kawaler Konstancyi.
Kondemnacki, patron.
Rozalia, sługa Eleonory.
Figlacki, sługa Leandra.
Tubalski, woźny, sługa Anzelma.

Scena w domu Anzelma.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

ANZELM (*pisze*).

Jak też to w sprawiedliwości nie można dociekać. Siedziałem w Piotrkowie od Reassumpcyi aż do Adwentu, w Lublinie od Reminiscere aż do św. Małgorzaty, i cze-

gożem się doczekał? Na pani Prawnickiej kondemnata, z sukcessorami nieboszczyka Pieniackiego kondescencya, z panią Czubską kompromis (i ten nie doszedł), z kredytorami Rozproszyńskiego sprawa oczywista, jasna jak słońce, wpis nie doszedł, a był ośmnasty z góry; a jeszcze dla większego bezpieczeństwa i niżej był czterdziesty trzeci i niżej był siedemdziesiąty ósmy, i jeszcze niżej setny czternasty, i jeszcze niżej...

SCENA II.

ANZELM, REPERTOWICZ.

Anzelm. Cóż tam słychać, panie Repertowicz?

Repertowicz. Nie bardzo dobrze, mości dobrodzieju, odebrałem listy z Lublina.

Anzelm. Cóż tam piszą?

Repertowicz. Oto pani Czubska zjechała na takty.

Anzelm. To nie dobrze, mości panie, zmiłuj się waść, napisz do pana Kondemnackiego, żeby interesu dopilnował; ja tymczasem przez umyślnego poślę listy rekomendacyalne.

Repertowicz. Dobreć one, ale wymowniejszych nam sposobów trzeba.

Anzelm. Rozumiem, będzie wszystko. A jakżeby to, mości panie, zabiedz, żeby ten wpis nie doszedł?

Repertowicz. Sąć, i rozmaite; dał pan już informacyą patronom zapewne; będzie między papierami podobno w fascykule pod literą P.

Anzelm. Prawda, jest też podobno pod literą JL.

Repertowicz. Lepiejby to było, gdybyś sam waćpan pojechał, oko pańskie lepiej zawżdy dostrzeże, a pan wie, jak to pani Czubska umie interesu dopilnować, poprzeć, etc. etc.

Anzelm. Jużci się znamy z jejmością od lat dwudziestu dwóch; dała mi się nieraz we znaki, ale i jam też za swoje oddał, i teraz mospanie taki mam na nią sposób, co zapewne mi się uda.

Repertowicz. Zapewne będzie doskonały; z tem wszystkiem powtarzam, com powiedział, iż bytność waćpana dobrodzieja wielce by była przydatna.

Anzelm. Wiem-ci ja o tem, ale jak to uczynić, kiedy już następuje termin kondescencyi granicznych z p. Podwojewodzym, a trzeba też nam pomyśleć o tradycyi sukcessorów nieboszczyka Biedackiego?

Repertowicz. Prawda, przepomniałem był; a właśnie dobra będzie pora, opiekunowie daleko, a wieś i dobra i ogranice.

Anzelm. To szkoda, mości panie, że ten Biedacki umarł; jużem go był w trybunale tak dobrze przycisnął procesem, iżby był i tanio wieś sprzedał; teraz dzieci niedorosłe, nie wiedzieć kiedy się będzie można donacyi doczekać, i dlategoć lepiej się pośpieszyć z zajazdem i zawczasu rozgospodarować NB. od młodych.

Repertowicz. Sprawiedliwa refleksya. Ale i to byłoby dobrze, żeby jakim sposobem wyciągnąć od dzieci swego czasu submissio ad resignandum.

Anzelm. Jużem ja tam posłał woźnego.

Repertowicz. Którego?

Anzelm. Tubalskiego.

Repertowicz. Tubalskiego?

Anzelm. A cóż to waści dziwi, żem ja go woźnym zrobił? Nie nadał mi się Łukasz, co go zabiło na zajeździe, bo też był pijak; prawda, że to zabójstwo wiele nam sprawę poparło, ale jednakowo szkoda człowieka. Krzysztof nie był sprawny; ostatnią razą posłałem go z pozwem, a on

pozew zgubił, a i głosu też nie miał, a tu jednakowo trzeba, aby wszyscy woźnego słuchali, kiedy krzyczy, a szkoda mówić, nie wiem czy w całej Polsce można dobrać krzykliwszego jak Tubalski. Posłałem go tedy z p. vicesgerentem, i co moment się go spodziewam z relacyą zajazdu, a posessyą będzie wysiadywał mój synowiec na fundamencie specyalnej plenipotencyi mojej, a którąm zapisał feria secunda post festum Vitti et Modesti.

Repertowicz. Przypominam ją sobie mości dobrodzieju, ale mi się zdaje, iż w niej była jedna klauzula.

SCENA II.

CIŻ SAMI, TUBALSKI (*z głową zawiązaną*).

Anzelm (*zadziwiony*). A to co?

Tubalski. Ale, a to co? Na waćpanu ten papier! ja nie chcę tego, co za to biją!

Anzelm. Któż cię to pobił?

Tubalski. Kto pobił? Oto ten pobił, kto pobił, a ja za to odpowiadam.

Anzelm. Ale przecie?

Tubalski. Tak jest przecie! dobrze się to pytać, kiedy nie boli.

Anzelm. Mówże kto? Co? Jak?

Tubalski. Ludzie, tu, tak!

Anzelm. Cierpże, kiedyś głupi.

Tubalski. To piękna nagroda! głupi żem wziął od waćpana ten nieszczęśliwy papier, co to za niego biją. Wziąłeś go waćpan, i poprzysięgam, żebyś mi go złotem obsypał, już go nie wezmę!

Anzelm. Już nie bój się, nie dam ci go więcej; ale powiedz, kto cię pobił i jak się to stało?

Tubalski. Oto tak się stało. Kazałeś mi waćpan jechać na zajazd z p. vicesgerentem; on wsiadł na wózek, ja na konia. Ja i nie wiedziałem co to ten zajazd, bo przysięgam Panu Bogu, żebym był nigdy na niego nie pojechał, gdybym był wiedział, że się tam biją. To nie dobrze, mości panie, bić się, i nasz to pleban...

Anzelm. Co mi tam prawisz! mów co się stało tam, gdziem cię posłał.

Tubalski. Przyjechaliśmy na samo miejsce. Ja patrzę mospanie z góry, a tam we dworze ludzi pełno. Myślę sobie: pewno wesele, chwała Bogu ucieszym się. Przyjeżdżamy przed wrota, a wrota zamknięte. Ja mówię do vicesgerenta: — Mości panie, wróćmy się, bo nam tu nie radzi. — A on mi kazał krzyczeć przed wrota to, co na karcie napisał. Jam rozumiał, że jak zacznę krzyczeć, to mi wrota otworzą. Nuż ja krzyczeć, aż tu jak się razem otworzą wrota, jak wypadną z nich z kijami, z cepami, z postronkami. Pan vicesgerent z wózka, ja w nogi! oni za mną; jak mnie złapią, jak mnie położą....

Anzelm. A pan vicesgerent?

Tubalski. Gdzie ja tam patrzał, co się z nim dzieje! to szczęście, żem tchu w sobie zatаił, wziąłem mości panie kijów, postronków, lepów....

Anzelm. Ale gdzież się podział p. vicesgerent?

Tubalski. Gdzie się podział? tam się podział; to jeszcze szczęście, że ja żyję.

Anzelm. Jakżeś uciekł?

Tubalski. Uciekł? Jak bili tak bili, na końcu podobno im się uprzykrzyło i poszli precz.

Anzelm. A ty?

Tubalski. A ja? leżałem aż do zmroku. Patrzę, jak już było ciemno, aż tu widzę, że odeszli; dopiero mości

panie, cichusieńko, pomalusieńku, chyłkiem, chyłkiem przyczołgałem się aż do krzaczków...

Anzelm. A ztamtąd?

Tubalski. Widząc, że już nikt się nie rusza, jak się kopnę...

Anzelm. Gdzie?

Tubalski. Już ci nie gdzie indziej, tylko... Ale, mości panie, poprzysięgam, że już tym woźnym żadnym żywym sposobem być nie chcę! Mości panie, czem kogo Pan Bóg stworzył, tem być powinien; ja kucharz a nie woźny, uczciwszy uszy.

Anzelm. Gadasz jak głupi; idź precz!

Tubalski. Głupi? oj nie głupi! Miej sobie waćpan innych od kijów i postronków.

Anzelm. A cóż to takiego? *(Do kija się porywa. Tubalski ucieka).*

SCENA IV.

ANZELM, REPERTOWICZ.

Anzelm. Mości panie Repertowiczu, okoliczność ta jak się waćpanu zdaje?

Repertowicz. Nieźle, mości dobrodzieju! nieźle! do sprawy prawnej, sprawa uczynkowa. Ad causam juris causa facti. Dwojaki aktorat. Zagramy z taktów.

Anzelm. Tak jest z taktów; będzie obdukcya, mości panie.

Repertowicz. Tak jest, mości dobrodzieju, obdukcya. A gdyby poranienie było przyczyną śmierci, jeszcze lepiej.

Anzelm. Słuchaj-no waść, szkoda kucharza.

Repertowicz. Niechże i żyje; ale się mości dobrodzieju trzeba pośpieszyć, póki się rany nie zagoją. A sprowadzić pendum in lite.

Anzelm. Kogo?

Repertowicz. Cyrulika, coby wyemikleował srogość blizn zadanych, uczynił wizyą sińców, guzów, ran, znaków, potłuczenia, naruszenia, uszkodzenia, wyrwania, zarwania, przerwania, etc.

Anzelm. Dobrze, mości dobrodzieju, ale nie mamy peritum.

Repertowicz. Jakto nie mamy peritum? w potrzebie musi się znaleźć! sprowadzić, mości dobrodzieju, sprowadzić!

Anzelm. Ale koszt?

Repertowicz. Fraszka. Bylebyśmy dowiedli (co jest essencyalne), iż niniejsze potłuczenie, naruszenie było szkodliwe, dotkliwe, bolesne, znaczne, niebezpieczne; uczynione gwałtownie, złośliwie, nielitościwie, a, co basis et fundamentum, rozmyślnie.

Anzelm. Ale p. vicesgerent?

Repertowicz. Każdy stan ma swoje niebezpieczeństwa, ale też ma swoje wdzięki. Tradycya, nieszpetny to akcydens, a gdy (jak to naprzykład teraz) któremu z prawnych, sądowych i jurysdycznych coś podobnego (quod Deus avertat) stanie się, natenczas, mości dobrodzieju, dwoisty aktorat, i temu co zażywał i temu co zażyty.

Anzelm. Ale sińce bolą.

Repertowicz. Rany takowe bolesne prawda, ale zyskowne, a choćby i zysku nie było, jak żołnierz z szwanku chwałę, urzędnik z sińców zaszczyt odbiera.

Anzelm. A jabym się bez tego honoru obszedł.

Repertowicz. Nie masz złego, mości dobrodzieju, żeby na dobre nie wyszło; tak naprzykład, jak się stało naszemu imépanu sędziemu Grodzickiemu: wypadł był,

trzeba o tem wiedzieć, mości dobrodzieju, już dekret trybunalski w sprawie owej sławnej...

SCENA V.

CIŻ SAMI, ARYST.

Aryst. Zastaję, waszmości panie bracie, podobno zatrudnionego interesami?

Anzelm. Któż ich nie ma, mój panie bracie? Jak to mówią: kto ma wieś ma i prawo.

Aryst. Mam-ci i ja wieś, a prawa nie mam.

Anzelm. To szczęście osobliwsze.

Repertowicz. Mości dobrodzieju, a ów proces 1576?

Aryst. Ja o nim nie wiem.

Repertowicz. Ale ja wiem. Kwerendując w księgach grodzkich latycieńskich.

Aryst. Cóżeś tam waćpan wykwerendował?

Repertowicz. Działo się to z rozkazu waćpana dobrodzieja w sprawie owej, którą to waćpan dobrodziej miał z nieboszczykiem ś. p. panem podkomorzym. Kwerendując tedy w archiwum tamtejszem, między staremi księgami znalazłem...

Aryst. Mój dobrodzieju, kiedy waść masz znachodzić, znachodź że waść dobre rzeczy, a nie preteksty do pieniactwa, co to fortuny szlacheckie gubią.

Anzelm. Ale mości panie bracie, dajże mu waćpan...

Aryst. Ja nie chcę wiedzieć o tych szpargałach. A mnie co do tego, co czyniono przed dwoma wiekami?

Repertowicz. Wiele na tem zależy, bo bezpieczeństwo substancyi...

Aryst. Największe, mości panie, kiedy kto na swoim kawałku spokojnie siedzi.

Repertowicz. Ale, mości dobrodzieju, praejudicatum anni 1739...

Aryst. Czy książąt czy nie książąt, mnie nic do tego, co mam, to mam, cudzego nie pragnę, swojego nie dam. To mój statut Ładowski, to mój Herburt, o innych nie wiem, ani wiedzieć chcę.

Repertowicz. Ale bo to...

Aryst. Ale bo nie to, bo to dyssertacye; teraz proszę nas tu samych zostawić, bo mam się rozmówić z moim bratem. (*Repertowicz odchodzi*).

SCENA VI.

ANZELM, ARYST.

Anzelm. Cóż to mi waćpan masz powiedzieć?

Aryst. Wiele. A najprzód, mój bracie kochany, czyby to nie można zacząć od wypędzenia, albo raczej od grzecznego zbycia się pana Repertowicza?

Anzelm. A za co?

Aryst. Oto za to, że on waćpana, jak mi się zdaje, wprawia rozmyślnie w ewolucye prawne.

Anzelm. Ach mój bracie, jak to się można mylić, lekko sądząc o ludziach. Ten sam Repertowicz, którego waćpan sądzisz być pieniakiem, ten sam mówię, oszczędził mi nieskończoną moc interesów, trudnych, zawikłanych, takich, jednem słowem, któreby mnie zgubiły.

Aryst. To cud w juryście. Ale czy się waćpan nie uwodzisz pozornością jakową? albo też przez punkt honoru jaki żywy bronisz go, choć może sam wiesz, iż ja prawdę mówię?

Anzelm. Co czynię, czynię nie z przeświadczenia, nie z predylekcyi, ale z prawdy oczywistej.

Aryst. Niechże i tak będzie! potem się o tem rozmówimy. Teraz pozwól mi waćpan, żebym mu przełożył interes, do którego jestem zażyty.

Anzelm. Jakiż to?

Aryst. Oto trafia się dla córki waćpana partya dobra.

Anzelm. Któż?

Aryst. Jakbyś waćpan o tem nie wiedział?

Anzelm. Mości panie bracie, moja córka jedynaczka; na kawalerach jej nie zbywa. Wiem o wielu.

Aryst. Żebyś się więc waćpan na domyślaniu nie zastanawiał, powiem waćpanu wręcz, iż ten kawaler uczciwy, przystojny, majętny, znajomy mi dobrze, a podobno i waćpanu, Leander...

Anzelm. Miałem honor widzieć jegomości...

Aryst. A cóż to za honor dla waćpana widzieć go?

Anzelm. To wyraz polityki.

Aryst. Albo to my na publice? Cóżkolwiek bądź, jeśli moja rada co waży, życzyłbym Konstancyą za niego wydać.

Anzelm. Interes to nader delikatny, potrzebuje uwagi pilnej, roztrząśnienia bacznego, konsyderacyi znamienitej.

Aryst. Uważajże waćpan, roztrząsaj, konsyderuj i pilnie, i bacznie, i znamienicie, a ja rezolucyi czekam. *(Odchodzi).*

Anzelm. Ale nie odchodź-że waćpan.

Aryst. Konsyderuj waćpan.

Anzelm. Ale obydwaj razem.

Aryst. Nie potrzeba tu sekundanta.

Anzelm. Wspólne uwagi, refleksye.

Aryst. Po co tu tych korowodów? Podoba się, daj mu córkę; nie podoba, daj inszemu, albo i nikomu nie daj. Kłaniam. *(Odchodzi).*

SCENA VII.

ANZELM (*sam*).

Cóż to ten za mój pan brat, ani da czasu do myślenia, ani do odpowiedzi; wszystko bierze tak żwawie, tak gorąco, tak gwałtownie, ja nie wiem jak on może swojemi interesami dyrygować, kiedy cudze tak po hajdamacku traktuje. Cóż, czy mi trzeba znosić jego prędkość? Serce jego dobre. A do tego i niemłody, i żony nie ma, substancya piękna, a sukcessya na moją córkę spada; ale co to jest za proces o którym Repertowicz wspominał, znaleziony w grodzie Latycińskim, jeżeli się nie mylę anno 1542? Trzeba tu będzie w to wejrzyć, a seryo, żeby jakiego podstępu nie było. Jest tam kto? Jest tam kto? Tubalewicz!

SCENA VIII.

ANZELM, JADWIGA.

Jadwiga. Czego waćpan dobrodziej potrzebujesz?

Anzelm. A jest tam Tubalewicz?

Jadwiga. Oj mości dobrodzieju, on nieborak ranny okrutnie, leży...

Anzelm. A dopiero był u mnie?

Jadwiga. Jak powracał od waćpana dobrodzieja, jam go spotkała; powiedziałam mu, dobry dzień; ani mi się ukłonił, ani mi dobrego słowa powiedział. Zdziwiłam się mocno, potem pytałam się go, dlaczego ma głowę zawiązaną? i tu mi nie odpowiedział, ale prosto poszedł do czeladnej izby. Jam tam poszła i widziałam, że się na łóżko położył.

Anzelm. I nie gadał z tobą?

Jadwiga. Jemu podobno coś mowę odjęło, czy go

kto oczarował, czy co takiego! Jam chciała do niego gadać, a on się obrócił na drugą stronę.

Anzelm. I cóż potem uczynił?

Jadwiga. Zasnął.

Anzelm. Dobra noc. Nie będzie mu nic. A gdzie twoja pani?

Jadwiga. U siebie.

Anzelm. Co robi?

Jadwiga. Gada.

Anzelm. Z kim?

Jadwiga. Z panem stryjem.

Anzelm. Nie masz tam więcej nikogo?

Jadwiga. Sami tylko.

Anzelm. O czemże to oni gadają?

Jadwiga. Jakże ja mam wiedzieć, kiedy mi kazali pójść precz.

Anzelm. Pójdź-że i ztąd, a pilnuj pani. *(Odchodzi).*

SCENA IX.

ANZELM (*sam*).

Pójdę ja do nich; te rozmowy nie bardzo mi się podobają. Moja córka powolna, ale ją stryj łatwo może na swój sposób myślenia nakłonić. Prawda, że sukcesya; ale cóż to po tem, jeśli ten proces 1542 nie jest zagodzony?

AKT DRUGI.

SCENA I.

LEANDER, FIGLACKI.

Figlacki. A wiele to my mil w tym miesiącu ujechali?

Leander. I to mało.

Figlacki. Jak to mało, ja już ledwo na nogach stoję.

Leander. Znoś pracę, mój kochany, potrafię ja ją nagrodzić.

Figlacki. Choćby i tej nadziei nie było, z samego przywiązania... ale na cóż się te fatygi zdadzą — kiedy...

Leander. Kto wie, może się los nademną zlituje.

Figlacki. Co nam do losu? niech-no się tylko Anzelm zmiłuje, to wszystko będzie dobrze. Bo inaczej, mości panie, choć ja waćpana kocham i całem sercem kocham, przysięgam, że nie wytrzymam.

Leander. Takie to twoje przywiązanie.

Figlacki. Już nikt panu nademnie nie może być wierniejszym, ale zważ waćpan, jaka to nieszczęśliwa kondycya służyć u pana, który się kocha.

Leander. Kiedy pan cierpi...

Figlacki. To i słudze bieda. Wiem ja o tem. Ale czyby to waćpanu nie można jakiego sposobu wynaleźć, żebyś waćpan nie cierpiał?

Leander. Ach mój kochany, któż to potrafi?

Figlacki. Rozum, obrót, sztuka, frantowstwo, dzielność, rezon, fantazya, przemysł, odwaga...

Leander. Nadto to w jednym....

Figlacki. Bo sobie waćpan nadto nie dowierzasz. Mościpanie, nie u jednego ja pana służył. Wiem ja, jak to rzeczy idą; więc waćpan nie wzdychaj tak często, i żwawiej się zakrzątnij, a zobaczysz, jak rzeczy pójdą...

Leander. Snadno tak mówić, kto ma myśl wolną.

Figlacki. A czemuż nie waćpanu...

Leander. Nie znasz bracie, co jest szczere i uczciwe przywiązanie. Nieśmiałe jest, trwożliwe, pełne respektu, pełne względów, cierpi a cierpienia oświadczyć nie śmie, własnej woli nie ma, czułości jest ofiarą.

Figlacki. To może w książkach. Na jawie, mości panie, nie tak rzeczy idą. Co mi to za kochanie, wzdychać, płakać, trudzić się! jabym się wolał gniewać, niż tak kochać. Ale wracam się do mego dyskursu: Jużeśmy i konie zajeździli, i pojazdy zepsuli, waćpan wyschłeś jak szczapa, ja chudy jak chrząszcz. Cóż to z tego będzie? chcesz waćpan żebyśmy obydwa zostali nieboszczykami? Ja lubię żyć, mościpanie! Waćpana kocham, ale, proszę wybaczyć, siebie bardziej. A do tego, mościpanie, jest to dawne przysłowie: zła miłość o głodzie; wolno waćpanu nie jeść, a ja i nie kocham się i jeść mi się chce.

Leander. Cóż to się ty takiemi fraszkami zatrudniasz?

Figlacki. Piękne to fraszki, głód mieć. Żeby więc ustrzedz (nie mowię już słabości, choroby), ale nakoniec śmierci, bo się na to widzę na seryo zanosi, mam honor przypomnieć waćpanu dobrodziejowi, iż od tego czasu jak się kochamy, a kochamy się już blizko od pół roku, jam nie wziął ani strawnych, ani suche dni, ani bawy. I tylem tylko u waćpana, jeżeli mnie pamięć nie myli, zawarł, żem wziął dwa razy pięścią w pysk, nie rachując kuksów

i szturchańców, których liczba czy do pary, czy nie do pary, już tego nie wiem, ale to wiem, że wcale piękna.

Leander. Wybacz, mój kochany, niecierpliwości mojej; nie ja to czasem wydziwiam, ale moja rozpacz.

Figlacki. Mój mości dobrodzieju, powiedz-że waćpan tej swojej rozpaczy, żeby ona nie była tak rozrzutna dla mnie. A jeżeli jej się chce zadziwiać, niechże ona sobie albo kogo innego wybierze, albo się mści nad samym waćpanem.

Leander. Dość już ona nademną przewodzi.

Figlacki. Widzęć ja ją po waćpana fantazyi. Miły Boże, jaka to różnica tego coś waćpan był przedtem, a co teraz! Oj mości panie, jeśli to jest kochać, przysięgam, że się nigdy w życiu kochać nie będę.

Leander. Ma miłość gorycze, ale wdzięki, ale słodycz...

Figlacki. Niechże tam sobie będą jakie chcą, a ja, wracając się do mego dyskursu...

Leander. Przestań bracie, a wspomóż mnie.

Figlacki. Jużem powiedział, że i szeląga nie mam.

Leander. A któż cię o pieniądze prosi?

Figlacki. Jeśli nie waćpan mnie, to ja waćpana. Dajże waćpan co na rękę, a zobaczysz, że i dobra rada do razu przyjdzie.

Leander (*daje mu worek*).

Figlacki. Wieleż wziąść?

Leander. Bierz wszystko.

Figlacki (*płacze*). Ach mości dobrodzieju, serce mi waćpan rozrzewniasz... Jak to, mości dobrodzieju? mam wziąść wszystko?

Leander. Bierz.

Figlacki. Jużci worek przynajmniej waćpan zachowaj.

Leander. Bierz i z workiem.

Figlacki (*kładzie do kieszeni*). Wracając się tedy do zaczętego dyskursu: Mówię waćpanu, że tu nie wzdychać nie płakać, ale koło siebie radzić należy. Najprzód tedy, pytam się waćpana, czy znasz waćpan dobrze Eleonorę?

Leander. Ach! ten zbiór przymiotów, doskonałości, wdzięków...

Figlacki. Po cóż te ach? Waćpanu się zdaje, że ja Eleonora; powiedz waćpan po prostu, czy znasz waćpan jej charakter?

Leander. Przedziwny, znam go doskonale.

Figlacki. Oj mości panie, bardzo ja o tem wątpię, za pozwoleniem waćpana, a to dla dwóch przyczyn...

Leander. Jakież są?

Figlacki. Najprzód, że waćpan kochasz, a potem, że to białogłowa. Nie miej waćpan za złe co powiem, iż kto się kocha ten ślepy, a kto ślepy ten nie widzi; więc waćpan, który się kochasz... dokończ-że waćpan reszty.

Leander. A to argument formalny; jam nie wiedział, żeś ty uczony.

Figlacki. Albo to ja do szkół nie chodził? Ale tu nie o tem rzecz. Że więc się waćpan kochasz, nie możesz znać Leonory, albo jeżeli znasz, znasz źle. Choćby jednak i kochając można nie być ślepym, choćbyś waćpan sam jeden był taki, żebyś razem i kochał i widział, poznać białogłowę, to sztuka nielada.

Leander. Przewrotne, chytre, prawda, że poznać ciężko, ale takie jak Leonora, pełne dobroci, pełne przymiotów, pełne cnoty...

Figlacki. Nie przepełniaj waćpan, mościpanie; wędrował ja po świecie, znałem wiele kobiet, różnego stanu, kochałem się, a chociaż mam wzrok z łaski Bożej dość

bystry, na nic nigdy mi się nie przydał, kiedy mnie białogłowa oszukać chciała. Dyssymulacya wrodzona ich naturze jest, uczą się jedna od drugiej jak katechizmu, a złe prędzej się przyjmie, niż dobre. Każda z nich w kunszcie frantowskim Doktulia, a taka, iż byleby chciała, najostrożniejszego z mężczyzn gotowe w pole wywieść.

Leander. Ale moja Leonora celuje szczerością, łagodnością...

Figlacki. Takie najniebezpieczniejsze.

Leander. A tyś się widzę uwziął na białogłowy.

Figlacki. Ale bo mi waćpana żal; powiedz że no waćpan, czy waćpana Leonora kocha?

Leander. Pewien jestem.

Figlacki. Któż tu więcej za waćpanem?

Leander. Aryst, stryj Leonory; zna mego ojca, zna mnie i interesuje się mną.

Figlacki. I to nieźle, a ojciec panny?

Leander. To pieniacz; on o niczem nie myśli, tylko o sprawach w sądach. Zamknięty w archiwum z swoim plenipotentem, nieustannie szpargały rewiduje, żeby znalazł materyał do swego pieniactwa.

Figlacki. A wie on o waćpana konkurencyi...?

Leander. Ma mu ją proponować Aryst.

Figlacki. Jeśli się więc propozycya stryja uda, interes waćpana będzie zakończony: jeżeli nie, serca waćpan nie trać, a spuść się tylko na mnie. Kto wie, może ja pomogę, a tymczasem pozwól waćpan, żebym ja się tu trochę rozpatrzył.

Leander. Dobrze. Ale, mój kochany, nie oddalaj się na długo odemnie; ja tymczasem pójdę do ogrodu, może już tam Leonorę moją zastanę. *(Odchodzi).*

SCENA II.

FIGLACKI.

Co też ta miłość broi! Żal mi mego pana, nieborak, może się próżną nadzieją pasie, może go Leonora i ludzi, a — to, widzę, Jadwiga.

SCENA III.

FIGLACKI, JADWIGA.

Figlacki. Kłaniam się jak najuniżeniej waćpannie.

Jadwiga. Uniżona sługa waćpana.

Figlacki. Gdzież to waćpanna śpieszysz? za pozwoleniem.

Jadwiga. A waćpanu co do tego? uczciwszy uszy.

Figlacki. A to niegrzeczność.

Jadwiga. A to nie polityka.

Figlacki. Nie bądź-że dzieckiem...

Jadwiga. Nie bądź-że głupim.

Figlacki. Nieźleśmy się spotkali.

Jadwiga. Kto czego wart, to usłyszał.

Figlacki. Niechże i tak będzie! Powiedz-że mi, gdzie twoja jejmość.

Jadwiga. A twój jegomość...

Figlacki. Jejmości szuka.

Jadwiga. A jejmość go czeka.

Figlacki. To się znajdą.

Jadwiga. Jak zawsze.

Figlacki. A my to, pani moja, królowo moja, bogini moja, nie znajdziemyż się kiedy?

Jadwiga. Nie znajdziemy.

Figlacki. Któż to widział tak odpowiadać?

Jadwiga. A któżto słyszał tak pytać?

Figlacki. A waćpanna widzę jesteś troszeneczkę urażliwa.

Jadwiga. Nie — ale nie lubię, kiedy mi kto androny prawi.

Figlacki. Alboż to androny, że ja twój sługa, że ja twój poddany, że ja twój niewolnik...?

Jadwiga. Zapewne, że androny, bo to wszystko nieprawda.

Figlacki. Jakem amant, przysięgam...

Jadwiga. To jest, jak zdrajca łżesz.

Figlacki. A mościa dobrodziejko, nadto jest szczery dekret.

Jadwiga. Czy dekret, czy nie dekret, ale prawda. Ale przestańmy o tem...

Figlacki. O czemże chcesz, żebyśmy mówili?

Jadwiga. Zwyczajnie, o panach.

Figlacki. Brawo, cóż tedy?

Jadwiga. Ja się ciebie pytam.

Figlacki. I ja się ciebie pytam.

Jadwiga. A cóż ja mam powiedzieć?

Figlacki. A ja cóż?

Jadwiga. Kiedy tak, to bywaj zdrów.

Figlacki. Zaczekaj. Pan mój, wiesz, że twoją panią, kocha, a sługa...

Jadwiga. Zasie.

Figlacki. Ale boś sroga.

Jadwiga. A co tobie do mojej pani?

Figlacki. Ja panią szanuję, ale sługę jej...

Jadwiga. Chcesz oszukać, wszak prawda?

Figlacki. Bodajbym... bodajbym... bodajbym...

Jadwiga. Dokończ.

Figlacki. A pfe, moja królowo, przeklinać się nie godzi; wracając się tedy do zaczętego dyskursu, mówię ci, iż mój pan twoją panią kocha wielbi, adoruje...

Jadwiga. Znak, że wdzięczen.

Figlacki. Czego?

Jadwiga. A tobie co do tego?

Figlacki. Wdzięczen wzajemnego kochania, uprzejmości, łaski, względów, wszak prawda?

Jadwiga. A choćby i tak było.

Figlacki. Toby było przedziwnie; ale cóż po tem wszystkiem, kiedy ojciec może nie approbuje tej miłości?

Jadwiga. I mnie się tak zdaje. Ale na cóż się twój pan wręcz nie udawał?

Figlacki. Bo się bał, żeby wręcz nie odpowiedziano.

Jadwiga. A dla czegóż się bał?

Figlacki. Bo się bał.

Jadwiga. Piękna odpowiedź.

Figlacki. Ale prawdziwa.

Jadwiga. Czemuż się boi?

Figlacki. Bo kocha.

Jadwiga. To kochanie głupie, uczciwszy uszy.

Figlacki. I ja tak mówię, a on mi nie wierzy. Ale powiedz-no mi teraz, a szczerze, czy nie mogłabyś usłużyć panu memu?

Jadwiga. W czem?

Figlacki. Ojciec pani twojej, jak mi się zdaje, nie jest twoim nieprzyjacielem.

Jadwiga. Cóż to ty śmiesz prawić?

Figlacki. A o cóż się to gniewać, że pan łaskaw na sługę wierną, dobrą i szczerą?

Jadwiga. Jestem wierna panu memu i szczera, i to będzie znak największy, kiedy pójdę sama do niego i powiem mu...

Figlacki. Cóż mu powiesz?

Jadwiga. Oto to, iż ty mnie chcesz w pole wywieść i wywiedzieć się odemnie, co mój pan o twoim myśli; jednem słowem, miej to dla siebie, albo powiedz panu, iż te jego bywania bez wiadomości ojca, choć są, prawda uczciwe, mogłyby dać komu suppozycyą, a zatem niech się na mnie nie spuszcza. Bądź zdrów. (*Odchodzi*).

Figlacki. Poczekaj pani, królowo, bogini!

SCENA IV.

FIGLACKI (*sam*).

Bodajżeś... Ale co to za chimeryczka! Ja wiem co to znaczy, a pan pieniędzy nie ma; żeby to można mieć wesele na sentymenta, jakżeby my to tu sypali! Co bądź to bądź, trzeba ją ująć.

SCENA V.

ARYST, FIGLACKI.

Aryst. Ktoś ty jest? zkąd? Jak się zowiesz? Co tu robisz?

Figlacki. Figlacki, nie wiem zkąd, służę, czekam.

Aryst. Nieźle, u kogo służysz?

Figlacki. U Leandra.

Aryst. A twój pan?

Figlacki. U nikogo nie służy.

Aryst. Ale ja się pytam, gdzie jest i co robi?

Figlacki. W ogrodzie stęka.

Aryst. Do kogoż on stęka?

Figlacki. Jużci nie do ogrodu.

*

Aryst. Rozumiem. Biegaj-no po niego i powiedz, że go czekam. *(Figlacki odchodzi).*

SCENA VI.

Aryst. Dwie rzeczy a trudne: brata z pieniactwa wywieść, Leandra z synowicą ożenić; ale widzę, nadchodzi.

SCENA VII.

ARYST, LEANDER.

Aryst. Waćpana ojca znam; dobry to mój przyjaciel, poczciwy człowiek.

Leander. Zaszczyca się łaską waćpana dobrodzieja.

Aryst. Nie łaską, moćpanie, on się obejdzie bezemnie, a ja bez niego. Ale jesteśmy przyjaciele, kochamy się i szacujemy się, bośmy, nie chwaląc się, obydwaj poczciwi ludzie.

Leander. To najszanowniejszy tytuł.

Aryst. Prawda, ale rzadki. Mam nadzieję, że waćpan wstępujesz w ślady ojca, i dlatego powiadam waćpanu, iż ile ze mnie, wszelkiego zażyję starania, ażeby waćpanu usłużyć.

Leander. Ach! mości dobrodzieju! *(Pada do nóg).*

Aryst. Nie trzeba tu tego! *(podnosi go)* wstań tu waćpan, a póty się memu bratu nie pokazuj, póki ja sam waćpana prezentować nie będę. Mój brat mościpanie z widzenia tylko waćpana zna, a że miał niegdyś sprawę z waćpana ojcem, zapewne będzie miał dla tego odrazę do waćpana. Będziemy się jednak starali, ażeby ją dobrze przezwyciężyć; waćpan tymczasem zasługuj sobie na serce damy. Wiem ja, iż do waćpana wstrętu nie ma, z tem

wszystkiem jednak, wierz staremu, nigdy się zupełnie na obietnice białogłowskie spuścić nie można. Płeć to niestateczna, wymyślna, dziwaczna czasem, trzeba więc umieć się z niemi obchodzić; rozumiesz waćpan?

Leander. Słowa waćpana dobrodzieja są dla mnie wyrokiem.

Aryst. To nadto górno. A nie czytał waćpan romansów?

Leander. Czasem było to moją zabawą.

Aryst. Znać; pamiętaj waćpan com mu powiedział, a tymczasem... albo też pójdźmy ztąd, żeby nas tu razem z waćpanem brat mój nie zastał. Ale nie czytaj waćpan romansów.

AKT TRZECI.

SCENA I.

ANZELM, REPERTOWICZ.

Anzelm *(siedzi na stołku, a przed nim mappa)*. Słuchajże waść, mości panie Repertowicz. Ot-że to jest mappa rozgraniczenia między Popowem a Czapajkami; terminus a quo jezioro, zwane Brześć, od niego wychodzi; struga to jest rzeczka nazwiska nie ma; dalej las zwany Podbojczyzna, a jak akt opiewa, z prawej strony pola Popowskie, z lewej zarośle lasu, a na dębach starych uczynione znaki, w pośrodku zaś droga publiczna. Dalej kopce stare, dalej grobla na stawku popowskim, dalej, jak tranzakcya opiewa, domus Coloni Bartholomei; dalej

łąka zwana Zawojszczyzna, dalej błota przysadzkie, dalej Popów, dalej zarośle, dalej Kołotwo, potem struga, dalej pole Czapajskie, i las Dąbrowa. — Jezioro Brześć jest, i ja mam wolne łowienie; o to teraz idzie, jak masz dukt prowadzić, bo gdyby tak szedł, jak go strona przeciwna oznacza, stracilibyśmy połowę lasu i stawek i łyko Zawojskie, a możeby się i Popowa kawał nielada jaki stronie przeciwnej dostał, a co najgorsza: w naszym dukcie, wszakże waćpan tam był, w naszym, mówię, dukcie i kopca jednego nie masz, a oni mają ich siedmnaście.

Repertowicz. Mości dobrodzieju, dawne tranzakcye wielorakim podpadają interpretacyom. Termin od którego znamy, bo jezioro, a kto wie, może i to nie na tem miejscu co przedtem; dalej, mości dobrodzieju, pisze dukt dawny, bom oryginalną tranzakcyą czytał, a u nas tylko transumpt. W oryginalnej tedy tranzakcyi wyrażono jest: rzeczka albo struga, a tu karta przedarta i dopiero po przedarciu to słowo: chodzi. Słowo to, zaczęcia nie mające, może znaczyć: przechodzi, może znaczyć: przychodzi, może znaczyć: wychodzi. W ostatniej interpretacyi znaczyłoby dukt strony przeciwnej; gdyby zaś było: przechodzi, obydwom stronom nie służyłoby, a gdyby znaczyło: przychodzi, natenczas nie oznaczyłoby tę strugę, na której się strona przeciwna zaznacza, ale inną, która z drugiej strony jeziora i ze strony Popowa jest, a ztamtąd biorące dukt i Czapajki nasze.

Anzelm. Ale te różne interpretacye mogą być i nam zdatne i stronie przeciwnej.

Repertowicz. Nam, mości dobrodzieju, nam a nie inaczej. Oryginalna tranzakcya w ręku strony przeciwnej; gdy tedy karta rozdarta, a na miejscu tak essencyonalnem nie inaczej wnieść można, tylko iż rozdarta umyślnie; gdy

więc umyślnie, jak rzecz oczywista, nie na to rozdartą była, aby szkodziła possesorom aktu; niewydarta więc syllaba: wy- to jest wychodziła; syllaba: prze- obojgu stronom obojętna, nie było jej więc racyi wydzierać. Nie inna więc konsekwencya, tylko, iż sztucznie wydarta syllaba: przy-, przychodzi, na którym cała nasza zawisła. Z tych więc powodów przyrasta nam jeszcze aktorat sfałszowania, zdeteryowania tranzakcyi, a ztąd, oprócz odzyskania własności, kara na fałszujących, drących, deteryujących.

Anzelm. Dobra refleksya.

Repertowicz. Na tym więc fundamencie założywszy początek duktu naszego, alias termin a quo, przystąpmy do dalszego ciągu, a zobaczysz wielmożny pan dobrodziej, jak się rzecz ciągle, zdatnie, regularnie, i ledwie nie oczywiście wyłuszczy. Od strugi las Podbojszczyzna; prawda, iż nie masz lasu z tej strony jeziora, ale to nie jest racya, iż co było lasem 1632 roku, teraz lasem być ma. Niedaleko zaś strugi jest mogiła, a że ta oznacza bitwę, bój, znać, że las który tam przedtem bywał, a successo temporis wyjęty został, i od mogiły owej bojowej, sobie przyległej, zwał się Podbojszczyzna. Kiedy lasów nie ma, znaków na dębach szukać nie można, a i druga strona bez tego ich nie pokaże; dalej droga publiczna, prawda, że jej w tem miejscu nie masz, ale i strona przeciwna podobnej nie pokaże. Droga publiczna, mości dobrodzieju, secundum principia legis, to jest według przepisów prawnych ta jest, która kommunikacyę handlową czyniąc, z miasta do miasta i to handlowego prowadzi; nie pokażą ichmość tego przymiotu drogi swojej, dukt bowiem jej prosty, ze wsi do wsi, ergo nie z miasta do miasta, a choćby i z wsi do miasta, albo z miasta do wsi szła te-

raz, może w czasie dawnej tranzakcyi nie szła, a choćby i szła, może nie była publiczna, a choćby i była publiczną, jak tylko nie nad tą strugą i nie koło tego lasu, który jest wzmiankowany, do poparcia sprawy służyć nie może. Kopce stare, te w dwieście lat wkląsnąć powinny, a jak tylko tamta je strona ukazuje, znać, że usypane później. Owóż; na stawie Popowskim; alboż to jeden staw mógł mieć Popów a per consequeris groblę? Są z naszej strony niziny; i owszem przez jednę idzie strumyk i gdzie niegdzie widoczne znaki grobli. Dom zagrodnika Bartłomieja, ten z obudwóch stron nie trwa, ale mamy niedaleko pole zwane Bartniki, zapewne dawniej było Bartłomieja, a per abbreviativum nazwane Bartniki, od Bartłomieja, albo, jak chłopstwo mówi, Bartka. Łąka Zanojszczyzna referuje się od mogiły bojowej dalej Popow; reszta, to jest Kołotowo i Dubrawa, żadnej stronie nie służy, ponieważ te nomenklatury, a zapewne z krzywdą naszą, a zapewne podstępem strony przeciwnej zginęły. Widzisz tedy waćpan dobrodziej, iż z tych powodów sprawa nasza graniczna sprawiedliwa, prawna i jasna jak słońce.

Anzelm. Trudno mówić, aleś waść, mości panie Repertowiczu, dobrze i należycie rzecz całą wyłuszczył; możesz być pewny mojej wdzięczności.

Repertowicz. Chęć usłużenia waćpanu dobrodziejowi dyrygowała pracą, i nadto się uszczęśliwionym być uznaję, kiedy pryncypałowi mojemu mogę być użytecznym.

Anzelm. A pan Kondemnacki? Miał mi go tu przysłać pan sędzia grodzki, z listem rekomendującym go. Jakoż, jakem słyszał, ma to być człowiek w prawie biegły, obrotu nadzwyczajnego. Nie znasz go waszeć, panie Repertowicz?

Repertowicz. Nie mam tego honoru, mości dobrodzieju, i luboć to pospolicie sława rzeczy powiększa, tak

mniemam, iż musi być człowiek dość rzeczy znajomy, kiedy pozyskał dla siebie względy imćpana sędziego dobrodzieja.

Anzelm. W tak wielu jakie mam interesach, wiem ja i czuję, iż nadto obciążam waćpana; chciałem go wziąść w społecznictwo pracy naszej, bo to, jak mówili dawni, więcej widzą oczy niż oko.

Repertowicz. Dawne powieści, luboć czasem i płonne, nabywają niejakiej powagi z samej starości.

Anzelm. Wino-bo stare dobre.

Repertowicz. Suknia, gdy stara, zła.

Anzelm. Dajmyż pokój starym.... Teraz proszę tu potem przyjść do mnie, to się o innych jeszcze interesach rozmówimy.

Repertowicz. Dobrze, mości dobrodzieju, bo i ów regestrzyk...

Anzelm. Jaki regestrzyk?

Repertowicz. Nie chcę teraz zabierać drogiego czasu, mości dobrodzieju, potem, za zdarzoną okazyą...

Anzelm. Daj go, waść, to i teraz go przepatrzę.

Repertowicz. Każesz waćpan dobrodziej czytać?...

Anzelm. Dobrze.

Repertowicz. Specyfikacya ekspensu złp. 3812, danych mi na rozmaite ekspensa prawne dnia 18 Octobris roku tysiąc siedmset...

Anzelm. Jakaż to tam ta ekspens?

Repertowicz. W Lublinie: 18 Julii ichmościom mecenasom trzem honorarium, każdemu duk. 10 — duk. 30.

Anzelm. Dziesięć od jednej konferencyi dla każdego, to wiele, mości panie.

Repertowicz. A jeden z nich mówił, że mało; chciałem jednemu dawać siedm, ale mię przestrzegli, że liczbę okrągłą lubią, do pary.

Anzelm. Dalej...

Repertowicz. Item przy konferencyi za ośmnaście garncy wina węgierskiego, wziętego z Wieniawy od Węgrzyna, — garniec po czerwony złoty i pół.

Anzelm. A na co te pół?

Repertowicz. Ichmoście są teraz wykwintnego gustu.

Anzelm. Ale jakże to mogli we czterech wypić garncy ośmnaście?

Repertowicz. Są to głowy i mądre i mocne. Byłemci i ja piąty, trzeba było dla ochoty dać dobry przykład, mieli też z sobą klientów.

Anzelm. To im było dać podlejszego wina.

Repertowicz. Ach, mości dobrodzieju! to młodzież szlachecka! wyjdą i oni z czasem na ludzi. Za wina tedy garncy ośmnaście po półtora czerwonego złotego — dukatów dwadzieścia siedm. Jaśnie wielmożnemu —

Anzelm. Potem waść ten regestr dołączysz; teraz powiedz-no mi, co to jest za dokument stary, znaleziony w Grodzie Latycieńskim przeciwny mojemu bratu?

Repertowicz. Jest to nadanie wsi Czembrzuchy niższej, ruskim charakterem pisane anno 1423, zaś anno 1576 tejże wsi donacyi przez Balcera Trepkę Achaczyńskiemu Doświadczyńskiemu, sukcesorowi ś. p. Mikołaja Doświadczyńskiego.

Anzelm. Czy nie tego, co książkę pisał?

Repertowicz. Tegoż samego.

Anzelm. To bałamut, mości panie, niegodziwy człowiek, i ja nie wiem, jak i książki jego i jego samego żywcem nie spalili za to, co on śmiał pisać przeciw trybunałom.

Repertowicz. Dawnom ja o tem myślał, i wielmożny mości dobrodzieju zasłużyłbyś sobie na nieśmiertelną

sławę, gdybyś przynajmniej sukcessorów jego zapozwał pro cessione, a przyczem i drukarzy, co to śmieli drukować takowe niegodziwości.

Anzelm. Może się to i stanie; trzeba-to tych ichmościów nauczyć, z jakim respektem mówić należy o stanie szlacheckim.

Repertowicz. Oj zapewne, mości dobrodzieju! i ja się dziwuję temu, że jakie żarliwe województwo pro honore gentis nie zaleciło posłom swoim, ażeby tego kryminału autora dochodzić.

Anzelm. Dobrze waść mówisz, rzecz tak wielkiej importancyi warta sejmu. Ale potem o tem. Teraz miałbym się jeszcze waści poradzić w jednej materyi. Mam córkę jedynaczkę; kawalerowie się trafiają, a między innemi mój brat proponuje mi Leandra.

Repertowicz. Kiedy waćpan każesz, otworzę zdanie moje. Powaga brata waćpana dobrodzieja —

Anzelm. Mości panie, ja starszy.

Repertowicz. Interpozycya brata waćpana dobrodzieja wielkiej konsyderacyi być powinna; nie mam honoru znać dobrze imci pana Leandra, jeszcze się bowiem waćpanu dobrodziejowi nie prezentował, nie znając zaś dobrze o przymiotach, kawalera tego sądzić niepodobna. Co się tyczy substancyi, wsie ojca jego tu przyległe są, to prawda; ale rzuć waćpan dobrodziej okiem na mapę, nad którą dopiero czyniłeś, i mnie pozwoliłeś czynić obserwacye.

Anzelm. To dukt między Popowem moim a Czapajkami pani sędziny.

Repertowicz. Ale niech pan raczy konsyderować, iż nasz dukt nie strugi wychodzącej, ale przychodzącej.

Anzelm. Prawda.

Repertowicz. Niechże więc pan weźmie rectilinium! Scopulus, paricotales usque ad aciales.

Anzelm. Zobaczymy. *(Biorą mapę).*

Repertowicz. Patrzajże waćpan dobrodziej! biorąc linię wciąż od strugi, od mogiły, od Bartnik, od Popowa do terminu tam specyfikowanego ad quem, to jest do lasu Dubrany i tam dalej, patrz waćpan dobrodziej, a znajdziesz, iż ta linia odetnie połowę gruntów, staw, młyn, tartak, a co większa, większą połowę podwórza, a może i kawał dworu Rajczyna, wsi dziedzicznej ojca imci pana Leandra; a Rajczyn bez stawu, mości dobrodzieju, jak ciało bez duszy.

Anzelm *(patrzy na mapie)*. Prawdę waćpan mówisz! a cóż mi po takim zięciu, coby i dworu swojego nie miał? Dziękuję bardzo za oświecenie. Mości panie, nie czytajmy dalej regestru lubelskiego. Masz waćpan kwit, *(pisze)* a za fatygę proszę przyjąć tę asygnacyę, którą przyłączyłem. *(Oddaje mu).*

Repertowicz. Nie zysk, ani korzyść jest i będzie usług wiernych moich pobudką, ale —

Anzelm. Wierzę ja temu, mości panie, mam dowody — i nie na tem się jeszcze wdzięczność moja zakończy. Teraz wygotuj waćpan informacyę do owej sukcessyi w Łęczyckiem.

Repertowicz. Mości dobrodzieju, niech-no się jeszcze jeden tylko dokumencik znajdzie. Kłuje się tam coś jeszcze znaczniejszego.

Anzelm. A co?

Repertowicz. Jeszcze trzeba nam będzie kwerendować, a natenczas nie o strugi i mostki i stawy, ale będzie rzecz, mości dobrodzieju, o miasta i wsie — o hrabstwa.

Anzelm. Czemże ci odwdzięczę tak wielkie przy-

sługi? Ale spuść się na mnie; może wynajdę godną twojemu do mnie przywiązaniu nagrodę.

Repertowicz. Zawstydza mnie pan dobrocią swoją. Idę tedy, mości dobrodzieju, i informacyę ułożyć i naprzód w naszem archiwum pokwerendować, o co rzecz chodzi. (*Odchodzi*).

SCENA II.

ANZELM (*sam*).

To skarb nie człowiek, ten pan Repertowicz. Jakie to szczęście człowieka wiernego a sprawnego dostać. Ze wszystkich stron takie się nam rzeczy pokazują, iż dosyćby tylko czwartą część albo wygrać, albo nakoniec przez ugody, przez kompromisa kondyktowemi dekretami rzeczy kończyć, będą i wsie i miasta i summy i kapitały i ruchomości. Prawda, że prawo kosztuje, ale cóżto koszt w proporcyi zysku. Właśnie też dobrego mi konkurenta do córki nastręcza mój pan brat. Jego wieś, nie jego, bo moja, i staw mój, i młyn mój, i grobla moja, i podwórze, i połowa dworu. Trzeba się jednakże będzie już determinować na przybranie zięcia. Ale mnie potrzeba takiego zięcia, coby umiał interesami zarządzić; — a Repertowicz? — Czemu nie? Albo to pierwszy on z chudego pachołka panem został? Ale poczekam jeszcze na Kondemnackiego; może tamten będzie jeszcze sprawniejszy. Jest tam kto?

SCENA III.

ANZELM, TUBALEWICZ (*z plastrem*).

Anzelm. A głowa?

Tubalewicz. Jest, panie dobrodzieju.

Anzelm. Ale była zawiązana.

Tubalewicz. Odwiązana, do usług pańskich.

Anzelm. To szkoda.

Tubalewicz. Jakto szkoda, panie dobrodzieju?

Anzelm. Zawiąż-no jeszcze, póki cyrulik nie przyjdzie do obdukcyi.

Tubalewicz. A także-to, jak ów papier.

Anzelm. Jaki papier?

Tubalewicz. Jakbyś-to waćpan nie wiedział, — oto ten papier, co to za niego biją.

Anzelm. Nie bój się, a pójdź tylko do pana Repertowicza; już cię on nauczy, co trzeba czynić. A teraz naści na basarunek!

Tubalewicz. Kiedy tak, daj-no waćpan i papier.

Anzelm. Ale biją.

Tubalewicz. Ale płacą.

Anzelm. Zawołaj do mnie mojej córki. *(Tubalewicz odchodzi).*

SCENA IV.

ANZELM.

Trzeba się będzie z niej wywiedzieć, co to ona z panem stryjem miała za konferencye.

SCENA V.

ANZELM, LEONORA.

Anzelm. Jak się masz, moje dziecię.

Leonora. Zdrowam, do usług waćpana dobrodzieja.

Anzelm. Chwała Bogu. Cóż tam porabiasz?

Leonora. Haftuję kwiatki na krosienkach.

Anzelm. Cóż to robisz?

Leonora. Pas dla mego stryja.

Anzelm. Dobrze czynisz, moje dziecię. Trzeba to się starszym przysługiwać, ich sobie przyjaźń i łaskę skarbić, a najbardziej stryja; jednakże po ojcu — rozumiesz, moje dziecię?

Leonora. Rozumiem, mości dobrodzieju.

Anzelm. Wszak kochasz stryja?

Leonora. I bardzo.

Anzelm. Ale nie bardziej przecie niż mnie?

Leonora. A juści, mości dobrodzieju, pierwsza jest powinność kochać rodziców.

Anzelm. To mnie dlatego kochasz, że musisz?

Leonora. Nie dlatego, ale dlatego, iż jestem córką waćpana dobrodzieja.

Anzelm. To na jedno wychodzi. Więc nie dlatego mnie kochasz, że mnie godnym być sądzisz swojego kochania, ale dlatego, że jestem twoim ojcem?

Leonora. Zkądże waćpan dobrodziej masz to powątpiewanie o mojem przywiązaniu do siebie? Nie dałam ci do tego żadnej okazyi.

Anzelm. Ale bardziej kogo kochać, niż ojca, jest to toż samo, jakby go nie kochać.

Leonora. A kogoż ja bardziej kocham, jak waćpana dobrodzieja?

Anzelm. Ja nie mówię tego, ale tylko tak mówię naprzykład.

Leonora. To nie.

Anzelm. Co to nie?

Leonora. Ja to chciała mówić —

Anzelm. Cóżeś-to chciała mówić?

Leonora. Oto, — mości dobrodzieju, oto chciałam mówić, iż to —

Anzelm. Iż co?

Leonora. Iż to, — to do mnie stosować się nie może.

Anzelm. A czemu się to zająkasz?

Leonora. To przez respekt.

Anzelm. Wolałbym ja, żeby to było przez miłość, a ta się nie zająka. Był u ciebie twój stryj?

Leonora. Był, mości dobrodzieju.

Anzelm. Po co?

Leonora. Jak zwyczajnie.

Anzelm. Jakże on-to zwyczajnie bywa?

Leonora. Zwyczajnie, jak stryj.

Anzelm. O czemżeście mówili?

Leonora. Nie pamiętam, mości dobrodzieju.

Anzelm. Jakiej to waść słabej pamięci, — a gdyby to o kawalerach — czemuż się waść płonisz? — to musi być coś takiego.

Leonora. A cóż ma być?

Anzelm. To waści zapewne gadał o kawalerach, mościa panno. Ten rumieniec, ja wiem, co to znaczy. O którymżeście to kawalerze gadali? — pewnie —

Leonora. O jakich-to mam wiedzieć albo mówić?

Anzelm. Albo to ja nie wiem, że to waści —

Leonora. To udanie, mości dobrodzieju.

Anzelm. Nie udanie, mościa panno, nie udanie, — ja to dobrze wiem, — przyznaj się waść, — a widzisz-to waść, — jakto chciałaś się przedemną utaić, — a tymczasem —

Leonora. Co tymczasem?

Anzelm. A tymczasem jam miał takich, co to waści dostrzegli.

Leonora. Mości dobrodzieju niewinny jest Leander, — prawda, tu był pokilkakrotnie, ale —

Anzelm. A to pięknie, mościa panno, bez wiadomości ojca przyjmować gachów. Nauczę ja waści, jakto się sprawować należy w domu rodziców. Idź waść do siebie, — a póty nie wychodź, póki nie każę! Rozumiesz waćpanna? (*Leonora odchodzi*).

SCENA VI.

ANZELM (*sam*).

Pięknej się rzeczy dowiedziałem — Leander w domu moim — pokilkakrotnie — bez mojej wiadomości. Zapewne-to pana mego brata sprawka — nie dokaże on swego.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

LEANDER, FIGLACKI.

Figlacki. Mości panie, nie źle rzeczy idą.

Leander. Ach, nie mów mi tego, nie rozrzewniaj serca! A wiesz, iż się Anzelm dowiedział o naszem tu przebywaniu?

Figlacki. I cóż z tego, że się dowiedział?

Leander. Wszystko złe.

Figlacki. Ale bo to się waćpan o lada fraszki troszczysz. Słuchaj no mnie waćpan, co powiem.

Leander. Cóż powiesz?

Figlacki. Oto wysłuchałem podedrzwiami rozmawiających, pana Anzelma z Repertowiczem.

Leander. O czemże to oni gadali?

Figlacki. Gadali o różnych rzeczach, — powiedział mu między innemi Repertowicz, iż znalazł dokument ruski jakiegoś Kitaja roku 1423, szkodliwy wielce panu Arystowi.

Leander. Tem gorzej.

Figlacki. To tem lepiej. Potem mu powiedział, iż tu jedzie jakiś pan Kondemnacki, jurysta, i ma list rekomendacyjny od pana sędziego Grodzkiego.

Leander. I cóż ztąd?

Figlacki. Wszystko ztąd. Daj-no mi waćpan czas. Spuść się na mnie i pozwól tylko czynić, a zobaczysz, jaką ja to sztuczkę wyprawię.

Leander. Jaką?

Figlacki. Będziesz waćpan wiedział w czasie; teraz muszę odejść.

Leander. Ale przynajmniej —

Figlacki. Nie powiem, mospanie. Sekret jest duszą interesów wielkich, tak powiedział mój przeszły pan, a był to człowiek, mości panie taki, jakiego już teraz i nie znajdzie.

Leander. A gdzież-że się podział?

Figlacki. Stracił go świat, mości panie, bo go był niegodzien

Leander. Jakże zginął?

Figlacki. Nie rozrzewniaj mi waćpan serca. Ot, dość waćpanu powiedzieć, od śmierci mego pana sądów marszałkowskich cierpieć nie mogę.

Leander. Rozumiem. Idźże, gdzie chcesz, czyń, co

możesz, byleś mi tylko zamiast naprawienia, interesu nie popsuł.

Figlacki. Spuść się waćpan na mnie, a upewniam, że będzie wszystko dobrze. (*Odchodzi*).

SCENA II.

LEANDER (*sam*).

Co to on myśli za scenę wyprawić? to jest, żeby tylko jego przywiązanie do mnie na złe mi nie wyszło. Prawda, iż mu na inwencyach nie zbywa. Ale co to on tu za scenę myśli wyprawić? Trzeba tu bardzo sztucznej i osobliwej, żeby swego dokazać.

SCENA III.

ARYST, LEANDER,

Aryst. Waćpan dobrodziej tu medytujesz, a ja się domyślam, o czem te medytacye

Leander. Jużci zapewne wiadomo waćpanu dobrodziejowi.

Aryst. A widziałeś się waćpan z moją synowicą?

Leander. Miałem to szczęście.

Aryst. Jej sentymenta wiadome waćpanu dobrodziejowi?

Leander. Zupełnie zaufany jestem.

Aryst. I jam też z nią gadał, i byleby można tylko ojca nakłonić .. ale słyszę, że tu się zbliża; wyjdź waćpan. (*Leander odchodzi*).

*

SCENA IV.

ANZELM, ARYST.

Anzelm. Właśnie też szukałem waćpana, mości panie bracie.

Aryst. I jam też do waćpana szedł.

Anzelm. To nie nowina, że bracia, którzy się kochają, jednoż myślą.

Aryst. Dałby to Pan Bóg, żebyśmy we wszystkiem jednego byli zdania.

Anzelm. I ja o to Pana Boga proszę.

Aryst. I ja proszę, a Pan Bóg mnie nie wysłuchał.

Anzelm. Oj i mnie Pan Bóg nie wysłuchał.

Aryst. Ja Pana Boga prosiłem o to, żebyś waćpan uprzedzeń nie miał, bałamuctw się strzegł.

Anzelm. A ja Pana Boga prosiłem o to, żebyś waćpan źle o bracie nie sądził, ostrożności bałamuctwem nie nazywał.

Aryst. Tośmy się widzę źle modlili, panie bracie.

Anzelm. Jużci, kiedy naszych modlitw nie wysłuchano.

Aryst. A ja jednakowo powiadam waćpanu, żebyś temu swemu panu Repertowiczowi nie wierzył.

Anzelm. A jednakowo ten pan Repertowicz dobrze o waćpanu myśli, stracie waćpana zabiega, a ów dokument, panie bracie, anno 1576 — aha. —

Aryst. A mnie co tam do tych przedwiecznych szpargałów, do tych tam pargaminowych bałamuctw, co to je podobni panu Repertowiczowi umieją i stworzyć i zniszczyć.

Anzelm. Mości panie bracie, to nie żart, to akt prawdziwy, dokumentalny.

Aryst. Choćby i atłas ja o niego nie stoję.

Anzelm. Mości panie, trzeba mieć baczność na interesa.

Aryst. Mam.

Anzelm. A o rzecz tak wielkiej importacyi waćpan nie dbasz.

Aryst. Nie dbam, bo nie mam o co, bo pieniactwem się brzydzę, spokojność i cudzą i swoją kocham.

Anzelm. Ale co inszego pieniactwo, a co inszego ostrożność.

Aryst. Prawda, mości panie bracie, iż co inszego pieniactwo, a co inszego ostrożność. Żebyś waćpan tem jaśniej był w maksymie swojej utwierdzony, powiem ja waćpanu, co to jest pieniactwo, a co jest ostrożność; to jest, uczynię definicyą pieniacza i ostrożnego. Ostrożny człowiek ten, który ma oko pilne i na siebie i na swoje interesa, podejść się nie da, ale siebie patrzy, a jeżeli patrzy na drugich, nie dlatego patrzy, aby ich podszedł, ale żeby siebie od cudzego podszeptu ustrzegł. Ostrożny człowiek nic na oślep, nic z uprzedzenia, nic z cudzego widzimisię nie czyni, nie odrzuca on rady, ale pierwej poznać się stara, a gruntownie, tego, którego się radzi, i choć pozna, że człowiek roztropny, poczciwy, na oślep za zdaniem jego nie idzie, ale pierwej tej rady dobroć i użytek gruntownie roztrząśnie, a gdy po pilnem roztrząśnieniu widzi ją dobrą i pożyteczną, dopiero natenczas za nią idzie.

Anzelm. To już ostrożny, a pieniacz?

Aryst. Pieniacz, jest to, panie bracie, człowiek nieprawy, serca zdradnego, umysłu przewrotnego, sentymentów podłych. Jest to monstrum natury, trucizna towarzystwa.

Anzelm. A jużeś się też waćpan nadto zawziął.

Aryst. I to mało, com powiedział. Człowiek pie-

niactwem zarażony, cnoty żadnej mieć nie może, ale u niego cnotą, sławą, honorem złość, zazdrość, zawziętość, chytrość; gotów wszystkie względy deptać, byle swojego dopiął, a po większej części, jeżeli nie zawżdy cel jego chęci i zamysłów nieprawy, szkodliwy, zły, nieludzki. Pieniacze, mości panie bracie, jest to rodzaj zwierząt drapieżnych, pasących się krwią cudzą, czuwających na podejście, na zgubę; a tem ustawicznem czuwaniem, wiesz waćpan, co zyskują?

Anzelm. Cóż takiego?

Aryst. Oto własną zgubę. Pokaż mi waćpan jednego pieniacza zamożnego, — pokaż jednego pieniacza w szczęściu, w reputacyi, w dobrej sławie, w miłości u swoich, — a natenczas ja gotów iść do trybunału z tym panem Kitajem.

Anzelm. Ale bo to czasem waćpanowie potrzebę prawowania nazywacie pieniactwem.

Aryst. Kto tak czyni, sądzi lekkomyślnie; trzeba się bronić od napaści, ale co inszego bronić się, co inszego zaczepiać.

Anzelm. A kiedy ja mam krzywdę oczywistą, o którą muszę prawem dochodzić?

Aryst. Dobrze czynię, że się do prawa udam, ale pierwej powinienem zważyć, czy rzecz prawa warta, a chociażby i warta, czy pierwej zgodnym sposobem skończyćby nie można?

Anzelm. Ale bo to zawsze w tych zgodach, dekretach kondyktalnych, kompromisach bywają podstępy, zawżdy coś ze swego trzeba ustąpić.

Aryst. A od czego roztropność? Pieniacz jej nie ma, bo chytry, zły, ale człowiek spokojny, rozsądny nie da się oszukać, i owszem, mości bracie, prędzej ten się w sidła

uwikła, kto je sam stawia. Że trzeba w zgodzie czegoś ustąpić, naprzód to nie jest regułą, a choćby i było, nie żal pokój i opłacić. Powtóre, gdyby godzący chcieli tylko porachować, ile sobie oszczędzają i kłopotu i wydatku ugodą, poznaliby, iż zyskują częstokroć, choć co ze sprawiedliwych pretensyj ustępują.

Anzelm. Refleksye waćpana w powszechności sprawiedliwe, ale że, jak mi się przynajmniej zdaje, ściągają się do mnie; pozwolisz waćpan, żebym ja się usprawiedliwił z zarzutu, lubo niebardzo grzecznego względem brata.

Aryst. A waćpan się widzę urażasz, mości bracie, to zły znak; waćpan wiesz, co mówi owe proste, ale prawdziwe przysłowie: Uderz w stół i t. d.

Anzelm. Nie gniewam się, ani nie jestem nożycami, ale że mnie przed waćpanem udali ludzie, dla tego się bronię, abyś waćpan innych z błędu wyprowadził — a może —

Aryst. I siebie. Widzisz waćpan, jak to ja powolny, kiedym nawet peryodu za waćpana dokończył. Słucham tedy cierpliwie.

Anzelm. Po śmierci rodziców naszych —

Aryst. A cóż tu do rodziców?

Anzelm. Ale bo to, mości panie bracie, trzeba rzeczy brać z góry.

Aryst. Bierz-no je waćpan ze środka.

Anzelm. Po śmierci ś. p. rodziców naszych, zostaliśmy się minorennes. Opiekunowie nasi, objąwszy w administracyą substancyą pozostałą...

Aryst. Skradli nas.

Anzelm. Ale proszę nie przeszkadzać.

Aryst. A po co kradli?

Anzelm. Ale już umarli...

Aryst. I pewnie dlatego nie złodzieje?

Anzelm. Cóżkolwiekbądź... Opiekunowie nasi, gdyśmy do lat przyszli, zdali nam kalkulacyą.

Aryst. Filutowską?

Anzelm. Jaka była, taka była; dość, żeśmy ich skwitowali.

Aryst. Z kradzieży?

Anzelm. Mieliśmy annos competentes, mogliśmy byli poznać....

Aryst. Pewnie to, co przed nami tajono.

Anzelm. Ale mi waćpan nie dajesz dokończyć.

Aryst. Kończ-że waćpan, słucham.

Anzelm. Dział, który się waćpanu dostał, miał nierównie większe awantaże, jak mój.

Aryst. Wszakżeś waćpan dzielił, jak starszy.

Anzelm. A waćpan wybierał.

Aryst. Ja się nie taję, wybrałem lepszy, i tak się to zawżdy trafia, kiedy starszy na młodszego chce iść podstępem. Waćpanu konsyliarze doradzili, żebyś jednę schedę uczynił pozorniejszą a gorszą, drugą mniej powabną a lepszą nierównie. Nasadziłeś waćpan na jednę stronę wiele wiosek, a zawikłanych w prawie, zadłużonych; z drugiej mało, ale niepozornych, dalekich, ale czystych. Rozumiałeś waćpan, że się wielością uwiodę, a jam wziął tę, którąś sam dla siebie chciał. Sameś się waćpan oszukał, i podobnym sposobem prawie zawżdy tak się trafia, iż pan brat, czy to starszy, czy najstarszy, jak tylko niesprawiedliwe schedy ułoży, zawżdy sam najgorszą zyska. Słucham tedy.

Anzelm. To nowa materya o zarzut niesprawiedliwy, bom ja z mego podziału kontent.

Aryst. A dopieroś waćpan mówił, że mój był lepszy.

Anzelm. Prawda, ale dla miłości braterskiej...

Aryst. Dziękuję.

Anzelm. Mając tedy dobra w inwolucyach prawnych, musiałem się udać do grodu, do ziemstwa, do trybunału...

Aryst. I to był pierwszy krok?

Anzelm. Tak jest, pierwszy krok do ocalenia substancyi mojej, a że w kwerendowaniu papierów wynalazłem...

Aryst. Pewnie owego Kitaja?

Anzelm. A i tym wynalazkiem nie gardź waćpan, panie bracie! Kto wie, co z tego wyniknąć może.

Aryst Ja wiem, że nic.

Anzelm. Daj Panie Boże. Zwracając się tedy do zaczętego dyskursu, mówię, iż udawszy się do rozmaitych juryzdykcyów, prawda, że zaraz pierwszego roku wiele straciłem w trybunale.

Aryst. Jakoż to był trybunał!

Anzelm. Cokolwiekbądź, lubom wiele stracił, wielem i zyskał. Otrzymałem albowiem w sprawie Popowskiej dekret pomyślny.

Aryst. A drugiego trybunału przeciwna strona.

Anzelm. A trzeciego ja.

Aryst. A czartego oni.

Anzelm. Ale siódmego, ósmego, dziewiątego, raz wraz — ja.

Aryst. Ale dwunastego, trzynastego, i podobno czternastego — oni.

Anzelm. Ale też nakoniec — ja.

Aryst. Ale oni znowu przeciw niemu idą.

Anzelm. To prawda, alem teraz wynalazł, mości panie bracie, taki dokument, co to jak mur.

Aryst. A oni znowu wynajdą jakiego Kitaja, i mur się waćpana obali.

Anzelm. Poprę ja go i nieźle.

Aryst. Popierajże waćpan, jak chcesz. Jeżeli jednakowo chcesz usłuchać życzliwej rady braterskiej, porzuć te bałamuctwa.

Anzelm. To dóbr pewnie ustąpić, propter bonum pacis?

Aryst. Nie ustąpić, ale zgodzić się.

Anzelm. Ja, żebym miał się zgodzić, mając po sobie dekreta? najprzód anni millesimi septingentesimi...

Aryst. Toćże i oni mają. A pewnie się zgodzą, już ze mną o to i nieraz traktowali.

Anzelm. Chwała Bogu, dobra nasza.

Aryst. Jakto?

Anzelm. Oto tak; jak tylko zgody chcą, znać, że prawa swego nie pewni.

Aryst. Alboż to argument?

Anzelm. I jaki jeszcze, mości panie bracie! Pamiętam jak dzisiaj, kiedym powracał z kondescensyi granicznej z pod Beresteńka....

Aryst. Co mi tam do Beresteńka! Oto waćpan racz przestać na mojem zdaniu. Już też masz i lata; czas odpocząć.

Anzelm. Odpoczywać z krzywdą jawną, oczywistą?

Aryst. A choćby i była.

Anzelm. Takiż to affekt braterski waćpana ku mnie?

Aryst. Zapewne, iż to nie z inszej przyczyny mówię. A wreszcie biorę to na siebie, iż się waćpanu żadna krzywda nie stanie.

Anzelm. Dobrze, ale pamiętaj waćpan coś przyobiecał.

Aryst. Przyrzekam.

Anzelm *(bieży do stolika i przynosi kałamarz, pa-*

pier i pióro). Ażeby to skrypcik, bo to mości panie bracie, verba volant.

Aryst. Wstydź się waćpan tej nieufności! cóż to, chcesz waćpan, żebym na mój affekt dawał cyrograf? Mości panie bracie, poczciwego człowieka słowo, tak dobre jako tranzakcya.

Anzelm. Niechże i tak będzie; zapiszemy więc kompromis?

Aryst. Ale pierwej trzeba awizować strony.

Anzelm. A widzisz waćpan, jakie zaraz trudności.

Aryst. Żadnej ci tu nie ma.

Anzelm. Niechże i tak będzie, ale sobie ekscypuję.

Aryst. Cóż to waćpan ekscypujesz?

Anzelm. Niektóre kategorye.

Aryst. Po co?

Anzelm. Ale bo nie można.

Aryst. Dlaczego nie można?

Anzelm. Bo jeszcze nie ze wszystkiem są rozjaśnione, a kto wie, co z nich wyniknąć może.

Aryst. Pewnie znowu co pan Repertowicz wykwerenduje.

Anzelm. Jeszcze i Kondemnacki nie przyjechał; wiezie on z sobą niektóre dokumenta. Pozwolisz więc waćpan, iż się w nich pierwej rozpatrzę, a dopiero będziemy układać projekta, bo będą.... Ale, ale, zapomniałem waćpanu oddać ekstrakt nadania.

Aryst. Pewnie tego Kitaja. Schowaj go sobie waćpan, jużem powiedział, że go nie chcę.

Anzelm. To przynajmniej dla ciekawości; pójdę go szukać, jak znajdę, przyniosę. *(Odchodzi).*

SCENA V.

ARYST (*sam*).

Jak to ciężko nałóg zastarzały wykorzenić, a jeden z najważniejszych pieniactwo! Nie tracę ja nadziei. Któż to taki?

SCENA VI.

ARYST, FIGLACKI (*przebrany*).

Figlacki. Upadam pod nogi pańskie pana i dobrodzieja, którego wenerując z weneracyą i konsyderując z konsyderacyą.

Aryst. Mości panie! *(Przypatruje mu się).* Cóż to znaczy ta maska, Figlacki?

Figlacki. A! poznałeś mnie to waćpan?

Aryst. A któżby cię nie poznał?

Figlacki. Jużci waćpan, bo mnie znasz, ale brat waćpana, który mnie nigdy nie widział?

Aryst. Konsekwencya naturalna, że nie pozna. Cóż to za scenę myślisz wyprawiać?

Figlacki. Mości dobrodzieju, jeśli się ta uda, to będzie jedno z najlepszych, którem dokazał.

Aryst. Wiem ja o doskonałości waćpana. Cóż-że to myślisz uczynić?

Figlacki. Masz tedy wiedzieć waćpan dobrodziej, że ja nie jestem Figlacki.

Aryst. Czemże jesteś?

Figlacki. Jestem Kondemnacki, do usług waćpana, plenipotent brata jego, albo raczej adjutant pierwszego plenipotenta imościnego imćpana Repertowicza.

Aryst. A zna cię Repertowicz?

Figlacki. Ani on mnie, ani ja jego.

Aryst. Cóż to z tego będzie?

Figlacki Oto wysłuchałem podedrzwiami, jak powiadał brat pana dobrodzieja Repertowiczowi, iż się spodziewa Kondemnackiego z niektóremi dokumentami; wziąłem więc jego postać i w niej spodziewam się pana mego interes tak wykonać, iż się stanie zadosyć żądaniom jego i woli waćpana dobrodzieja, ale mnie proszę wspierać.

Aryst. Czyń jak możesz; ale ja wątpię, żeby ci się udało.

Figlacki. Im trudniejsze dzieło, tem większa sława. Trzeba mi teraz pójść do pana Anzelma. *(Odchodzi).*

SCENA VII.

ARYST *(sam).*

Dobra intencya tego filuta. Kto wie! czego czasem najpilniejsze starania nie dokażą, podstęp zyska.

AKT PIĄTY.

SCENA I.

ANZELM, FIGLACKI.

Anzelm. I jakże to tedy, mości panie, ta procedencya?

Figlacki. Mości dobrodzieju, trzeba o tem wiedzieć, iż ów Kitaj był jego synem.

Anzelm. Dlatego też zwał się Kitajem.

Figlacki. Ten tedy, mości dobrodzieju, Kitaj, był to, mości dobrodzieju, bardzo wielki człowiek, a taki człowiek, o jakich to człowieków bardzo trudno.

Anzelm. Wierzę.

Figlacki. Ten tedy, mości dobrodzieju, Kitaj, nadał wieś, tak jest wieś — tak...

Anzelm. Czembrzuchę?

Figlacki. Tak jest, Czembrzuchę górną, dolną i poprzeczną.

Anzelm. Dokument tylko mówi o niższej.

Figlacki. Tak jest niższej. Ten tedy Kitaj, nadawszy wieś, szła ona, mości dobrodzieju, przez różne ręce aż do roku... roku...

Anzelm. 1576.

Figlacki. Tak jest, roku 1576. W którym Balcer Trzewik...

Anzelm. Trepka.

Figlacki. Tak jest, Trepka; trzewik a trepka to wszystko jedno. Temu tedy Balcer Trepka, mości dobrodzieju, uczynił intercyzę...

Anzelm. Donacyą?

Figlacki. Tak jest donacyą, na osobę Doświadczyńskiego; ten Doświadczyński miał syna, także Doświadczyńskiego.

Anzelm. Mikołaja?

Figlacki. Mikołaja. Mikołaj miał Bartłomieja, Bartłomiej miał Matyasza, Matyasz miał Wojciecha, Wojciech miał Stanisława, Stanisław zaś znowu Wojciecha, a Wojciech znowu Stanisława, a ten Stanisław, zgadnij waćpan, kogo miał?

Anzelm. A któż go tam wie, kogo on miał?

Figlacki. Otóż to cały sęk interesu; ten tedy Stanisław, mości dobrodzieju, miał córkę Elżbietę. Co to była za białogłowa, ta Elżbieta! Nie znałeś jej waćpan dobrodziej?

Anzelm. Nie znałem.

Figlacki. Ta tedy Elżbieta, mości dobrodzieju, miała dwóch mężów. Rozumiesz waćpan.

Anzelm. Rozumiem.

Figlacki. Ta tedy Elżbieta Doświadczyńska, córka Mikołaja...

Anzelm. Stanisława.

Figlacki. Mikołaja Stanisława, bo Stanisław na chrzcie, a Mikołaj na bierzmowaniu. Ta tedy, mości dobrodzieju, Elżbieta, poszła naprzód za mąż za Melchiora Kociubińskiego, ale się to małżeństwo rozeszło.

Anzelm. Jak to rozeszło?

Figlacki. Oto napisali sobie byli w intercyzie, że jak się przestaną kochać, to się będą nie lubić.

Anzelm. Cóż ztąd?

Figlacki. Oto ztąd wszystko. Przestali się tedy kochać i zaczęli się nie lubić. A że było dalej wyrażone w intercyzie, że jak się zaczną nie lubić, to nie będą z sobą mieszkać...

Anzelm. Więc nie mieszkali.

Figlacki. Oj mądra to była intercyza, i pierwsza przewidująca wszystko. Dalej więc było napisano w intercyzie, że jak tylko z sobą nie będą mieszkać, to się nie będą mogli cierpieć.

Anzelm. Więc się nie cierpieli.

Figlacki. I na to był sposób w intercyzie. Napisano tedy było, że jak się tylko z sobą nie będą mogli cierpieć, to się będą o innych starać, coby ich cierpieli.

Anzelm. Ale cóż to za intercyza?

Figlacki. Modna, mości dobrodzieju, a przeto i rozumna i dowcipna i przezorna, jednem słowem lepsza, niżeli dawniejsze, to jest ab anno — to jest od dawnego czasu. Na fundamencie więc tego ostatniego punktu, zapłaciwszy naprzód imćpan Melchior, jak zazwyczaj, imćpannie Elżbiecie, znalazł imćpanuę Eufrozynę Rzepecką, zaś imćpanna Elżbieta, imćpana Gerwazego Protańskiego, i przeto w dom Protańskich wniosła jako jedynaczka, i majętność i prawa i pretensye, i sprawy i ruchomości i mobilie, zgoła wszystko co miała i mieć mogła.

Anzelm. Dalej tedy?

Figlacki. Ta tedy Elżbieta Protazińska miała córkę jedynaczkę i przy połogu umarła. Ta córka jej jedyna wydana za Seweryna Kapeckiego... ale i ten Seweryn w dwie niedziele i dni pięć po weselu umarł; po jego śmierci, pozostała wdowa powiła córkę Wirydyannę, małżonkę Kaspra Karpowicza.

Anzelm. Czy nie ojca Leandra?

Figlacki. Nie wiem, mości dobrodzieju, dalszej procedencyi przeświadczeń domu Karpowiczów, i dotąd mnie tylko tyczy dana mi informacya oryginalna, podpisana ręką Kaspra samego Karpowicza, który mnie zażywał do pewnej konferencyi w sprawie, którą intentować zamyśla niejakiemu imćpanu Arystowi.

Anzelm. I za pewne o tem waćpan wiesz?

Figlacki. Na moje oczy patrzałem, a od powyższej konferencyi brałem honoraryum.

Anzelm. Muszę teraz odejść; proszę zaś waćpana zatrzymać się tu nieco aż powrócę.

SCENA II.

FIGLACKI (*sam*).

Niezłe rzeczy, aleby trzeba teraz ostrzedz Arysta; wieleby on dopomógł... właśnie też nadchodzi.

SCENA III.

ARYST, FIGLACKI.

Aryst. Cóż tam, bałamucie?

Figlacki. Bałamutaj waćpan jak chcesz, i bądź tylko w spółce, a zobaczysz, co się tu stanie.

Aryst. Ja z tobą w spółce?

Figlacki. A cóż to dziwnego, mości panie? Kiedy mogą być sługa z panem, a czemu nie pan z sługą? Mości panie. filutacye nie takie to obelżywe rzemiosło teraz, jak przedtem.

Aryst. A w czemże to ja mam być waćpana kompanem?

Figlacki. Oto ja Kondemnacki wyperswadowałem pryncypałowi mojemu panu Anzelmowi, iż owo nadanie Kitaja, a potem donacya Doświadczyńskim, że mówię to wszystko po Doświadczyńskich spada na ojca Leandra, i on już czyni kroki do pozwania waćpana o oddanie dóbr na Ukranie. Zapewne on to przed waćpanem będzie powiadał, trzeba, żebyś waćpan udał wierzącego, a wtenczas albo sam będziesz mego pana maryaż, jako godzący interes proponował, albo zobaczysz waćpan, iż sam brat waćpana z tą się propozycyą odezwie.

Aryst. Koncept nie zły; ale jak to ja mam być bałamutem?

Figlacki. Tylko że na to, ażeby z większego bałamuctwa wyprowadzić brata, a synowca uszczęśliwić...

Aryst. Niechże już i tak będzie, zostanę ja tu. A tymczasem mów panu, niech nie przychodzi, aż po niego poślę; pilnujcie zaś, aby prawdziwy Kondemnacki nie przyjechał.

Figlacki. Stanie się wszystko według rozkazów waćpana dobrodzieja. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

ARYST *(sam).*

Piękną ja tu figurę czynię; na starość zostałem oszustem, filutem, bałamutem. Ale wywiódł mnie z skrupułów imćpan Figlacki, tylko, że to jak mój brat, albo ten jego pan Repertowicz podstępu docieką, jeszcze gorzej popsujemy interes. Cóż czynić, kiedy wszystkie inne sposoby nieskuteczne? Może się ten nada.

SCENA V.

ARYST, LEONORA.

Aryst. A waćpanna co tu robisz?

Leonora. Przyszłam do ojca.

Aryst. Pewnie prosić kawalera?

Leonora. A któż to widział...

Aryst. Jużci tego podobno nikt nie widział, ale gdybyście się nie wstydziły, żeby was kto nie widział, nieraz by podobno konkurowała jejmość do jegomości...

Leonora. Jaką to opinią masz waćpan dobrodziej o naszej płci?

Aryst. Szanuję was, wielbię, poważam, i tak bardzo szanuję, żem się nawet nie żenił.

Leonora. Tobyś waćpan chciał, żebym i ja nie brała męża?

Aryst. Każdy myśli po swojemu; a gdybym ja taką znalazł damę, jak ktoś kawalera...

Leonora. Cóż to za ktoś?

Aryst. Ja to mówię nie o waćpannie.

Leonora. To co inszego.

Aryst. Masz interes do ojca?

Leonora. Kazał mnie wołać.

Aryst. Bądź że tu w drugim pokoju, póki ja cię sam nie zawołam. *(Leonora odchodzi).*

SCENA VI.

ARYST (*sam*).

To dobrze, że będzie zaraz na zawołaniu; zobaczę, jak zemną zacznie mówić mój brat, i do czego będzie zmierzał.

SCENA VII.

ARYST, ANZELM.

Anzelm. To waćpan gardził staremi dokumentami, mości panie bracie?

Aryst. Kiedy nic nie znaczą.

Anzelm. A kiedy znaczą?

Aryst. Natenczas trzeba je roztrząsać.

Anzelm. A kiedy roztrząśnione?

Aryst. To im wierzyć.

Anzelm. Ale to pieniactwo, mości panie bracie, to bałamuctwo. Pieniacy monstra natury, wszyscy szalbierze; wszak prawda, mości panie bracie?

*

Aryst. Pieniaczów ganię, ale nie sprzeciwiam się obronie własności swojej.

Anzelm. Brońże jej waćpan, bo tu nie żart.

Aryst. Co to znaczy?

Anzelm. Ot, to znaczy, mój panie, że waćpan lekce poważał moje przestrogi, a teraz waćpana wioski w największem niebezpieczeństwie. A że tu o nas obudwóch chodzi, bobym waćpana z działu mego musiał indemnizować, więc, mości panie, porzuciwszy niepotrzebne żarciki i upór szkodliwy, trzeba tu się będzie jąć a żywo do obrony.

Aryst. Przeciw komu?

Anzelm. Nie spodziałbyś się waćpan nigdy, i jam teraz mocno pomięszany, żem go uraził.

Aryst. Niechże wiem kto to?

Anzelm. Oto, mości panie, ojciec Leandra.

Aryst. Ojciec Leandra? to nie może być.

Anzelm. Jest, mości panie; śmiejże się waćpan teraz z jurystów i z procesów; trzeba się będzie panu Repertowiczowi kłaniać, i kogoś jeszcze przeprosić, ale ja się nad tem nie zasadzam. Czas krótki, mości panie bracie; trzeba nam tu będzie złożyć konferencyą.

Aryst. Ale któż to waćpanu o tym procesie powiedział?

Anzelm. Kondemnacki, który dopiero przyjechał, i który nawet już był na konferencyi u ojca Leandra i wziął od niego honoraryum.

Aryst. Proszę waćpana, żebyś go kazał zawołać.

Anzelm. A widzisz waćpan, mój panie bracie, jak to nie dobrze z prawa żartować.

Aryst. Mości panie, to nie jest miłość braterska, ani bliźniego, natrząsać się z cudzego kłopotu.

Anzelm. Masz waćpan racyą; jest tam kto?

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, FIGLACKI.

Anzelm. Właśnie nam tu waćpana potrzeba było, mości panie Kondemnacki. (*Aryst spostrzega poważnie wchodzącego Kondemnackiego i śmieje się*). A czegóż to się waćpan rozśmiał?

Aryst. Właśnie nie a propos przypomniałem sobie, ce mi się wczoraj trafiło na polowaniu.

Anzelm. Mości panie Kondemnacki, informujże waćpan sam jegomości o tym procesie pana Karpowicza.

Aryst. Jużci o nim wiem z relacyi waćpana; teraz lepiej się naradzić.

Anzelm. Dobrze, weźmy stołki i uczyńmy konferencyą; panie Kodemnacki siadaj z nami; ale, ale, pan Repertowicz...

Aryst. Wszak jest jegomość...

Anzelm. Więcej widzą oczy niż oko.

Aryst. Dość nas, to mu potem rzecz opowiemy. Teraz się trzeba pośpieszyć.

Anzelm. A widzisz waćpan, mości panie bracie, jak to interes nagli.

Aryst. Jużci widzę.

Anzelm. Idzie tu teraz o to, co mamy czynić w tej sprawie. Moje zdanie: najprzód zważyć, czyli ten dokument rzetelny? Trzeba więc sprowadzić człowieka umiejącego czytać i pisać po rusku.

Figlacki. Umiem ja.

Aryst i Anzelm (*razem*). Po rusku?

Figlacki. I po żydowsku.

Anzelm. A to się na co zda?

Figlacki. Teraz, mości dobrodzieju, na wiele; jest niemało faciend z żydemi.

Anzelm. Wracając się tedy do zaczętej materyi, dobrze jest, iż już mamy jegomości, co umie po rusku; teraz dalej trzeba czynić kwerendy po wszystkich województwach, gdzie tylko Doświadczyńscy miewali posesye, czyli te dobra raz wraz w ich ręku zostawały, a najbardziej przed Chmielniszczyzną i po Chmielniczczyznie.

Kondemnacki v. Figlacki. Z panami Chmielnickiemi nie byli w kollegacyi.

Aryst. Ale tu mój brat mówi o wojnie kozackiej. (*Mruga na niego*).

Anzelm. Potrzecie, trzebaby w naszem archiwum pokwerendować. Poczwarte, postarać się o listy rekomendacyalne do trybunału, tam na swoją stronę patronów zamówić. Popiąte...

Aryst. Mości panie bracie, a mnie się zdaje, najlepszy sposób iść do zgody.

Anzelm. Co tam do zgody, mości panie bracie. Jużem powiedział, że zgodę przyjmować stronie przeciwnej, jest to już połowę sprawy przegrać.

Aryst. Ja wolę pokój, byleby go można dobremi kondycyami zyskać.

Kodemnacki v. Figlacki. A gdyby naprzykład wziąść środek?

Anzelm. Nie masz tu środka żadnego — moja rada zacząć z góry.

Aryst. Ale o cóż ich mamy pozywać?

Anzelm. Oto o to, żebyśmy pierwsi zapozwali, mości panie bracie. Wierz mi waćpan, bo ja praktyk, kto dobrze zaczął, połowę dzieła dokonał; wszak prawda, panie Kondemnacki?

Kodemnacki v. Figlacki. Prawda, mości dobrodzieju.

Aryst. Mości panie Kondemnacki, proszę nas tu na moment zostawić. (*Kondemnacki odchodzi*).

SCENA VIII.

ANZELM, ARYST.

Aryst. Mości panie bracie, ja się prawować nie chcę.

Anzelm. To ja się będę za waćpana prawował.

Aryst. Ale na co nam tu to wszystko? Sposób ci się trafia i dobry; wszak Repertowicz ma prawo?

Anzelm. Jeszcze dekretu nie masz.

Aryst. Nie wiesz waćpan co mnie mięsza?

Anzelm. Cóż takiego?

Aryst. Był anno 1835 i myśmy przegrali, ale że właśnie wtenczas tak się złożyło...

Anzelm. To się rzecz zatarła.

Aryst. Jak to zatarła? ma go Karpowicz.

Anzelm. To źle. Cóż tu czynić?

Aryst. Ja mam sposób i substancyą ocalić i...

Anzelm. Co za sposób?

Aryst. Oto posłuchaj mnie waćpan; wydaj córkę za Leandra, z tą kondycyą, jeżeli on ma od ojca kwit z całego procesu i redonacyą całej majętności...

Anzelm. To rzecz do uwagi; proszę tu kazać zawołać Kondemnackiego albo Repertowicza, żebym się wprzód naradził.

Aryst. Zawołam. (*Odchodzi*).

SCENA IX.

ANZELM, KONDEMNACKI v. FIGLACKI.

Anzelm. Mości panie Kondemnacki, jest tu syn Karpowicza, Leander; ma redonacyą i kwit z procesu od ojca, z kondycyą, żebym córkę za niego wydał.

Kondemnacki v. Figlacki. A sprzyjaż kawalerowi godna konsolacya waćpana dobrodzieja.

Anzelm. Nie wiem, ale kiedy ja będę chciał, to za moją wolą pójdzie.

Kondemnacki v. Figlacki. Powtóre, masz z sobą pan Leander plenipotencyą ojcowską...?

Anzelm. Podobno...

Kondemnacki v. Figlacki. Waćpan dobrodziej czybyś sobie tego życzył?

Anzelm. Jużci żal mi majętności, ale przyznam się waćpanu, żal mi i procesu.

Kondemnacki v. Figlacki. Jest na to sposób, mości dobrodzieju. Oto córkę wydać za Leandra, a taką klauzulę w intercyzie położyć, któraby swego czasu mogła dać okazyą do procesu...

Anzelm. Z córką?

Kondemnacki v. Figlacki. Nie z córką, ale z zięciem...

Anzelm. Nieźle to — pomyślę ja.

SCENA X.

CIŻ SAMI, ARYST, LEANDER.

Aryst. Oto panie bracie, godny kawaler, który ze wszystkiem się spuszcza na wolę waćpana...

Anzelm. Nie jestem ja sprzeczny, ale trzeba też się i córki poradzić, i nie będzie mi miał za złe kawaler, iż sentymenta córki wywiedzieć się chcę.

SCENA XI.

(*Aryst przyprowadza Leonorę*).

Anzelm. A jam waszeci nie wołał.

Aryst. Ja ją prowadzę, i imieniem ojca pytam się waćpanny, czyli przyjmiesz z konkurencyą Leandra...

Leonora. Spuszczam się na wolę ojca mego.

Aryst. Ten pozwala.

Anzelm. Jak to, mości panie?

Aryst. Przyrzekłeś mi waćpan.

Leander *(do nóg pada Arystowi).* Nie puszczę się nóg waćpana dobrodzieja...

Anzelm. Ale dajcie mi czas do rozmysłu.

Aryst. Na cóż zwłaczać? Podpisz waćpan.

Kondemnacki v. Figlacki. Podpisz waćpan; tem lepiej, ja będę świadkiem wiolencyi.

SCENA XII.

CIŻ SAMI, CHŁOPIEC.

Chłopiec. Mości dobrodzieju, pan Kondemnacki jest w przedpokoju...

Figlacki *(na boku).* To źle.

Anzelm. Co to znaczy? niech wchodzi.

SCENA XIII.

CIŻ SAMI, KONDEMNACKI.

Kondemnacki. Stawiam się na rozkaz waćpana dobrodzieja i mam honor oddać list imćpana sędziego Grodzkiego.

Anzelm *(czyta. Do Figlackiego).* A tyś kto, zdrajco?

Figlacki. Ja się nie tak zowię, ale Figlacki, do usług waćpana dobrodzieja. *(Ucieka).*

Anzelm. A cóż to, mości panie bracie? Taki podstęp podemną czynić?

Aryst. Dobro samego waćpana, uszczęśliwienie córki, która już z mężem do nóg pada waćpana. *(Padają do*

nóg). Moja interpozycya, i to com w intercyzie dołączył, po śmierci mojej donacya dla jej dzieci ich całej substancyi, niech waćpana nakłoni...

Anzelm. Jużci zezwalam. Ale, mój panie bracie, jestże ten punkt w intercyzie?

Aryst (*mu ją podaje*). Czytaj waćpan.

SCENA OSTATNIA.

CIŻ SAMI, REPERTOWICZ.

Anzelm. Patrzaj no waćpan, co to się stało!

Aryst. Co się stało, to się stało; niech i on będzie ucrestnikiem radości naszej.

Anzelm. Pozwalam tedy na wszystko, kiedy już inaczej być nie może. (*Do Repertowicza*). A waść, panie Repertowicz, napisz tymczasem manifest de diligentia.

KONIEC.

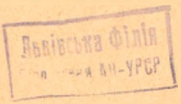

SPIS RZECZY.

Strona

Łgarz 5
Solenizant 38
Frant 74
Statysta 111
Mędrzec 164
Krosienka 198
Pienicz 239

55

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
149801

Biblioteka WSP Kielce
0114215